



98.24

## Brutalne morderstwa paraliżują społeczeństwo.

Napastnicy, okrzyknięci przez media Wściekłymi, uderzają bez ostrzeżenia.

Zabijają każdego, kto stanie im na drodze.

Liczba przypadkowych napaści przechodzi z setek w tysiące,  
a potem w setki tysięcy.

Każdy, niezależnie od płci, wieku czy rasy, jest albo Ofiarą – albo Wściekłym.

W ludziach narasta lęk, że w każdej chwili przyjaciele  
lub najbliżsi zwrócą się przeciwko nim ze zbrodniczym zamiarem.  
Albo że sami zaczną mordować...

Bo wszystkich ogarnia **AMOK** nienawiści.

**David Moody** to bezprecedensowy przykład zawrotnej kariery literackiej. Pisarz, który w ciągu roku po opublikowaniu swojej powieści w Internecie stał się – bez agenta – jednym z najgłośniejszych autorów, o którego zabiegają największe wydawnictwa świata i wytwórnie filmowe.

Prawa do sfilmowania *Amoku* kupił Guillermo del Toro (reżyser *Hellboya*, *Labiryntu fauna* i przygotowywanej ekranizacji *Hobbita*) i Mark Johnson (producent *Opowieści z Narnii*). *Amok* – oraz jego nienapisaną jeszcze kontynuację pt. *Dog Blood* – kupiły wydawnictwa w 13 krajach.

W 2009 roku David Moody zaczął publikować w Internecie pięciotomową serię pt. *Autumn (Jesień)*. Już pół miliona osób przeczytało wersję elektroniczną pierwszej powieści, która już jest ekranizowana!

Film z Dexterem Fletcherem i Davidem Carradine'em wejdzie na ekrany jeszcze w tym roku.

*David Moody kieruje paranoję w cudownie mrocznym kierunku.*

*Upiornym, brutalnym i przesyconym makabrą.*

Jonathan Maberry, laureat nagrody



www.wydawnictwoamber,



**DAVID MOODY**

**AMOK**

**Przekład  
MAŁGORZATA STRZELEC**

## CZWARTEK

### I

Simmons, dyrektor regionalny sieci dyskonta, włożył resztę do kieszeni, starannie złożył gazetę i wsunął ją pod pachę. Szybko zerknął na zegarek, po czym wyszedł ze sklepu i ponownie dołączył do tłumu anonimowych zakupowiczów oraz urzędników tłoczących się na chodnikach centrum miasta. Idąc, w myślach przeglądał terminarz. O dziesiątej cotygodniowe zebranie w dziale sprzedaży służbowe spotkanie z Jackiem Staynesem o jedenastej, lunch z dostawcą o wpół do drugiej...

Zatrzymał się, kiedy ją zobaczył. Początkowo była tylko kolejną twarzą na ulicy - nijaką, niepozorną i tak samo dla niego nieistotną jak cała reszta. Ale ta kobieta miała w sobie coś, co budziło niepokój. Po chwili mu zniknęła, pochłonął ją tłum. Simmons rozglądał się nerwowo; desperacko szukał jej wśród falującej, pospiesznie opływającej go masy ludzkiej. O, znowu ona. Na ułamek sekundy ujrzał ją w przerwie między sylwetkami; zmierzała w jego stronę. Była niska, najwyżej metr pięćdziesiąt wzrostu; szła zgarbiona w czerwonym, wyblakłym płaszczu przeciwdeszczowym. Przezroczysty plastikowy kaptur osłaniał jej sztywne, siwe włosy. Patrzyła przed siebie przez grube soczewki okularów w szerokich oprawkach. Mogła mieć co najmniej osiemdziesiątkę, więc czemu tak go przeraziła? Musiał działać szybko, zanim znowu mu zniknie. Nie mógł ryzykować, że straci ją z oczu. Wreszcie po raz pierwszy pochwycił jej wzrok i natychmiast zrozumiał, że musi to zrobić. Nie miał wyboru. Musiał to zrobić - i to od razu.

Upuszczając gazetę, aktówkę i parasol, Simmons przepchnął się przez tłum, wyciągnął ręce i złapał ją za szerokie klapy płaszcza. Nim zdążyła zareagować, obrócił nią niemal o sto osiemdziesiąt stopni i pchnął w stronę budynku, z którego właśnie wyszedł. Jej kruche ciało niewiele ważyło, więc kobieta dosłownie przefrunęła nad chodnikiem, ledwie dotykając stopami ziemi, uderzyła w grubą szybę wystawy sklepowej i odbiła się od niej. Oszołomiona bólem, zaskoczona, leżała twarzą na zimnym, zalanym deszczem chodniku, zbyt przerażona, żeby się ruszyć. Simmons przepchnął się do niej, roztrącając grupkę zatroskanych przechodniów, którzy zatrzymali się, aby jej pomóc. Ignorując ich gniewne protesty, pociągnął ją, zmuszając, by wstała, i znów pchnął na witrynę; gdy po raz drugi z trzaskiem uderzyła w szybę, jej głowa bezwładnie opadła do tyłu.

- Co, do cholery, wyprawiasz, kretynie?! - krzyknął wstrząśnięty przechodzień, odciągając Simmonsa za rękaw płaszcza.

Simmons wyrwał się mężczyźnie. Potknąwszy się, wylądował na czworakach w kanale ściekowym. Nadal miał przed oczami tę kobietę. Widział ją między nogami ludzi tłoczących się wokół niej.

Nieświadomy krzyków i wrzasków protestu dzwoniących mu w uszach, szybko wstał, podniósł z chodnika swój parasol i poprawił zjeżdżające mu z nosa okulary w drucianych oprawkach. Trzymając przed sobą parasol jak karabin z nastawionym bagnetem, znowu ruszył na kobietę.

- Proszę... - błagała, kiedy zatopił ostry metalowy szpic w jej wnętrzościach, a potem wyszarpnął.

Osunęła się po szybie, ściskając ranę, a oszołomiony, pełen niedowierzania tłum natychmiast pochłonął napastnika. Mimo zamieszania Simmons widział, jak uginają się pod nią nogi, jak ciężko pada na ziemię, a krew tryska z głębokiej rany w jej boku.

- Świr - wrzasnął mu ktoś do ucha.

Simmons obrócił się gwałtownie i spojrzał na człowieka, który to powiedział, jezu Chryste, następny! Ten też był jak ta staruszka. I jeszcze jeden, i jeszcze... Wszyscy stali teraz wokół niego. Patrzył bezradnie na morze wściekłych twarzy. Wszystkie były takie same. I nagle wszystkie stały się dla niego groźne. Wiedział, że jest ich zbyt wielu, aby z nimi walczyć. Zdesperowany zacisnął

dłoń i pięścią uderzył w twarz najbliższego stojącego. Kiedy nastolatek zatoczył się pod wpływem nagłego ciosu i padł na ziemię, horda postaci w mundurach przebiła się przez tłum, przewróciła Simmonsa i z całą siłą przycisnęła do ziemi.

1

Wariat. Niech to szlag, widziałem już różne rzeczy w tym mieście, ale nigdy czegoś takiego. To było ohydne. Aż zrobiło mi się niedobrze. Chryste, zjawił się nie wiadomo skąd i kobieta nawet nie miała szans. Biedna starowina. Teraz facet stoi w tłumie, który ma przewagę pięćdziesięciu do jednego, a mimo to próbuje walczyć. Pełno tu świrów. Na szczęście dla kobiety, policji też tu pełno. Dwóch mundurowych już się nią zajmuje, próbują zatrzymać krwawienie. Trzech innych dopadło gościa, który ją załatwił, i teraz odciągają go na bok.

Cholera, za trzy dziewiąta. Znowu się spóźnię do pracy, ale nie mogę się ruszyć. Ugrzęzłem w tym cholernym tłumie. Ludzie tak się stłoczyli, że nie mogę zrobić kroku ani w tył, ani w przód. Będę musiał poczekać, aż zaczną się przesuwać, nie wiadomo, ile to potrwa. Zjawiło się jeszcze więcej policjantów i próbują zaprowadzić porządek. Żalodne próby; można było się spodziewać, że ludzie okażą trochę szacunku, ale gdzie tam, ludzie jak to ludzie. Wystarczy małe zamieszanie na ulicy, a już wszyscy zatrzymują się, żeby popatrzeć na cyrk.

Wreszcie zaczynamy się przesuwać. Nadal widzę tamtego gościa, jak go prowadzą do policyjnej furgonetki stojącej po drugiej stronie ulicy. Kopie i wrzeszczy jak zasmarkany gówniarz. Jest kompletnie roztrzęsiony. Sądząc po odgłosach, jakie wydaje, można pomyśleć, że to jego zaatakowano.

Wiem, jestem parszywym leniem. Wiem, że powinienem bardziej się starać, ale po prostu mi to wisi. Nie jestem głupi, ale nic nie poradzę, że czasem zwyczajnie mam wszystko gdzieś. Powinienem popędzić przez Millennium Square prosto do biura, ale to za duży wysiłek jak na tak wczesną porę. Ruszam spacerkiem i docieram na miejsce kwadrans po dziewiątej. Próbowałem się przemknąć, ale było nieuniknione, że ktoś mnie przyuważy. Tylko czy to koniecznie musiała być Tina Murray? Wiecznie skwaszona pani niewolników, bezlitosna jędza znana jako szefowa. Stoi teraz za moimi plecami i patrzy, jak pracuję. Myśli, że nie wiem, że tam jest. Naprawdę jej nie cierpię. Właściwie to nie znam nikogo, kogo nie cierpiałbym bardziej od Tiny. Nie jestem gwałtownym facetem, nie lubię konfrontacji i sama myśl o uderzeniu kobiety odrzuca mnie, ale bywają chwile, kiedy z radością przyłożyłbym jej prosto w gębę.

- Wiesz mi kwadrans - szydzi tym swoim paskudnym, marudnym głosikiem.

Odsuwam się na krześle i powoli odwracam do niej. Zmuszam się do uśmiechu, chociaż tak naprawdę mam ochotę spluć. Stoi naprzeciw mnie ze skrzyżowanymi ramionami, żuje gumę i się krzywi.

- Dzień dobry, Tino - odpowiadam, starając się zachować spokój; wolę, żeby nie wiedziała, że mnie wkurzyła, nie chcę jej dać tej satysfakcji. - Jak się masz?

- Możesz albo skrócić lunch, albo zostać dłużej po godzinach - warczy. - Twój wybór, jak to nadrobisz.

Wiem, że tylko pogorszę sprawę, ale nie mogę się powstrzymać. Powinienem trzymać gębę na kłódkę i zaakceptować fakt, że jestem po przegranej stronie, ale nie mogę znieść myśli, że ta podła baba uważa, że panuje nad sytuacją. Wiem, tylko pogarszam sprawę, ale nie potrafię się powstrzymać. Muszę coś powiedzieć.

- A co z wczorajszym rankiem? - pytam.

Zmuszam się, by spojrzeć w jej wredne, podłe oczka. Nie jest uszczęśliwiona. Przesłupuje z nogi na nogę, żując gumę jeszcze szybciej i gwałtowniej. Jej szczęki ruszają się w zapamiętałym rytmie. Wygląda jak przeżuwiająca krowa. Cholerne ciele.

- Co z wczorajszym rankiem? - warczy.

- No więc - zaczynam tłumaczyć, bardzo się starając, aby nie mówić tonem wyższości - o ile pamiętasz, wczoraj przyszedłem dwadzieścia minut wcześniej i od razu siadłem do pracy. Jeśli



dzisiaj mam odpracować piętnaście minut, to czy mogę odebrać sobie wczorajsze dwadzieścia? A może uznamy, że jesteśmy kwita i odpuszczę ci moje pięć minut?

- Nie wydurniaj się. Dobrze wiesz, że to tak nie działa.

- A może powinno.

Niech to szlag, teraz naprawdę się wściekła. Twarz jej czerwienieje i żyłki na szyi pęcznieją. To był głupi i bezcelowy komentarz, ale mam rację, prawda? Dlaczego wszystko ma być po myśli Rady? Tina gapi się na mnie, a jej milczenie sprawia, że naprawdę robi mi się nieswojo. Powinienem był trzymać gębę na kłódkę, pozwolić jej zwyciężyć w tej rozgrywce, a wtedy mógłbym spokojnie odwrócić się do swojego komputera.

- Albo skrócisz lunch, albo zostaniesz po godzinach - rzuca przez ramię, odchodząc. - Nie obchodzi mnie, co zrobisz, bylebyś odrobił ten kwadrans.

I już jej nie ma. Koniec rozmowy i nie mam żadnej szansy odpowiedzieć, czy chociaż spróbować mieć ostatnie słowo. Suka.

Widok Tiny przyprawia mnie o dreszcze, ale mimo to łapię się na tym, że gapię się na nią zamiast na ekran komputera. Teraz siedzi już przy swoim biurku. Nagle pojawia się Barry Penny, kierownik biura. Postawa Tiny całkiem się zmienia, kiedy rozmawia z kimś, kto stoi na wyższym szczeblu firmowej drabinki. Wdzięczy się, śmieje z załosnych żarcików Barry'ego, i ogólnie rzecz ujmując, sprawdza, jak głęboko może mu wleźć w tyłek.

Nie mogę przestać myśleć o tym, co właśnie wydarzyło się na ulicy. Chryste, szkoda, że nie mam parasola, jak tamten gość. Dobrze wiem, komu bym go wepchnął.

Czasem dobrze mieć taką nudną robotę jak moja. Jestem zdecydowanie ponad te głupoty i tak naprawdę nawet się nie zastanawiam, co robię. Mogę odwalać swoje na autopilocie i czas szybko mija. Jak na razie właśnie w taki sposób upływał ranek. Zero satysfakcji z pracy, ale przynajmniej dzień nie ciągnie się w nieskończoność.

Pracuję tu już od prawie ośmiu miesięcy (mam wrażenie, że dłużej), a dla Rady w ogóle pracowałem przez ostatnie trzy i pół roku. W tym czasie przeszedłem przez więcej departamentów niż pracownicy Rady o najdłuższym stażu w czasie całej swojej kariery. Wciąż mnie przenoszą. Odpracowałem swoje w dziale kontroli szkodników, usuwania odpadków i konserwacji oświetlenia ulicznego, aż wreszcie wylądowałem tutaj - w Biurze Opłat Parkingowych, czyli w BOP-ie, jak to lubi nazywać Rada. Radni mają ten irytujący nawyk skracania wszelkich możliwych nazw departamentów i stanowisk pracy do akronimów. Nim zostałem tu przeniesiony, słyszałem, że BOP to miejsce dla odrzutów, pracowników, którzy się nie sprawdzają. A gdy tu się pojawiłem, przekonałem się, że to prawda. W większości miejsc albo lubilem pracę, albo współpracowników; tutaj nie mogłem zdzierżyć ani jednego, ani drugiego. To wylegarnia problemów. Tu zjawiają się kierowcy, którzy mieli pecha (albo byli po prostu głupi) i zarobili blokadę na kole, dali się nagrać przez kamerę albo dostali mandat od strażnika, więc krzyczą, wrzeszczą i wyklócają się o nałożone na nich kary. Kiedyś współczułem im i wierzyłem w te historie. Osiem miesięcy tutaj mnie zmieniło. Teraz nie wierzę w nic, co mi opowiadają.

- Widziałeś tego gościa rano? - odzywa się ktoś zza komputera po mojej lewej.

To Kieran Smyth. Lubię go. Jak większość z nas, marnuje się tutaj. Ma łeb na karku i gdyby chciał, mógłby zrobić ze sobą coś sensownego. Studiował prawo na uniwersytecie, ale zatrudnił się tu na wakacje zeszłego lata i już nie wrócił na uczelnię. Powiedział mi, że przywykł do tego, że ma pieniądze, i teraz nie wyobraża sobie bez nich życia. Kupuje nieprawdopodobną liczbę rzeczy. Każdego dnia wraca z lunchu z torbami ubrań, książek, DVD i CD. Zwyczajnie zazdroszczę mu, bo ledwie starcza mi najedzenie, nie wspominając o innych przyjemnościach. Kieran większość dnia spędza na pogaduchach z kumplem, który siedzi po mojej prawej, Darylem Evansem. Rozmawiają przeze mnie i nade mną, ale rzadko kiedy ze mną. Ale mi to nie przeszkadza. Ich rozmowy są nudne jak flaki z olejem, a jedyna rzecz, która mnie z nimi łączy, to fakt, że wszyscy trzej pracujemy w tej samej maleńkiej sekcji tego samego malutkiego biura. Jeśli jednak mam być szczerzy, to naprawdę wścieka mnie fakt, że obydwaj mogą się objąć w pracy przez większą część

dnia. Może dzięki temu, że przyjaźnią się z Tiną poza pracą i chodzą razem na drinka. Chryste, wystarczy, żebym zakaszłał, a ona już się zrywa z miejsca i sprawdza, co robię i dlaczego przestałem pracować.

- Jakiego gościa?! - odkrzyknął Daryl.
- Na ulicy, w drodze do pracy.
- Na której?
- Głównej, zaraz przy Cartwrights.
- Niczego nie widziałem.
- Musiałeś.
- Nie widziałem. Nie mijałem Cartwrights. Szedłem dziś inną drogą.
- Był taki gość - wyjaśnia mimo to Kieran. - Musiałeś go widzieć. Kompletnie mu odbiło.
- O czym ty mówisz?
- Serio, stary, całkiem ześwirował. Zapytaj Boba Rawlingsa z archiwum. Wszystko widział. Bob uważa, że gość właściwie ją zabił.
- Kogo?
- Nie wiem, jakąś staruszkę. Słowo honoru, rzucił się na nią bez żadnego powodu. Słyszałem, że dźgnął ją parasolem!
- Chrzanisz...
- Mówię serio.
- Nie gadaj!
- Idź i zapytaj Boba...

Zwykle ignoruję te ich krótkie wymiany uwag (najczęściej nie mam zielonego pojęcia, o czym mówią), ale dzisiaj rzeczywiście mogę z czymś się wtrącić, bo byłem na miejscu. To żalodne, wiem,

ale fakt, że najwyraźniej wiem więcej od Kierana i Daryla o tym, co się wydarzyło na ulicy, sprawia, że czuję się lepszy i zadowolony z siebie.

- Kieran ma rację - rzucam, odrywając wzrok od monitora.
- Widziałeś to? - zagaduje Kieran.

Usatysfakcjonowany rozsiadam się na krześle.

- To się wydarzyło tuż przede mną. Facet mógłby się nawet rzucić na mnie, gdybym zjawił się kilka sekund wcześniej.
- Więc o co poszło? - dopytuje się Daryl. - Kieran mówi prawdę?

Zerkam szybko na Tinę. Siedzi po uszy w papierach. Mogę bezpiecznie pogadać.

- Najpierw zobaczyłem staruszkę - mówię. - Omal się o nią nie potknąłem. Przeleciała obok mnie i walnęła w wystawę obok bocznego wyjścia z Cartwrights. Myślałem, że to jakieś dzieciaki próbowały jej wyrwać torebkę albo coś w tym stylu. Nie mogłem uwierzyć, kiedy go zobaczyłem. Wyglądał jak normalny gość. Garnitur, krawat, okulary...

- Więc dlaczego to zrobił? Co mu zawiniła?
- Nie mam pojęcia. Niech to szlag, facet był w takim stanie, że wolałbym go nie pytać.
- I po prostu rzucił się na nią? - pyta Daryl z niedowierzaniem.

Kiwam głową i zerkam to na jednego, to na drugiego.

- Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego - ciągnę. - Rzucił się na staruszkę i dźgnął ją parasolem. To było potworne. Parasol wbił jej prosto w brzuch. Cały płaszcz miała we krwi...

Teraz Tina patrzy. Spuszczam wzrok i zaczynam pisać, usiłując sobie przypomnieć, co właśnie robiłem.

- I co potem? - syczy Kieran.
- Ten kretyn rzucił się na tłum. Zaczął bić ludzi. Potem zjawiała się policja - wyjaśniam, patrząc w monitor, ale nic tak naprawdę nie robiąc. - Odciągnęli go i wrzucili do furgonetki. Rozmowa znowu się urywa. Murray wstaje. Przez chwilę słychać tylko stukot trzech klawiatur, udajemy, że pracujemy. Tina rozgląda się po sali, zatrzymuje wzrok na mnie, potem wychodzi z

biura, a Kieran i Daryl natychmiast przestają wprowadzać dane.

- A więc coś z nim było nie tak? - pyta całkiem bez sensu Daryl.

- Pewnie, że coś z nim było nie tak - odpowiadam. Chryste, czasem Daryl zachowuje się jak skończony dureń. - Myślisz, że dźgnąłby staruszkę parasolem, gdyby nie brakowało mu piątej klepki?

- Ale powiedział coś? Wrzeszczał coś albo...?

Zastanawiam się, czy w ogóle warto odpowiadać na to niedokończone pytanie.

- Jedno i drugie - mruczę.

- Był pijany, naćpany, czy co?

- Nie wiem - mówię z irytacją. Urywam i zastanawiam się przez chwilę, co właściwie powiedzieć. Ciągłe mam przed oczyma twarz tamtego mężczyzny. - Wyglądał na śmiertelnie przerażonego. Wyglądał, jakby to jego zaatakowano.

2

Jest taka dziewczyna, która siedzi na drugim końcu biura. Nazywa się Jennifer Reynolds. Nie znam jej za dobrze. Nie mam z nią wiele do czynienia na co dzień. Właściwie rozmawiałem z nią raptem kilka razy, odkąd przeniesiono mnie do BOP-u. Nie ma jej dzisiaj w pracy. Nie cierpię dni, kiedy ma wolne. Gdy Jennifer Reynolds nie ma w pracy, reszta przejmuje jej obowiązki, a mnie przypada najgorsza robota - recepcja. Adres pocztowy BOP-u nie jest szeroko reklamowany, ale pojawia się na części korespondencji, którą rozsyłamy, znajduje się też w książce telefonicznej, więc ogół społeczeństwa bez większego trudu dowiaduje się, gdzie się mieścimy. Zjawia się u nas mnóstwo ludzi. Zbyt wielu, moim zdaniem. Jeśli ktoś tu przychodzi, to zawsze dlatego, że dostał mandat albo założono mu blokadę. Ci ludzie zwykle już starali się o anulowanie mandatu albo zdjęcie blokady i gdy do nas docierają, najczęściej jedyne, co im zostało, to osobiście wyklócić się o swoje. Więc ludzie, którzy się tu pojawiają, na ogół są już nieźle zdenerwowani. Krzyki, wyzwiska i groźby są na porządku dziennym. Pierwsze miejsce, do którego docierają, to recepcja, a pierwszą osobą, na którą krzyczą, którą wyzywają i której grożą, to frajer za biurkiem.

No i oto siedzę za biurkiem w recepcji, gapię się na tandetne, przeszklone drzwi wejściowe i z niepokojem wyglądam interesantów. Nienawidzę tego. To jak siedzenie w poczekalni u dentysty. Cały czas patrzę na zegar na ścianie. Wisi tuż nad wielką tablicą ogłoszeń zapełnioną nieczytanymi, nieprzydatnymi plakatami i obwieszczeniami. Na lewo od tablicy wisi równie niepotrzebna i bezużyteczna tabliczka, zabraniająca zastraszania oraz atakowania pracowników Rady. Fakt, że tam wisi, nie sprawia, że czuję się bezpieczniej. Pod blatem znajduje się guzik alarmu na wypadek napaści - on także nie poprawia mi samopoczucia.

Jest czwarta trzydzieści osiem. Dwadzieścia dwie minuty do chwili, kiedy kończę dzień pracy.

Jestem pewny, że Tinie sprawia przyjemność posyłanie mnie tutaj. Zawsze ja muszę zastępować Jennifer. Siedzenie w recepcji stanowi rodzaj tortury. Nie wolno mi zabierać tu żadnej roboty papierkowej (kwestia ochrony tajnych danych czy coś takiego), a gdy nie mam czym zająć myśli, czas wlecze się rozpaczliwie wolno. Jak dotąd dziś popołudniu musiałem poradzić sobie tylko z dwoma telefonami i w obu przypadkach były to prywatne rozmowy do pracowników.

Czwarta trzydzieści dziewięć.

No, zegarze, przyspiesz trochę.

Czwarta pięćdziesiąt cztery.

Już prawie. Teraz nie spuszczam wzroku z zegara, próbując siłą woli zmusić wskazówki, żeby szybciej się przesuwały, bym wreszcie mógł się stąd wynieść. Odgrywam w myślach przebieg ucieczki z biura. Muszę tylko wyłączyć komputer, chwycić płaszcz z szatni i popędzić na stację. Jeśli zrobię to wystarczająco szybko, może uda mi się złapać wcześniejszy pociąg i wtedy będę w domu już na...

Cholera. Znów pieprzony telefon. Nienawidzę tego dźwięku. Zgrzyta jak rozregulowany budzik i aż mnie ciarki przechodzą. Podnoszę słuchawkę i krzywię się na myśl, co może mnie czekać na



drugim końcu drutu.

- Dzień dobry, tu BOP, mówi Danny McCoyne - mamroczę pospiesznie pod nosem.

Nauczyłem się mówić szybko i cicho. Dzwoniącemu wtedy trudniej wychwycić nazwisko.

- Czy mogę rozmawiać z panem Fitzpatrickiem z działu płac? - pyta kobiecy głos z mocnym akcentem.

Bogu dzięki, to nie jest rozwrzeszczany obywatel ze skargą, tylko pomyłka telefoniczna. Odprężam się. Niemal codziennie odbieramy kilka telefonów do działu płac. Mają podobny numer wewnętrzny do naszego. Człowiek liczy, że coś z tym zrobią, ale gdzie tam. W każdym razie ulżyło mi. Ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył, to kłopoty za pięć piąta.

- Połączyła się pani z niewłaściwym działem - wyjaśniam. -Wybrała pani 2300 zamiast 3200. Spróbuję panią przełączyć. Jeśli się pani rozłączy, proszę wybrać 1000 i połączy się pani z centralą...

Nagle coś odwraca moją uwagę i urywam, bo otwierają się drzwi frontowe. Odruchowo cofam się razem z krzesłem, starając maksymalnie zwiększyć dystans między mną a osobą, która zaraz wparuje do budynku. Kończę rozmowę telefoniczną i odprężam się nieco, kiedy widzę, że przez drzwi wjeżdża spacerówka. Wózek utyka w drzwiach, więc wstaję, żeby pomóc. Do recepcji wchodzi niska, przemoczona kobieta w zielono-fioletowym anoraku. A prócz niej są maluch w wózku (niewidoczny, bo zasłonięty grubym plastikiem od deszczu) i dwoje małych dzieci drepczących przy jej boku. Przemoczona rodzinka staje pośrodku recepcji. Kapie z nich woda na brudną, udającą marmur posadzkę. Kobieta jest umęczona i zaabsorbowana dziećmi. Warczy na najstarsze, tłumacząc, że „mamusia ma kłopot, który musi wyjaśnić temu panu, a potem wrócimy do domu i coś zjemy”.

Zdejmuje kaptur i widzę, że jest dobrze po trzydziestce, a może nawet trochę po czterdziestce. Wygląda zwyczajnie; wielkie, okrągłe, zachlapanne okulary zaczyna pokrywać warstewka pary. Twarz ma zarumienioną. Deszcz skapuje jej z nosa. Nie patrzy mi w oczy. Ciska torebkę na biurko i zaczyna w niej grzebać. Przerywa na chwilę, żeby unieść osłonę przeciwdeszczową (na której też zaczęła się osadzać para) i sprawdza, co u malucha, który najwyraźniej smacznie śpi. Skupia się ponownie na zawartości torebki, a ja obchodzę biurko, żeby sięgnąć po drugiej stronie.

- W czym mogę pomóc? - pytam ostrożnie, dochodząc do wniosku, że najwyższy czas się odezwać.

Piorunuje mnie wzrokiem znad okularów. Wyczuwam, że ta kobieta potrafi walczyć o swoje. Nie czuję się przy niej pewnie. Wiem, że czeka mnie przeprawa.

- Chwileczkę! - warczy takim tonem, jakby mówiła do własnego dziecka.

Wyjmuje z torebki paczkę chusteczek i jedną podaje dziecku, które stoi przy niej i cały czas ociera nos rękawem.

- Dmuchnij - rzuca surowo, podsuwając chusteczkę pod nos dzieciaka.

Dziecko się nie spiera.

Zerkam na zegar. Czwarta pięćdziesiąt siedem. Nie wygląda na to, żebym dziś zdążył na wcześniejszy pociąg.

- Zaparkowałam przy Leftbank Place na pięć minut, żeby zabrać najstarszego syna do toalety - zaczyna, wypakowując torbę.

Żadnych uprzejmości, przechodzi prosto do sedna sprawy.

- W ciągu tych pięciu minut założono mi blokadę. Teraz już wiem, że nie powinnam tam parkować, ale to było tylko pięć minut i tylko dlatego, że naprawdę musiałam. Chcę rozmawiać z kimś, kto ma stosowne kompetencje, żeby załatwić tę sprawę, i chcę rozmawiać z nim teraz. Macie usunąć blokadę, żebym mogła wrócić z dziećmi do domu.

Odchrząkuję i zbieram się w sobie, by jej odpowiedzieć. W ustach mi zaschło, czuję, jakby język zrobił mi się dwa razy większy. To musiał być Leftbank Place, prawda? Nieużytki odległe raptem dziesięć minut od biura. Czasem mam wrażenie, że co drugi samochód z blokadą w tym mieście parkował właśnie przy Leftbank Place. Ekipa, która zajmuje się tym rejonem, ma złą sławę. Ktoś

mi powiedział, że płacą im od sztuki, czy jakoś tak - im więcej blokad na samochodach tygodniowo, tym więcej zarabiają. Nie wiem, czy to prawda, ale teraz to bez znaczenia. Wiem, że nie mam wyjścia: muszę odpowiedzieć kobiecie, wygłaszając standardową formułkę zgodną z procedurami. Wiem też, że to jej się nie spodoba.

- Proszę pani - zaczynam, już spinając się na myśl ojej reakcji. - Przy Leftbank Place obowiązuje całkowity zakaz parkowania. Rada...

Nie daje mi skończyć.

- Powiem panu coś na temat Rady! - wrzeszczy. Jej głos nagle staje się nieprzyjemnie donośny. - Ta cholerna Rada powinna mniej czasu poświęcać na zakładanie blokad, a bardziej zadbać o to, aby przybytki użytku publicznego działały jak trzeba. Musiałam zaparkować przy Leftbank Place tylko dlatego, że toalety publiczne na Millennium Square zniszczyli wandal! Mój syn ma kłopoty z jelitami. Nie miałam wyboru. Nie mógł już dłużej czekać.

- Musiały być jakieś inne toalety... - zaczynam i natychmiast żałuję, że w ogóle otworzyłem usta.

Chryste, nienawidzę tej roboty. Żałuję, że nie zajmuję się wywózką śmieci, plagami szcurków albo choćby popsutymi lampami ulicznymi. Największy kłopot w tym, że wszystko wskazuje, iż kobieta naprawdę została niesprawiedliwie potraktowana i prawdopodobnie na jej miejscu, będąc z dziećmi, zrobiłbym dokładnie to samo. Wygląda na to, że ma rację, i z radością zadzwoniłbym do gości od blokad, ale nie mam stosownych uprawnień. Nie mam wielkiego wyboru: albo zachowam się zgodnie z procedurami i pozwolę kobiecie dalej na mnie wrzeszczeć, albo pozwolę Tinie Murray nawrzeszczeć na mnie, jeśli nie będę się trzymał ustaleń. Istnieje spora szansa, że dostanie mi się od obydwu. Nie zdążyła jeszcze zareagować na mój głupi komentarz, więc próbuję go zatuszować:

- Rozumiem, o co pani chodzi, ale...

- Czyżby?! - krzyczy tak głośno, że budzi dziecko w wózku. Maluch zaczyna kwilić i popłakiwać. - Naprawdę pan rozumie? Nie sądzę, bo gdyby pan rozumiał, to już rozmawiałby pan przez telefon i załatwiał zdjęcie cholernej blokady z koła, żebym mogła zabrać dzieci do domu. Są zmarznięte, głodne i...

- Muszę tylko...

- Nie chcę słuchać wymówek, chcę to załatwić.

Nie będzie mnie słuchać, to nie ma sensu. Nawet nie da mi szansy.

- Proszę pani...

- Sugerowałabym, żeby porozmawiał pan z przełożonymi, znalazł kogoś, kto jest gotów wziąć odpowiedzialność za ten cały burdel, kto tu przyjdzie i rozwiąże problem. Byłam zmuszona zaparkować przy Leftbank Place z powodu nieudolności Rady. Mam chorego syna i musiałam natychmiast zabrać go do toalety. Gdyby Rada robiła, co do niej należy, i zadbała, aby toalety publiczne działały, nie musiałabym tam parkować, nie założono by mi blokady i nie musiałabym tu stać i rozmawiać z kimś, kto najwidoczniej albo nie potrafi mi pomóc, albo nie zamierza. Muszę porozmawiać z kimś, z nieco wyższego szczebla władzy niż recepcjonista, więc może wyświadczy pan nam obojgu tę przysługę i poszuka kogoś, kto będzie gotowy rzeczywiście coś zrobić, nim mój syn znowu będzie musiał iść do toalety!

Protekcjonalna larwa. Wstaję, patrzę na nią, czując, jak narasta we mnie wściekłość. Ale nie mogę nic zrobić...

- Więc?! - warczy.

- Proszę poczekać minutkę - jąkam.

Odwracam się, wbiegam do biura i wpadam prosto na Tinę, którą idzie z naprzeciwnika.

- Co tu robisz, Danny? - pyta takim samym protekcjonalnym tonem jak tamta kobieta. - Jeśli ty jesteś tutaj, to kto zajmuje się recepcją?

Doskonale wie, że nie ma tam nikogo z pracowników. Próbuję jej wytłumaczyć, choć wiem, że to bezcelowe.

- W recepcji jest kobieta, która...

- Jeśli potrzebowałeś pomocy, trzeba było zadzwonić - przerywa mi. - Znasz zasady, pracujesz tu wystarczająco długo. W recepcji zawsze powinien ktoś siedzieć, a ty zawsze powinieneś dzwonić, jeśli masz problem.

- W recepcji jest ktoś - wzdycham. - I naprawdę naskoczyła na mnie, więc proszę, mogę wyjaśnić w czym rzecz?

Zerkam na zegar. Cholera, minęła piąta. Pewnie będę siedział na stacji do szóstej.

- Tylko szybko - rzuca przez zęby, jakby mi robiła przysługę.

- Tej kobiecie założono blokadę, bo zaparkowała przy Leftbank Place...

- Ciężka sprawa! Nie można tam parkować. Wszędzie stoją znaki wielkie jak stodoła o zakazie parkowania.

Nie będzie łatwo.

- Ja o tym wiem, ty wiesz i ona też. Nie o to chodzi.

- Jak to nie o to chodzi?

Milczę przez dłuższą chwilę. Wiem, że ciężko mi będzie ją przekonać, że tamta kobieta miała prawdziwy powód do zaparkowania. Przez moment zastanawiam się, czy nie darować sobie i nie spróbować jeszcze raz w recepcji.

- Powiedziała mi, że zatrzymała się przy Leftbank Place, bo musiała zabrać syna do toalety.

- Co to za wymówka?!

- Musiała go zabrać do toalety, bo na coś choruje, a toalety na Millennium Square zostały zniszczone przez wandalów.

- To nie nasz problem...

- Nie, ale ona uważa, że to problem Rady. Żąda zdjęcia blokady. Nigdzie nie pójdzie, dopóki to nie zostanie załatwione.

- Ja sobie wyobrażam, że się stąd nie wyniesie, bo czym! - Tina śmieje się do siebie. - Zdejmiemy blokadę, gdy zapłaci karę.

Nie zaskoczyła mnie swoją odpowiedzią, a tylko rozczarowała. Chcę iść do domu. Nie chcę wracać do recepcji, żeby ta baba znowu na mnie wrzeszczała. A najbardziej mnie irytuje to, że oboje dobrze wiemy, że im dłużej ta kobieta będzie się upierała przy swoim i wydierała się w recepcji, tym większa szansa, że blokada zostanie zdjęta. Nie mogę znieść tego chrzanienia i zachowywania pozorów. Nic na to nie poradzę, po prostu muszę coś powiedzieć.

- Ej, Tina, zejdź ze mnie. Wiesz równie dobrze jak ja, że jeśli będzie wystarczająco długo wrzeszczeć, odpuścimy jej.

Patrzy na mnie, żuje gumę i wzrusza ramionami.

- Możliwe, ale najpierw musimy spróbować wyciągnąć od niej karę. Znasz procedurę. Musimy...

Nie ma sensu słuchać dalej tych bzdur. Nie mam do tego głowy.

- Znam cholerną procedurę. - Wzdycham, odwracam się do niej plecami i wlokę się z powrotem do recepcji.

Zastanawiam się, czy nie iść dalej. Może powinienem po prostu minąć tę kobietę i jej dzieci, wyjść z budynku i zostawić tę robotę za sobą?

Otwieram drzwi, a tamta odwraca się i piorunuje mnie wzrokiem. Na jej twarzy maluje się czyste zło.

- No i?

Biorę wdech.

- Rozmawiałem z moją przełożoną - zaczynam przygnębiony, wiedząc, co zaraz się stanie. - Możemy zdjąć blokadę, ale musimy nalegać na uiszczenie kary wskazanej na znakach przy Leftbank Place.

Wścieka się. Znowu wybucha, drze się na mnie i wrzeszczy. Siła, szybkość i zaciekłość ataku robią wrażenie. To wyjątkowo ostra (choć niezaskakująca) tyrada, a ja nie mam się jak bronić. Nie mogę

się spierać, ponieważ tak się składa, że uważam, że ma rację. Gdyby tylko zamknęła się na sekundę, może zdołałbym... Niech to szlag, jaki to ma sens? Nie wiem, po co w ogóle się wysiłam. Im więcej wrzeszczy, tym mniej jestem skłonny słuchać. Przestałem już nadażać za tym, co mówi. Jej słowa zamieniły się w nieprzerwany wrzask. Czekam, aż będzie musiała wziąć wdech.

- Proszę pani - wchodzę jej w słowo, gdy tylko urywa, żeby nabrać powietrza. Unoszę dłoń, żeby było jasne, że teraz moja kolej. - Pójdę po moją przełożoną.

Odchodzę, ignorując jej słowa, że woli pogadać z panem zamiast z jego psem. Mam już to w nosie. Kiedy dochodzę do drzwi biura, Tina otwiera je i wychodzi, odpychając mnie na bok. Zatrzymuje się tylko, żeby wysyczyć kilka jadowitych słów pod moim adresem.

- Świetna robota - kpi. - Naprawdę żadnego z ciebie pożytku. Przy biurku słyszałam, jak wrzeszczy. Jak się nazywa?

- Nie wiem - przyznaję, stwierdzając tym samym, że nie zdołałem ustalić nawet najbardziej podstawowych faktów.

- Żadnego pożytku - zżyma się znowu, po czym przywołuje na twarz fałszywy uśmiech i podchodzi do przemoczonej kobiety i jej dzieci. - Nazywam się Tina Murray - mówi. - W czym mogę pomóc?

Opieram się o drzwi biura i patrzę na rozgrywające się przedstawienie, którego przebieg jest z góry ustalony. Tina wysłuchuje skargi, wytyka kobiecie, że naprawdę nie powinna parkować przy Leftbank Place, po czym dzwoni, żeby sprawdzić „co da się zrobić”. Dziesięć minut później blokada jest zdjęta. Tina wypada fantastycznie, ja wychodzę na idiotę. Wiedziałem, że tak to się skończy.

Piąta trzydzieści dwie.

Pędzę na stację i docieram na peron akurat, żeby zobaczyć, jak ucieka mi następny pociąg.

3

Jedna drobna korzyść płynie z późniejszego wyjścia z biura dziś wieczór - chociaż raz, jadąc do domu, mam miejsce siedzące. Zwykle panuje straszny ścisk, a ja stoję w przejściu wśród rozdrażnionych współpodróżnych. Dziś naprawdę potrzebowałam przestrzeni, żeby się odprężyć i uspokoić. Czekając na peronie, postanowiłem, że w pociągu zastanowię się, co naprawdę chcę zrobić z własnym życiem i jak zamierzam to urzeczywistnić. Przeprowadzam podobne bezużyteczne rozmowy ze sobą w drodze do domu przynajmniej raz, dwa razy w tygodniu. Jednak dzisiaj byłem zbyt zmęczony, żeby zebrać myśli. Naprzeciw mnie siedziały dwie dziewczyny i ich rozmowa o ciuchach, operach mydlanych i o tym, co kto robił z czymś chłopakiem, była o niebo ciekawsza od wszelkich spraw, o których rozmyślałem.

Luty. Nienawidzę tej pory roku. Zimno, mokro i przygnębiająco. Jest jeszcze ciemno, gdy rano wychodzę z domu, i już jest ciemno, gdy wracam wieczorem. Powtarzam sobie, że jutro o tej porze będzie weekend. Dwa dni bez pracy. Nie mogę się doczekać.

Wlokę się pod górę, skręcam w Calder Grove i wreszcie widzę na końcu ulicy swój dom. To nic wielkiego, ale na razie tylko to mamy i na jakiś czas musi nam to wystarczyć. Jesteśmy na liście oczekujących na większe mieszkanie, ale pewnie miną lata, nim Rada załatwi nam przeniesienie. Teraz, kiedy Lizzie znowu pracuje, może wreszcie uda nam się trochę odłożyć, wpłacić zaliczkę na własny dom i wynieść się z tego bloku. Już kilka lat temu chcieliśmy się przeprowadzić, ale Lizzie zaszła w ciążę i znowu musieliśmy wziąć na wstrzymanie. Kocham nasze dzieci, ale żadnego z nich trojga nie planowaliśmy. Właśnie zaczęliśmy stawać na nogi po narodzinach Edwarda i Ellis, kiedy pojawił się Josh i znów nie mieliśmy co włożyć do garnka, a odłożenie czegoś na konto bankowe nie wchodziło w rachubę. Upomnieliśmy się o wszelkie przysługujące nam zapomogi, Harry, tata Lizzie, pomaga nam od czasu do czasu, ale ciągle ledwo wiążemy koniec z końcem. Nie powinno tak być. Z drugiej strony ojciec Liz więcej nam pomaga niż moja rodzina. Mama siedzi w Hiszpanii z nowym chłopakiem, mój brat jest w Australii, a od taty nikt nie miał wieści już od trzech lat. Odzywają się tylko z okazji urodzin dzieci i na Boże Narodzenie.

W zaułku między domami po mojej prawej pod popsutą lampą uliczną kręci się banda podrostków. Widuję ich tu prawie co wieczór; palą, popijają i jeżdżą po okolicy zdezelowanymi wozami. Nie lubię ich. To same kłopoty. Spuszczam głowę i przyspieszam kroku. Martwię się, że moje dzieci dorastają w takim sąsiedztwie. Calder Grove nie jest najgorsze, ale niektóre okolice tego osiedla kiepsko się prezentują, a sytuacja tylko się pogarsza. Rada stara się, żeby bloki takie jak nasz posypały się ze starości, bo wtedy mogliby je wyburzyć i postawić nowe domy. W naszym bloku znajduje się sześć mieszkań - po dwa na każdym piętrze i tylko dwa z nich są jeszcze zajęte. Staramy się nie mieć do czynienia z lokatorami, którzy mieszkają nad nami. Nie budzą mojego zaufania. Gary i Chris - chyba tak się nazywają. Dwóch facetów w średnim wieku, którzy mieszkają razem na ostatnim piętrze. Najwyraźniej nie brakuje im kasy, a nigdy nie widziałem, żeby któryś z nich wychodził do pracy. I ciągle, o każdej godzinie dnia i nocy, dzwonią do ich drzwi jacyś ludzie. Jestem przekonany, że czymś handlują, ale wolę nie wiedzieć czym.

W końcu docieram do bloku i wchodzę do środka. Drzwi zacinają się i otwierają z głośnym, świdrującym zgrzytem, który pewnie słychać na drugim końcu ulicy. Od miesiący próbowałem zmusić kogoś z Rady, żeby przyszedł tu i zajął się drzwiami, ale oni nie chcą o niczym słyszeć, chociaż dla nich pracuję. Korytarz w bloku jest ciemny i zimny; moje kroki rozlegają się echem. Dzieci nie cierpią tego korytarza i dobrze je rozumiem. Boją się tego miejsca. Ja sam nie mam ochoty przebywać tu dłużej niż to konieczne. Otwieram drzwi mieszkania, wchodzę, zamykam je za sobą na zamek i zasuwkę. Dom. Bogu dzięki. Zdejmuję płaszcz, buty i odprężam się na pół sekundy.

- Gdzie byłeś? - beszta mnie Lizzie.

Wychodzi z pokoju Edwarda i Josha, przechodzi przedpokojem do kuchni. Niesie stos brudnych rzeczy do prania.

- W pracy - odpowiadam. Odpowiedź jest tak oczywista, że zastanawiam się, czy to pytanie z haczykiem. - A co?

- Powinieneś był wrócić znacznie wcześniej.

- Przepraszam, w pracy się przeciągnęło. Ugrzęzłem z babą, która na mnie naskoczyła. Spóźniłem się na pociąg.

- Mogłeś zadzwonić.

- Skończył mi się kredyt na komórce, a nie miałem pieniędzy, żeby go odnowić. Przepraszam, Liz, nie myślałem, że wrócę tak późno.

Zero reakcji. Już jej nawet nie widzę. Fakt, że nie skomentowała moich słów, jest co najmniej złowróżbny. Coś jest nie tak i wiem, że cokolwiek się stało, wszelkie moje dzisiejsze kłopoty muszą zejść na drugi plan. Wszystkie moje zmartwienia zbledną i staną się nic nieznaczące w porównaniu z tym, co ją gryzie. Tak się dzieje niemal każdego dnia, i to zaczyna mnie denerwować. Wiem, że Lizzie ciężko pracuje, a dzieciaki dają jej popalić, ale naprawdę mogłaby się uznać za szczęściarę. Niech spróbuje poradzić sobie z tym głównym, z którym muszę się mierzyć dzień w dzień. Biorę głęboki wdech i idę za nią do kuchni.

- Twoja kolacja jest w piecyku - burczy.

- Dzięki - mamrocę pod nosem, a kiedy otwieram drzwi piekarnika, cofam się, bo palące żarem powietrze bucha mi prosto w twarz.

Biorę kuchenną ścierkę, żeby chwycić talerz z rozgotowaną, wysuszoną na wiór kolacją złożoną z zapiekanki, frytek i groszku.

- Wszystko w porządku?

- Nie bardzo - odpowiada ledwo słyszalnym głosem.

Kłęcz, wpychając pranie do pralki.

- Co się stało?

- Nic.

Chrupię przypaloną frytkę, po czym szybko oblewam resztę jedzenia sosem, żeby chociaż trochę zabić smak spalenizny. Nie chcę ryzykować, że Lizzie uzna, iż kolacja mi nie smakuje. Nie cierpię

tych gier. To jasne, że coś jest nie tak, więc czemu po prostu nie powie? Dlaczego musimy odgrywać ten cyrk za każdym razem, kiedy coś ją gryzie? Postanawiam spróbować raz jeszcze.

- Przecież widzę, że coś jest nie tak.
- Jakiś ty spostrzegawczy - mruczy. - Nieważne.
- Najwyraźniej ważne.
- Słuchaj. - Wzdycha, włączając pralkę, wstając i prostując plecy. - Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, co jest nie tak, to może zapytasz dzieci? Może one ci powiedzą, dlaczego ja...

Jak na sygnał dwójka dzieci wpada do kuchni, przepychając się, które będzie pierwsze. Edward wbija łokieć w żebra siostry. Ellis odpycha go i wpada na stół, rozlewając kawę matki.

- Tato, powiedz jej! - złości się Ed, oskarżycielsko wskazując palcem siostrę.
- Co mam jej powiedzieć? - pytam, myślami już przy pliku rachunków, które właśnie znalazłem na stole.
- Powiedz jej, żeby przestała za mną chodzić! - wrzeszczy.
- Wpienia mnie!
- A czemu nie dacie sobie spokoju? Niech każde bawi się w swoim pokoju.
- Kiedy ja chcę oglądać telewizję! - protestuje Ed.
- Ja pierwsza oglądałam - skarży się Ellis.
- Ona zaraz pójdzie spać - wzdycham, próbując przemówić Edwardowi do rozsądku. - Daj jej pooglądać przez chwilę, a potem, jak pójdzie spać, przełączysz na swój program.
- Ale mój program leci teraz - jęczy, nie dając się przekonać.
- To niesprawiedliwe, że zawsze bierzesz jej stronę. Dlaczego zawsze bierzesz jej stronę?

Mam już tego dość.

- W takim razie telewizor zostaje wyłączony - mówię dzieciom. Oboje zaczynają na mnie krzyżeć, ale nawet ich piekielne wrzaski giną w ogłuszającym ryku Lizzie, która wrzeszczy na dzieci, żeby zeszły jej z oczu. Ed odpycha siostrę, żeby wyjść z kuchni, a Ellis odpląca mu się ciosem w plecy.

- Świetnie sobie poradziłeś - sarkastycznie mruczy Liz.
- Cholerne bachory - burczę pod nosem w odpowiedzi.
- Dlatego mam już dość - warczy moja żona. - Musiałam znosić ten cyrk bez chwili przerwy, odkąd wróciliśmy ze szkoły, i naprawdę dłużej nie mogłam wytrzymać. Teraz rozumiesz?

Wściekła, wychodzi z kuchni. Nawet nie zawracam sobie głowy, żeby pobiec za nią. Nie ma sensu. Cokolwiek zrobię czy powiem, nie poprawię sytuacji, więc najłatwiej po prostu niczego nie robić i niczego nie mówić.



## PIĄTEK

### II

Patrzył na mnie.

- Spadaj! Patrzył na mnie. Nie jest tobą zainteresowany!

Josie Stone i jej najlepsza przyjaciółka Shona Robertson schodziły ze Sparrow Hill. Idąc przez park, ze śmiechem rozmawiały o Darrenie Francisie, o dwa lata starszym chłopaku ze szkoły; którego właśnie spotkały przed domem Shony.

- Poza tym wszyscy wiedzą, że podobasz się Kevinowi Braith-wa i te'owi - droczyła się Josie.

- Trzymaj się Kevina, a mnie i Darrena zostaw w spokoju.

- Kevin Braithwaite?! - zaprotestowała Shona. - Prędeż bym umarła, niżbym się z nim umówiła. On jest raczej w twoim typie.

- Zamknij się!

Potykając się, zbiegały po śliskim, trawiastym stoku. Chichocząc, trzymały się za ręce, żeby nie stracić równowagi. Zbiegały coraz szybciej ku wypłaszczeniu u podnóża pagórka. Josie poślizgnęła się, gdy pędziły przez błotniste boisko do piłki nożnej. Shona odruchowo podtrzymała ją, nim josie klapnęła na ziemię.

- Uważaj! - Zaśmiała się, kiedy łapiąc równowagę, starały się obie utrzymać w pionie jak kiepskie łyżwiarki.

Josie i Shona były dla siebie jak siostry. Poznały się w szkole trzy lata temu, jeszcze jako podlotki, ale szybko stały się nierozłączne. Prawie cały wolny czas spędzały razem, często u siebie nocowały. Ostatniego lata Josie pojechała na dwa tygodnie razem z Shoną i jej rodziną do Hiszpanii. Nic nie mogło stanąć między nimi, nawet chłopcy.

- Słyszałam, że Dayne był wczoraj wieczór u Phillipy - powiedziała Shona, nagle przypominając sobie smakowitą plotkę, jaką usłyszała w drodze ze szkoły do domu. - Ale zdzira z tej Phillipy.

Josie stanęła.

Niczego nieświadoma Shona paplała jeszcze przez chwilę.

- Danni mówiła, że widziała ją, jak trzymała ręce na...

Kiedy zdała sobie sprawę, że nie ma przy niej Josie, stanęła i odwróciwszy się, spojrzała na przyjaciółkę.

- Co z tobą? - spytała.

Josie nie odpowiedziała.

- Ruszaj, kretyn ko, bo dziewczyny pójda bez nas.

Mimo to Josie nawet nie drgnęła. Po prostu stała i patrzyła na Shonę, która nie rozumiejąc zachowania przyjaciółki, odwróciła się do niej plecami i zaczęła iść w stronę sklepów, gdzie umówiły się z grupą szkolnych koleżanek.

Nagle Josie zerwała się do biegu. Wpadła na Shonę i pchnęła, uderzając dokładnie między łopatki. Dziewczyna przewróciła się i wyciągnęła jak długa na trawie. Próbowała wstać, ale nie zdążyła, bo gdy chciała się podnieść, Josie kopnęła ją w żołądek. Shona jęknęła z bólu.

- Co, do cholery, robisz, głupia larwo?

Josie nie odpowiedziała. Padła kolanami prosto na pierś Shony, wyciskając jej z płuc całe powietrze. Shona, zaskoczona i zaszokowana, zakrzuszyła się, rozpaczliwie próbując złapać oddech. Całkiem oszołomiona, patrzyła na Josie szeroko otwartymi oczami.

- Dlaczego...? - zaczęła.

Josie nie słuchała. Tuż obok w trawie znalazła na wpół pokryty błotem kamień. Zaciekle grzebała palcami w ziemi, żeby go wyciągnąć. Dysząc z wysiłku, uniosła kamień wielkości cegłówki nad głowę.

- Josie, nie... - jęknęła Shona.

Trzymając kamień oburącz, Josie z rozmachem uderzyła nim w pierś przyjaciółki. Słyszała trzask

żeber pękających pod wpływem gwałtownego ciosu. Nagły ból obezwładnił Shonę, nie miała siły krzyzczeć, jęknęła w agonii i tylko patrzyła bezradnie, jak Josie unosi kamień i znów go opuszcza. Uderzyła ją z taką wściekłością, że połamane żebra przebiły płuca. Oddech Shony stał się rwany chrapliwy, a potem rozpaczliwie płytki. Wstrząsnęły nią drgawki - pogruchotane ciało walczyło o życie.

Josie, pochyliwszy się nad umierającą przyjaciółką, przyjrzała się uważnie jej twarzy. Shona była trupioblada, umazana błotem i krwią, która strużkami sączyła się z kącików ust. Ciemne, pełne przerażenia oczy z wolna przesłaniała mgielka; Shona traciła ostrość widzenia. Widziała, że Josie znowu unosi kamień, ale to był koniec, nic więcej do niej nie dotarło.

Josie wiedziała, że przyjaciółka już nie żyje, ale musiała mieć pewność. Strzasknęła jej twarz kamieniem, łamiąc lewą kość policzkową i prawie wybijając szczękę. Wyczerpana wysiłkiem sturlała się ze sztywniejącego ciała i ciężko dysząc, usiadła obok na trawie.

Patrzyła na rozlewające się cienie miasta biegnącego w dół. Teraz nie mogła tam iść. Nie mogła też wrócić do domu. Nie miała pojęcia, dokąd pójdzie ani co zrobi. Pomyślała, że mogłaby zostać w parku w nadziei, że nikt nie przyjdzie jej szukać. A może po prostu powinna próbować uciec.

Nie miała wyboru. Musiała zabić Shonę. Nie czuła się winna, nie żałowała tego, co zrobiła. Po prostu jej ulżyło.

Jesteśmy poza domem. Uciekliśmy. Po raz pierwszy od miesiący udało nam się z Lizzie wymknąć z domu bez dzieci. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak zrobiliśmy. Fakt, że stoimy w małej, ciemnej i śmierdzącej potem sali koncertowej, w której tłoczy się sześćset, a może nawet siedemset osób, nie ma znaczenia. Muzyka w tle już ogłusza, mimo że koncert jeszcze się nie zaczął. Wszystkie światła pogaszono. Szansa, że uda nam się porozmawiać, jest zerowa.

- Dziwne uczucie, co?! - krzyczy do mnie Liz.

Musiała stanąć na palcach i wrzasnąć mi do ucha.

- Co takiego?! - odkrzykuję.

- Że nie ma z nami dzieci. Odwykłam od tego. Wciąż się rozglądam, bo wydaje mi się, że zaraz któreś zobaczę.

- Naciesz się tym. Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz wyszliśmy tylko we dwoje?

- Miesiące! - z trudem przekrzykuje hałas.

Rozmowa szybko się urywa. Od krzyku boli mnie gardło, choć koncert nawet się nie zaczął. Patrzę na scenę, gdzie ludzie z ekipy sprawdzają światła, dźwięk i instrumenty. Ile czasu potrzebują na przygotowania? Mam wrażenie, jakby rozstawiali się całe wieki, więc chyba już niedługo się zacznie. Ktoś rozkłada ręczniki, rozstawia drinki i taśmą klejącą mocuje do podłogi listy z kawałkami, które zespół zagra na koncercie.

Chryste, co to było? Poczulem uderzenie w bok i zanim zorientowałem się, co się dzieje, wylądowałem na podłodze. Usiłowałem szybko się poderwać; serce waliło mi jak oszalałe. Liz chwyciła mnie za rękę, by pomóc mi wstać. Nie chcę dzisiaj żadnych problemów. Nie najlepiej radzę sobie w konfrontacjach. Naprawdę nie chcę żadnych kłopotów.

- Przepraszam, stary! - krzyczy do mnie podekscytowany, podchmielony fan.

Trzyma teraz już tylko w połowie pełne szklanki z drinkami. Sądząc po jego mętnych i rozbieganych oczach, nawalił się prochami lub alkoholem, a może jednym i drugim. Stoimy blisko konsoly i obok nas ciągnie się po podłodze przykryte wykładziną wybruszenie, którym - jak sądzę - biegną kable. Widać ten idiota potknął się i upadł na mnie. Mamrocze raz jeszcze, że przeprasza, i zataczając się, niknie w tłumie.

- Nic ci nie jest? - pyta Liz, ścierając z mojej koszuli resztki drinka.

- Wszystko w porządku - odpowiadam szybko.

Serce nadal bije mi dziesięć razy szybciej niż normalnie. Z ulgą przyciągam do siebie Lizzie. Obejmuję ją. Kiedy jest blisko mnie, czuję się bezpieczniej. Ostatnio rzadko kiedy możemy być tak blisko siebie. Taką cenę płaci się za zbyt dużo dzieci zbyt szybko pojawiających się w za małym mieszkaniu. To zabawne, że kiedy stoimy w pomieszczeniu wśród tysiąca obcych ludzi, jest mniej prawdopodobne, że ktoś nam przeszkodzi, niż kiedy jesteśmy w domu z trojgiem dzieci.

Lizzie odwraca się i znowu staje na palcach, żeby coś mi powiedzieć.

- Myślisz, że z tatą wszystko w porządku?!

- A czemu miałyby nie być?! - wrzeszczę w odpowiedzi.

- Martwię się, bo może 011 uważa, że go wykorzystujemy. Przez większość czasu opiekuje się Joshem, a teraz znowu wieczorem siedzi z całą trójką. To duża przysługa. Nie robi się młodszy i myślę, że już zaczyna mieć dość.

- Wiem, że ma dość. Naskoczył na mnie, zanim wyszliśmy.

- Co mówił?

Ile jej powiedzieć? Nie najlepiej dogadujemy się z Harrym, ale staramy się zachowywać jak cywilizowani ludzie przez wzgląd na Lizzie. Nie był wniebowzięty dziś wieczorem, ale wiem, że nie chciałby tym martwić Lizzie.

- Niewiele - odpowiadam, wruszając ramionami. - Narzekał tylko, że więcej czasu spędza z moimi dziećmi niż ja. Rzucił nawet ciut przyciężki żart, że Josh mówi na niego „tato”.

- Próbuje ci dogryźć. Nie przejmuj się nim.

- Zawsze próbuje mi dogryźć.

- To taki wiek.

- Kiepska wymówka.
- Po prostu nie przejmuj się nim - powtarza.
- Nie przejmuję się - kłamię, by nie ranić jej uczuć.

Prawda jest taka, że Harry zaczyna mnie drażnić i mało brakuje, żebyśmy skoczyli sobie do gardeł.

- Więc co mu odpowiedziałeś?
- Powiedziałem, że doceniam jego pomoc, i przypomniałem mu, że upłynęło co najmniej cztery miesiące, odkąd wyszliśmy tylko we dwoje.
- On cię tylko prowokuje... - zaczyna Lizzie, lecz nagle urywa.

Odwraca się szybko. Światła nagle całkiem gasną. Gdy członkowie zespołu wychodzą z mroku i stają na scenie, tłum ożywa. Po kilku sekundach rozbrzmiewa muzyka, zapominam o Harrym i wszystkim innym.

Po raz czwarty widzę The Men They Couldn't Hang. Minęło kilka lat od ostatniego razu i cudownie słuchać ich znowu. Nie mogłem się doczekać tego wieczoru, odkąd kilka miesięcy temu zarezerwowałem bilety. Nigdy nie mam dość tego przyływu adrenaliny, kiedy słucham dobrej muzyki na żywo i tak głośno, jak teraz. Fakt, że znowu słucham tych piosenek, odrywa mnie od codzienności i pomaga zapomnieć o rzeczach, którymi zwykle bezsensownie się zamartwiam. Mocniej przytulam Lizzie. Póki muzyka gra, nie muszę nic robić, mogę słuchać, odprężyć się i dobrze bawić.

Zagrali już sześć, może siedem piosenek - nie jestem pewien, ile dokładnie - i sala koncertowa tętni życiem. Zebrał się spory tłum, panuje niesamowita atmosfera. Swill gra pierwsze nuty jednego z moich ulubionych kawałków. Natychmiast go poznaje, dużo wcześniej niż wszyscy. Czuję, jak jeżą mi się włoski na karku, przyciskam do siebie Lizzie jeszcze mocniej. Dobrze wie, jak kocham tę piosenkę.

Teraz naprawdę złapali falę, jakby nigdy nie przestali grać. Słuchanie tej muzyki przywołuje tyle wspomnień. Przypominam sobie, kiedy pierwszy raz usłyszałem tę piosenkę, tuż po tym, jak zdałem egzamin na prawo jazdy. Właśnie kupiłem pierwszy samochód. Starego grata - ubezpieczenie kosztowało więcej niż sam wóz. Wybrałem się z kilkoma kumplami do...

Swill przestał grać.

Dziwne. Uderzał w struny i śpiewał, a teraz przestał. Reszta zespołu gra bez niego. Jakby zapomniał, gdzie jest i co ma robić. Wypuścił z rąk gitarę, która wisi mu teraz na pasku na szyi i kołysze się na boki. Facet spędził ostatnie czterdzieści minut, grając i śpiewając, wkładał w to całe serce, a teraz po prostu stoi nieruchomo na środku sceny ze zwieszoną głową i gapi się w mikrofon. Zapomniał słów? Niech to szlag, robił to w końcu wystarczająco długo. To na pewno nie może być zwykła trema ani nic w tym stylu. Jakieś kłopoty techniczne? Może chory? Muzyka rozbrzmiewa jeszcze przez kilka taktów, po czym członkowie zespołu jeden po drugim dostrzegają, że coś jest nie tak. Gitarzysta przestał grać i patrzy na Swilla, próbując zrozumieć, co, u diabła, się dzieje. McGuire, basista, z wahaniem urywa i tylko perkusista wybija jeszcze kilka głuchych taktów bez żadnego akompaniamentu. W końcu i on przestaje. Teraz Lizzie, ja, reszta zespołu i cała widownia gapimy się na chwiejącego się lekko Swilla, który stoi niepewnie w świetle reflektorów.

Tłumowi to się nie podoba. Przez chwilę trwała pełna niepokoju cisza, ale teraz ludzie zaczynają się nakrecać. Wykrzykują wyzwiska i powoli zaczynają klaskać. Nie mam pojęcia, co się stało. Denerwuję się. Chciałbym, żeby wreszcie coś się wydarzyło...

Myślę, że zaraz zejdzie ze sceny. Swill robi kilka kroków w tył i staje. Teraz trzyma gitarę i bierze nią zamach, unosi nad głową. Przez chwilę nieruchomy, rozgląda się po scenie, jakby nie słyszał wyzwisk i wrzasków setek ludzi, którzy gapiąc się na niego, wrzeszczą, żeby wziął się w garść i zaczął grać. Cush podchodzi do niego i Swill wreszcie się porusza. Nagle ożywa i niespodziewanie rzuca się w lewo. Trzymając gitarę za gryf, wymachuje nią, jakby to była broń. Rzuca się na Simmondsa, głównego gitarzystę, i znowu bierze zamach gitarą, uderzając faceta z całej siły w skroń. Simmonds próbuje się zasłonić ręką, ale atak jest zbyt szybki i nieoczekiwany, żeby miał szansę się obronić. Siła uderzenia sprawia, że gitarzysta leci na perkusję, łapiąc się za szczękę. Ale

to nie koniec. Swill staje nad nim i zaczyna go okładać gitarą raz za razem. Niech to szlag, wali w niego tak mocno, że drewniany instrument rozpada się na drzazgi. Nic nie rozumiem. Może pokłócili się przed wyjściem na scenę albo coś w tym stylu? Ten facet zawsze robił wielkie halo z faktu, że jest pacyfistą. A teraz patrzcie! Co, do cholery, Simmonds zrobił, żeby zasłużyć sobie na coś takiego? McGuire próbuje ich rozdzielić...

Na widowni zaczyna się robić nieprzyjemnie. Najpierw wszyscy tylko stali i patrzyli z niedowierzaniem, ale teraz ludzie zaczynają reagować na to, co widzą. Ci z pierwszych rzędów próbują się przepchnąć, żeby wyjść, mała grupka zagrzewa Swilla i próbuje podejść bliżej, skandując jego imię i judząc. Większość po prostu stoi i gapi się na scenę. Zerkam znowu i ledwo wierzę własnym oczom. Swill znowu stoi po środku sceny, kręcąc po szerokim łuku stojakiem od mikrofonu. Simmonds leży wyciągnięty na plecach na szczątkach perkusji i się nie msza. McGuire idzie na czworakach przez scenę, próbując pomóc gitarzyście. Dwóch ludzi z ekipy biegnie do Swilla. Jeden z nich obrywa stojakiem od mikrofonu prosto w pierś, drugi robi unik i łapie muzyka w pasie, próbując go unieruchomić. Nic z tego. Swill kopie, wali pięściami i wrywa się. Potyka się o monitory i znika w ciemnościach między sceną a barierkami ochrony. Głośniki nagle sprzęgają się i słychać potworny hałas.

Straciłem go z oczu.

Już go nie widzę.

Nagle znów się pojawia. Przepycha się między barierkami i wpada w tłum. Podarta w strzępy koszulka wisi na nim jak szmata.

Widownia reaguje dziwną mieszanką strachu i podziwu. Niektórzy uciekają przed nim, inni biegają ku niemu.

- Chodźmy! - krzyczy do mnie Lizzie.

- Co?

- Chcę stąd wyjść - powtarza. - Teraz. Proszę. Chcę wyjść.

Spora grupa próbuje wycofać się spod sceny. Światła zapalają się i wszyscy przyśpieszają kroku, kiedy już widzą, dokąd iść. Przepychamy się w stronę wyjść, roztrzaskując łokciami zszokowanych i przerażonych ludzi, biegnących we wszystkich kierunkach. Chcemy uciec, nim sprawy przyjmą jeszcze gorszy obrót. Pośrodku sali koncertowej walka zaczyna wyglądać jak zamieszki uliczne. Nie widzę, co się stało ze Swillem, ale wielu fanów, wściekłych, nawalonych albo po prostu lubiących bójki, rzuciło się w sam środek krwawego chaosu.

Już się formuje zator przy drzwiach, gdy masa ludzi próbuje uciec z sali. Łapię Lizzie za rękę i ciągnę do najbliższego wyjścia. Otaczają nas ludzie, więc zamiast szybko wybiec, możemy tylko przesuwać się powoli, noga za nogą. Spora grupa zwalistych, ogolonych na łyso ochroniarzy przepycha się do sali drzwiami na lewo od nas. Nie jestem pewien, czy zjawili się, żeby zakończyć bójkę, czy też żeby się do niej przyłączyć. Nie zamierzam czekać, żeby się przekonać.

Wychodzimy przez podwójne drzwi i zbiegamy po krótkich, kamiennych schodach - wreszcie udaje się nam wydostać na ulicę. Leje jak z cebra. Wokół nas wszędzie ludzie biegną we wszystkich kierunkach.

Nie mam pojęcia, co się właściwie przed chwilą wydarzyło.

- Nic ci nie jest? — pytam Lizzie.

Wygląda na przerażoną i zszokowaną.

- Wszystko w porządku - odpowiada. - Chcę wracać do domu.

Ściskam mocniej jej dłoń i ciągnę przez zdumiony tłum. Niektórzy kręcą się przed drzwiami sali koncertowej, ale większość wraca do domów. Jestem wściekły jak rzadko, ale staram się tego nie okazać. To po prostu typowe, sądząc po tym, jak ostatnio układa się w moim życiu. Dlaczego wszystko musi być takie skomplikowane? Chciałem tylko zwyczajnie się zrelaksować, wyłączyć na chwilę i zabawić raz na jakiś czas, a co z tego wyszło? Uwielbiany od lat idol utracił całą wiarygodność i schrzanił mój pierwszy od miesiący wieczór z Liz. Typowe, niech to szlag.

Pieprzona primadonna.  
Skręcamy w boczną uliczkę i biegniemy do samochodu.

SOBOTA



Q wpół do siódmej budzik przeraźliwym dźwiękiem wyrzywa mnie ze snu. Wyłączam go po omacku. Przez dobrą minutę usiłuję sobie przypomnieć, jaki mamy dziś dzień. Muszę wstawać? Jestem pewien, że to sobota, tylko zapomniałem wyłączyć budzik. Przez chwilę leżę nieruchomo i powoli, z trudem przypominam sobie, co było wczoraj. Powraca do mnie kolejny nudny dzień w biurze, rozmowa z Tiną Murray, która poprosiła mnie do pokoju i objechała z powodu mojego podejścia do obowiązków. Przypominam sobie koncert, bójkę i naszą ucieczkę. Chryste, co właściwie się stało zeszłego wieczoru? Teraz to nieistotne. Ważne tylko, że jest sobota, nie muszę wstawać i iść do pracy.

Przekręcam się na bok i obejmuję Lizzie. Wczoraj wyglądała na wyjątkowo szczęśliwą. Obojgu nam dobrze zrobiło, że wyszliśmy i spędziliśmy trochę czasu razem. Szkoda, że tak to się skończyło. Kiedy wróciliśmy do mieszkania, musiałem odwiedzić Harry'ego. Potem otworzyliśmy kilka puszek piwa i siedzieliśmy przed telewizorem, oglądając jakiś kretyński film akcji i pozwalając sobie robić wodę z mózgu.

Przysuwam się trochę do Liz i czekam, jak zareaguje. Kiedy nic nie robi, przysuwam się bliżej i przyciskam do niej mocno. Ostatnio nie mamy szans nawet na odrobinę intymności. Dawno minęły czasy, kiedy w każdej chwili mogliśmy wskoczyć do łóżka. Teraz zawsze jest coś do zrobienia albo ktoś, kim trzeba się zająć. Dzieci wszystko zmieniły. Żałuję, że nie mogłem na chwilę wypożyczyć cudzych dzieci, zanim zafundowałem sobie własne. Nie wiedziałem, jak bardzo mogą uprzykrzyć niegdyś proste i nieskomplikowane życie.

Wyczuwam skórę Lizzie przez jej piżamę. Jest cudownie miękka i ciepła. Gdyby nie było tak wcześnie, mógłbym zaryzykować i wsunąć rękę pod jej koszulkę. Czasem, jeśli jestem odpowiednio delikatny, taki ruch może coś zapoczątkować. Ale o tej porze Liz prędzej mnie kopnie, niż przytuli. Ale pamiętam, jak kilka tygodni temu, kiedy oboje byliśmy w kuchni, otarła się o mnie. Ja stałem przy zlewku i zmywałem. Przerwałem, odwróciłem się, a ona spojrzała na mnie, jak to ona potrafi. Pocałowałem ją i już nie mogłem się powstrzymać. Złapałem ją mokrymi rękoma i pchnąłem na stół. Zdjęła bluzkę i...

- Tatusiu, ja chcę śniadanie - odzywa się Ellis stojąca w ciemnościach przy łóżku.

Rany, śmiertelnie mnie wystraszyła. Nie miałem pojęcia, że tam jest. Moja zaczynająca się erekcja nagle wędnie.

- Za wcześnie - mruczę. - Wracaj do łóżka.

- Jestem głodna - odpowiada.

- Za chwilę.

- Aleja teraz jestem głodna. Nie mogę czekać.

- Później.

- Teraz - żąda z większym uporem, niżbym się spodziewał po czteroipółletniej dziewczynce.

Nie zamierza wyjść. Będę musiał wypróbować inną taktykę.

- A może wejdiesz na chwilę do nas do łóżka, skarbie? - proponuję z nadzieją, szybko odsuwając wszelkie myśli o seksie. - Za kilka minut wstaniemy i zrobimy ci śniadanie.

Lepsza godzinka z Ellis w łóżku niż wstawanie. Spodziewam się oporu, ale ku mojemu zaskoczeniu ona się zgadza. Wdrapuje się na łóżko i wpycha między mnie a Lizzie. Chryste, stopy ma zimne jak lód. Rozdrażniona Lizzie mruczy coś niezrozumiałe, czując zimne stopy córki.

Trzydzieści sekund ciszy i Ellis znowu zaczyna.

- Tatusiu, poproszę tost - mówi.

Muszę jej przyznać, że chociaż jest irytująca, to przynajmniej uprzejma.

- Za minutkę. - Ziewam, obracając się znowu na bok, naciągając kołdrę, kręcąc się i wyginając, żeby uniknąć kontaktu z jej lodowatymi stopami. - Poleżmy jeszcze chwilę, dobrze...?

Zgadza się, ale cały czas gada. I gada. I nieustannie gada. Zaciskam powieki i naciagam kołdrę na głowę.

Z Ellis udało mi się przeleżeć jeszcze dwadzieścia minut w łóżku, aż w końcu skapitulowałem i wstałem. Jestem teraz w kuchni i czekam, aż się zagotuje woda. Oboje jesteśmy ubrani, a Ellis ma swoje śniadanie, ale wciąż bez przerwy gada o niczym. Lizzie jeszcze leży w łóżku. Nic jej nie przeszkadza w spaniu. Szkoda, że ja tak nie potrafię.

Zimno tu jak diabli. Tego mieszkania nie da się ogrzać. Podejrzewam, że jest tak lodowato, ponieważ reszta budynku stoi praktycznie pusta. Mieszkamy po lewej stronie na parterze, a ciepło ze staromodnego systemu grzewczego po prostu unosi się i znika na pustych piętrach nad nami. Zastanawiałem się nawet, czy nie powinniśmy przenieść się wyżej i sprawdzić, czy tam będzie lepiej.

Biorę napój i miskę płatków, żeby usiąść przed telewizorem. Nie ma nic do oglądania; znajduję tylko gówniane kreskówki, programy kulinarne i z poradami, hałaśliwe, obrażające ludzką inteligencję programy dla dzieci. Zostaję przy wiadomościach, ale tego ranka nawet nagłówki są nudne (zamieszki w stolicy, skandal seksualny dotyczący pewnego polityka i jego bratanka, kolejne ostrzeżenie przed zmianą klimatu i doniesienie o śmierci jakiejś gwiazdki). Czekam, że zacznie się sport. Zwykle dają go tuż przed pełną godziną.

Chryste, teraz już wszystkie dzieciaki wstały. Dlaczego muszą budzić się tak wcześnie? W tygodniu trzeba je zwlekać z łóżek. Minęło raptem kilka minut, a już słyszę, jak Ed i Josh się o coś kłóca. Zamykam oczy i czekam, aż wsiądą na mnie. To tylko kwestia czasu...

- Ja chcę oglądać kanał 22 - mówi Ed, wparowując do pokoju.

Czy całe jego życie toczy się wokół telewizji?

- Oglądam coś - szybko odpowiadam, zdenerwowany, że mi przeszkadzają.

- Z zamkniętymi oczami? - pokpiwa drwiącym tonem, co sprawia, że mam ochotę go trzepnąć.

- Tak, z zamkniętymi oczami - warczę. - Czekam, aż coś się zacznie.

- Naprawdę muszę obejrzeć kanał 22 - marudzi.

- Pooglądaj u siebie - proponuję rozsądnie.

Kupiliśmy Edowi na zeszlą gwiazdkę telewizor. I, do cholery, prawie z niego nie korzysta.

- Tam nie odbieram kanału 22.

- Przykro mi, synu, ale teraz ja coś oglądam. Potem będzie twoja kolej.

- To niesprawiedliwe! - wrzeszczy na mnie. - Ja nigdy nie mogę niczego obejrzeć.

Cholerny gnojek. Całe życie spędza przed tym pudłem. A kiedy ja mógłbym mieć swoje pięć minut? To mój telewizor i mogę oglądać, co mi się podoba i kiedy mi się podoba. Nie wiem czemu, ale łapię się na tym, że próbuję usprawiedliwiać się przed moim ośmioletnim synem, bo chcę obejrzeć przez kilka minut program.

- Ty wiecznie oglądasz telewizję. Gdy na ciebie patrzę, zawsze siedzisz przed telewizorem.

- Nieprawda. To niesprawiedliwe, nigdy nie dajesz mi obejrzeć tego, co chcę.

Słyszę muzykę zapowiadającą wiadomości sportowe. Otwieram oczy. Ed stoi dokładnie między mną a telewizorem.

- Słuchaj, to tylko pięć minut. Daj mi obejrzeć program, potem możesz włączyć swój.

- Moja kolej wybierać - wtrąca się Ellis.

Nawet nie wiedziałem, że tu jest. To już drugi raz dzisiaj tak mnie załatwiła.

- Nieprawda! - krzyczy Ed. - Ja potem oglądam swój program.

- Ale ty masz własny telewizor, a ja nie. To niesprawiedliwe, prawda, tato?

- Masz pecha, ja pierwszy zapytałem.

- Ja zapytałam mamę wczoraj wieczorem. Powiedziała, że rano mogę oglądać, co będę chciała. Powiedziała, że...

- Zamknijcie się oboje! - wrzeszczę wystarczająco głośno, żeby usłyszeli mnie lokatorzy na ostatnim piętrze.

Zrozpaczony chowam głowę w dłoniach. Dziennikarka sportowa już się rozkręciła, ale ja nie usłyszałem nawet jej jednego cholernego słowa.

- Powiedz jej, tato - warczy znowu Ed, nie zamierzając rezygnować. - Ja potem oglądam program.

- Wcale że nie. Mamusia powiedziała, że będę mogła...

- Mam to gdzieś, tata powiedział, że...

- Zamknąć się! - przerywam im. - Na miłość boską, zamknijcie się oboje.

- To ona zaczęła - jęczy Ed.

- Nie, to on - zawodzi Ellis. I tak na zmianę...

Koniec. Krótkie wiadomości sportowe już się skończyły. Jasna cholera, tylko straciłem czas. A chciałem dla siebie niecałe pięć minut. Czy to tak dużo? Wstaję i wyłączam telewizor, i na cudowną chwilę zapada absolutna cisza.

- Jeśli ja nie mogę obejrzeć telewizji, to nikt nie będzie oglądał - oznajmiam obojgu.

Przez sekundę patrzą na mnie osłupiali. A potem się zaczyna.

- To niesprawiedliwe! - krzyczy Ed, czerwony z gniewu. - Nie możesz tak!

- Mogę. A teraz cisza.

Nagle pokój wypełnia wrzask, oboje protestują jednocześnie. Jest tak głośno, że po chwili Josh chwiejnym kroczkiem wchodzi do pokoju i zaczyna krzyczeć, bo tamci dwoje też się wydzierają. Ignoruję całą trójkę. Przechodzę obok nich i pędzę przez mieszkanie do łazienki. Siadam na sedesie. Zamek w drzwiach jest popsuty, więc muszę blokować drzwi nogą, żeby dzieciaki tutaj nie wpadły.

- Tato, powiedz mu! - wrzeszczy Ed przed łazienką.

Chryste, czy naprawdę nie mam gdzie uciec? Co zrobić, żeby mieć chwilę spokoju i ciszy...

- Tato, Josh bawi się pilotem!

Nie mogę się zmusić do reakcji. Wiem, że on wie, że tu jestem, ale nie mogę się zmusić, żeby się odezwać. Ed popycha drzwi z drugiej strony, więc zapieram się nogą nieco mocniej.

- Tato... tato, wiem, że tam jesteś...

Odchyłam głowę i gapię się w sufit. Kątem oka dostrzegam okienko. Jest dość małe, ale mieszkamy na parterze i myślę sobie, że pewnie przecisnąłbym się przez nie, gdybym się postarał.

Jezu Chryste, co mi przychodzi do głowy?

Naprawdę zastanawiam się nad tym, by uciec z własnego domu przez okno w kiblu? Jasna cholera, w życiu musi chodzić o coś więcej niż tylko o to.

Chris Spencer układał podjazd przy Beechwood Avenue od prawie półtora dnia, a końca roboty nie było widać, Jackie, znajoma znajomej jego dziewczyny płaciła gotówką. Zaczął kopać i układać podkład wczoraj z samego rana i teraz - w sobotę w porze lunchu - miał ułożoną kostkę na dwóch trzecich podjazdu. To była ciężka, fizyczna praca, a dziś został sam ze wszystkim, bo brat, który zwykle za kilka funtów pomagał mu w takiej robocie, go wystawił. Dzień był zimny, ale przynajmniej teraz nie padało. Wcześniej lało i już się zastanawiał, czy zwitek gotówki, który miał nadzieję wkrótce schować do kieszeni, wart był takiego wysiłku i utraty cosobotniego porannego wylegiwania się w łóżku.

Taczka znowu była pusta. Zmęczony i głodny wstał, otrzepał piasek z kolan, zamierzając ruszyć po kolejny ładunek kostki. Jeszcze kilka godzin ciężkiej harówki, pomyślał, i zostanie mu tylko ułożenie obrzeża z kamienia. Podjechał z tawką do w połowie tylko wypełnionej palety leżącej na trawiastym poboczu przy drodze. Uśmiechnął się w duchu, widząc, że jego wyliczenia okazały się trafne. Powiedział Jackie, że będzie potrzebował dwóch i pół palety kostki, ale wyglądało na to, że wystarczą mu dwie. Upchnął więc resztę w głębi furgonetki, użyje ich przy następnej robocie. Niewielka to oszczędność ale zawsze coś. Zysk jak każdy.

Zdażył napełnić tawkę do połowy, kiedy zatrzymał się obok niego motocykl. Wielka, potężna maszyna o szerokiej rurze wydechowej i ryczącym silniku. Chris słyszał, jak nadjeżdża, kiedy motor zaczynał podjeżdżać na wzgórze. To pewnie syn Jackie, pomyślał. Wspominała, że syn zajrzy do niej dziś popołudniu. Chris zerknął i skinął na powitanie motocyklicy, który parkował maszynę i stawiał ją na podpórce. Odziany w skórę chłopak opuścił osłonę przeciwsłoneczną i zdjął kask.

- W porządku, bracie? Jak ci idzie? - zagadnął. - Mama mówiła, że dobrze to wygląda.

- Już prawie kończę - odparł Spencer, ładując kilka ostatnich kostek na tawkę i się prostując. Przeciągnął się i spojrzał na chłopaka. - Za kilka godzin powinienem skończyć. Muszę tylko ułożyć resztę kostki i wykończyć boki. Myślę, że to...

Urwał, gapiąc się na twarz syna Jackie.

- Co się stało?

Spencer nie potrafił odpowiedzieć. Zaniemówił. Nagle ogarnął go niewytłumaczalny strach. Serce waliło mu jak oszalałe. Cofnął się kilka kroków w stronę domu, potknął o krawędź ułożonych przez siebie kostek i upadł na plecy. Syn Jackie podszedł do niego i podał rękę, żeby mu pomóc wstać.

- Dobrze się czujesz, bracie? Może przynieść ci wody?

Spencer się cofnął. Wstając niezdarnie, chwycił ciężki młot kamieniarski. Rzucił się na syna Jackie, łapiąc go lewą ręką za gardło. Obaj stracili równowagę i upadli na ziemię; chłopak wylądował na plecach, a Spencer na nim, przyciskając go całym ciężarem.

Spencer uniósł ponadkilogramowy metalowy młot i uderzył chłopaka w sam środek twarzy. Czoło i grzbiet nosa zapadły się; zaatakowany umarł niemal natychmiast. Spencer podniósł zakrwawiony młot i uderzył jeszcze pięć razy w to, co zostało z twarzy; głowa chłopaka stała się wklęsła - zapadła się w sobie niczym sflaczała piłka.

Spencer się podniósł. Stał, ciężko dysząc nad trupem, póki znów nie stracił równowagi. Jackie, wyjąc jak upiór, wybiegła z domu i odepchnęła go od ciała syna. Krzyknęła i padła na ziemię, gdy zobaczyła masę pogruchotanych kości i krwawą miazgę w miejscu, gdzie kiedyś była twarz. Podniosła wzrok na Spencera, ale zobaczyła tylko zbliżającą się do niej krawędź młota kamieniarskiego.

Wiem, że się spóźnimy, ale niewiele na to poradzę. Gdyby powiedziała mi z większym wyprzedzeniem, że mamy zawieźć Edwarda na urodzinowe przyjęcie kolegi, nie byłoby problemu. Pół godziny, żeby zebrać dzieci i wyjść z domu, to za mało. Trochę żałuję, że nie przypomniała sobie za godzinę. Oczywiście chcę, żeby Ed dobrze się bawił i miło spędził czas, ale nie marzę o tym, by siedzieć przez kilka godzin w przyjaznej dzieciom i wrogiej dorosłym „wesolej stodole” przy pubie. Nie tak zamierzałem spędzać sobotnie popołudnie.

- Dojedziemy, kiedy dojedziemy - odpowiadam. - Nakręcanie się w niczym tu nie pomoże.  
- Nie nakręcam się - warczy, udowadniając, że jest wręcz przeciwnie. - Po prostu nie lubię się spóźniać.

- Nie spóźnimy się. Mamy jeszcze parę minut, a pub jest tuż za rogiem.

- Wiem, ale zobacz, jakie korki.

- Pewnie był jakiś wypadek albo coś takiego - mówię, prostując się na siedzeniu i wyciągając szyję, żeby zobaczyć coś więcej na drodze. - Chyba coś się dzieje na wzgórzu. Kiedy minimy to miejsce, ruch będzie normalny.

Słyszę głuchy odgłos uderzenia i zduszony krzyk za sobą, przez ramię rzucam spojrzenie dzieciom tłoczącym się na tylnym siedzeniu i piorunuję je wzrokiem. Nie cierpią siedzieć w tym samochodzie prawie tak samo, jak ja. Jest dla nas za mały, ale co mam zrobić? Nie stać nas na nowy, więc na razie muszą to znosić. Wszyscy musimy. Lizzie patrzy na nie, a potem przysuwa się do mnie.

- Będziemy musieli dać im coś do jedzenia - szepcze, zniżając głos tak, żeby jej nie usłyszały.

- Ed zje na przyjęciu, nie?

- Tak, ale...

- Pozostalej dwójce kupimy paczkę chrupek albo coś w tym stylu - mówię szybko, nim coś strzeli jej do głowy. Dobrze wiem, do czego zmierza.

- Będą potrzebowały czegoś więcej. Będziemy poza domem parę godzin. Dlaczego nie ułatwimy sobie życia i nie zjemy czegoś na mieście?

- Bo nas nie stać.

- Daj spokój, Danny, przecież moglibyśmy... I tak będziemy siedzieć w pubie.

- Nie stać nas - powtarzam. Można to jakoś jaśniej ująć? - Słuchaj, podrzucimy Eda, wrócimy do domu i zjemy jakiś obiad. Potem wrócę i odbiorę go po przyjęciu.

- Warto tak się męczyć i wydawać pieniądze na benzynę? Po prostu siadźmy tam, zjedźmy coś i potem...

- Nie stać nas - powtarzam ze złością po raz trzeci, kiedy dojeżdżamy na szczyt wzgórza i mijamy przyczynę korka. Zerkam we wsteczne lusterko i widzę, że dzieciaki przyciskają buzie do szyby, próbując zobaczyć, co się dzieje.

- Nie gapcie się! - krzyczę.

Ale sam nie mogę się powstrzymać i zerkam. Policja zablokowała wjazd od jednej z uliczek odchodzących od Mapie Street.

- Dwadzieścia funtów - ciągnie Lizzie. Niech to szlag, nie da mi spokoju. - Chcesz powiedzieć, że nie znajdziesz dwudziestu funtów, żeby nakarmić rodzinę?

- Tak - odpowiadam, starając się opanować gniew. - To właśnie ci mówię. - Postanawiam sobie, że tym razem nie dam jej się przekabacić, choćby nie wiem jak bardzo się starała. - Nie mam dwudziestu funtów, a nawet gdybym miał, to po co miałbym je wydawać na posiłek na mieście, skoro w domu mamy lodówkę pełną jedzenia? W domu zjemy za połowę tej ceny.

- Kiedy ostatni raz jedliśmy poza domem?

- A kiedy ostatni razem miałem dość pieniędzy, żeby nas gdzieś zabrać?

- Daj spokój, Danny...

Nie zamierzam odpowiadać. Trzymam głowę na kłódkę i skupiam się na prowadzeniu wozu. Liz zbyt często załatwia mnie w ten sposób. Jest jak pies z kością. Nie puści. Będzie tak zrzędzić i coraz bardziej naciskać, aż w końcu ustąpię, żeby się zamknęła.

Nie tym razem.

Poddałem się. Jestem rozczarowany sobą, ale to było nieuniknione. Po prostu inaczej by nie przestała. Przez całą drogę marudziła i marudziła. Doszedłem do wniosku, że albo ustąpię i dam się oskubać, albo będę obstawał przy swoim, ryzykując, że potem przez cały smętny weekend się do mnie nie odezwie. Kiedy wchodzę do pubu, czuję zapach jedzenia, zerkam do menu i mój opór topnieje. Jestem żaloszny.

Czekamy już na obiad ponad pół godziny i zaczynam podejrzewać, że zapomnieli o naszym zamówieniu. Wcisnęliśmy się w kąt sali jadalni; przyszło mnóstwo ludzi. Jest sobota, pora lunchu, więc spodziewałem się sporego ruchu, ale nie aż takiego. Przy długim, zakrzywionym w podkowę barze siedzi kilka rzędów pijących. Powinienem był to przewidzieć, serio. Po południu jest mecz piłki nożnej. Lokalne derby dwóch drużyn z dołu tabeli, obie strony mają o co walczyć. Boisko, na którym będzie rozgrywany mecz, znajduje się raptem kwadrans stąd spacerkiem. Większość ludzi stłoczonych w pubie to kibice, którzy właśnie zgodnie z tradycją fundują sobie przed meczem kilka głębszych. Założę się, że po pierwszym gwizdku zrobi się tu pusto, ale wtedy już dawno nas tu nie będzie. Kibice obu stron jakoś się znoszą, ale panuje przeraźliwy hałas i czuję się trochę nieswojo. Może po prostu jestem spięty po tym, co zdarzyło się wczoraj wieczorem na koncercie. Boję się, że coś się stanie. Lizzie myśli to samo, poznaję po wyrazie jej twarzy. Cały czas zerka na tłum i ściąga brwi. Zauważa, że patrzę na nią, więc nagle zmienia minę.

- W porządku? - pyta, udając rozluźnioną i zadowoloną, ale mnie tym nie przekonuje.
- Jest świetnie - burczę. - Nadal nie ma jedzenia i nie słyszę własnych myśli.

Ellis sięga przez stół i ciągnie mnie za rękaw.

- Przestań - warczę.
- Kiedy będzie obiad?
- Jak będzie gotowy.
- A kiedy będzie gotowy?
- Nie wiem.
- Cierpliwości - mówi jej Liz. - Gdy tylko ugotują obiad, ktoś go nam przyniesie.
- Aleja chcę teraz - oznajmia, niezainteresowana wymówkami i wyjaśnieniami. - Jestem głodna.
- Wszyscy jesteśmy głodni, kochanie. Gdy tylko obiad będzie gotowy, przyniosą go nam i...
- Ja chcę teraz - powtarza Ellis.
- Nie słyszałaś, co powiedziała mama? - syczę na córkę, nagle tracąc cierpliwość. - Siedź cicho i czekaj. Obiad będzie, jak...

Urywam. Brzęk szkła. Nagle wśród tłumu kibiców rozlega się ryk. Gapię się na masę w spranych dzinsach i futbolowych koszulkach, szukając wzrokiem bójk. Nic się nie dzieje. Czuję ulgę, słysząc śmiechy i drwiny wśród wrzawy.

- Co się stało? - pyta mnie Lizzie.
- Nic. Nic nie widzę...

Bardzo pijany, obłany piwem kibic, zataczając się, przechodzi koło naszego stolika do toalety. Ktoś z obsługi z szufelką i szczotką mija go, idąc w przeciwną stronę. Wygląda na to, że stłukła się butelka, nic poważnego.

Wreszcie zjawia się nasze jedzenie. Zaczynam się ślinić i w brzuchu mi burczy, ale teraz jeszcze nie mogę jeść. Oto kolejna radość rodzicielstwa. Josh siedzi obok mnie i teraz muszę odbębnić rutynowe krojenie i polewanie keczupem jego jedzenia, nim zacznę jeść swoje. Liz i Ellis już od dawna zajadają, kiedy ja dopiero chwytam za swój widelec i nóż.

- Dobrze? - pyta mnie Liz, nim zdążę przełknąć pierwszy kęs.

Chryste, daj mi sekundę, żebym chociaż poczuł smak.

- W porządku. A twoje?

Kiwa głową i przeżuwa.

Przez błogą minutę, może dwie, przy stoliku panuje cisza. W pubie nadal jest głośno, ale kiedy



chwilowo wszyscy skupili się na jedzeniu, nastąpiła miła przerwa w rozmowach. Nie potrwała zbyt długo.

- Chciałabym jutro odwiedzić tatę - mówi Lizzie. - W porządku?

Kiwam głową, jedząc. Nie zaskoczyła mnie. W większość niedzielnych popołudni lądujemy u Harry'ego. Widujemy się z nim praktycznie codziennie, odkąd zgodził się zajmować Joshem, żeby Liz mogła pójść do pracy - zatrudniła się w szkole, do której chodzą Ed i Ellis. Harry nie jest zachwycony, ale zgodził się, bo wie, jak bardzo potrzebujemy pieniędzy.

- W porządku - mówię, gdy wreszcie przełknąłem jedzenie. - Pojedziemy do niego po południu.

- Naprawdę bardzo nam ostatnio pomagał - ciągnie. - Nie chcę, żeby pomyślał, że tylko będziemy brać.

- Jak twoja siostra?

- Zostaw Dawn w spokoju. Ciężko jej, odkąd Mark odszedł.

- Najlepsze posunięcie tego gościa - powiedziałem, może trochę niesprawiedliwie. - Było jej ciężko, kiedy byli razem. Będzie jej ciężko, niezależnie od tego, co się stanie.

- Daj spokój, nie bądź niemiły. Nie jest jej łatwo samej z dziećmi. Nie wiem, jak ja bym sobie poradziła.

- Poradziłabyś sobie. Znalazłabyś jakiś sposób, oboje byśmy znaleźli. Kłopot w tym, że twoja siostra za każdym razem zbyt szybko wybiera najprostsze rozwiązanie. Potrzebuje kogoś, kto...

Przerywa mi nagły, niespodziewany i bardzo głośny brzęk. To Josh. Upuścił na podłogę widelec. Pochylam się, podnoszę go, wycieram papierową serwetką i podaję synowi.

- Moja siostra potrzebuje - kończy zaczęte przeze mnie zdanie Lizzie - odrobiny przestrzeni i więcej czasu, żeby pogodzić się z tym, co się stało i co zrobił Mark. Nie zasłużyła sobie na coś takiego. Nie można zrobić czegoś takiego drugiej osobie i oczekiwać, że...

- Nie mówię, że sobie na to zasłużyła, po prostu uważam, że...

Znowu brzęk metalu na terakocie. Podnoszę widelec Josha po raz drugi, wycieram i mu podaję. Chłopak szczerzy do mnie zęby.

- Mówię tylko, że...

Josh znowu upuszcza widelec. Teraz naprawdę tracę cierpliwość. Podnoszę sztuciec, wycieram i z hukiem kładę go na stole obok talerza syna. Piszczy z uciechy. Irytujący gnojek.

- Zrób to jeszcze raz, a wracamy do domu - grożę mu.

- Po prostu nie zwracaj na niego uwagi - odpowiada Lizzie; nadal jakoś udaje jej się jeść. Ja ledwo tknąłem swój obiad. - Robi to, żeby zwrócić na siebie uwagę. Im bardziej reagujesz, tym chętniej będzie to robił.

Wiem, że Liz ma rację, ale z trudem zachowuję spokój. Staram się skupić na posiłku, ale czuję, jak Josh gapi się na mnie, desperacko próbując nawiązać kontakt wzrokowy. Krzywię się, gdy widelec znowu uderza o ziemię. Wiem, że nie powinienem, ale nie mogę nie zareagować. Łapię widelec z podłogi i przytrzymuję go przed Joshem, poza jego zasięgiem.

- Widelec...- płacze.

- Danny... - ostrzega mnie Lizzie.

- Chcesz wracać do domu? - syczę przez zaciśnięte zęby. - Czy chcesz najpierw skończyć obiad? Zrób to jeszcze raz, a jedziemy.

- Tatuś może kupi ci lody, jeśli skończysz jeść - dodaje Liz.

- Nie kupi - rzucam szybko. - Jasna cholera, dość już wydałem. Nie stać mnie na...

Znowu coś się dzieje wśród kibiców. Chciałbym, żeby się zamknęli, zapatrzona w siebie bydlaki. Jeszcze większa wrzawa. Nerwowa, pełna niepewności. To nie brzmi dobrze. Tym razem nikt się nie śmieje. Odwracam się akurat, żeby zobaczyć, jak tłum rozstępuje się przed przysadzistym, łysym, wytatuowanym facetem, którego goni drugi kibic, prawie dwa razy wyższy, ale ważący połowę. Wpadli na stolik, przy którym jadła rodzina. Ludzie zerwali się z krzeseł i rozbiegli na wszystkie strony.

- Co oni robią? - zapytała niewinnie Ellis. - Bawią się czy biją?

Obaj mężczyźni znowu stoją, a ja modlę się, żeby się nie zbliżyli do nas. Szczuplejszy trzyma wytatuowanego za kurtkę i potrząsa nim. Kępny próbuje złapać się czegoś, ale tamten nie daje mu szansy. Puszczą go, rzuca się na niego i ciosem w pierś przewraca na plecy. Kolejne ostre pchnięcie i tym razem wytatuowany leci tak daleko, że ląduje na plecach na kolejnym stoliku niedaleko od nas. Na wpół opróżnione talerze, sztućce i szklanki lecą na wszystkie strony. Łapię Josha i zerkam, czy Lizzie złapała już Ellis. Brzęk i trzask szkła szybko cichną i zapada nieprzyjemna, nabrzmiała cisza. Wszyscy obserwują bójkę, ale jest tak nagła i tak brutalna, że nikt nie śmie się wtrącić. Wszyscy wiedzą, że powinni coś zrobić, ale nikt się nie rusza.

- Koleś, nie... - krzyczy nerwowo facet leżący na plecach. - Proszę, nie...

Szczupły się rozgląda. Przytrzymując jedną ręką ofiarę, szuka czegoś w resztkach na stole. Coś łapie. Dopiero kiedy unosi rękę nad głowę, widzę, że trzyma nóż stołowy. Kilka następnych sekund ciągnie się przez wieczność. Uderza nożem w pierś wytatuowanego i zatapia go głęboko w ciele. Ale nie dość tego. Pięść ma już we krwi, ale wyszarpuje ostrze i dźga nim raz za razem, raz za razem...

Cholerna jatka.

Chryste, musimy się stąd wynosić. Musimy wyjść. Ten facet oszalał. A jeśli rzuci się na innych? Ludzie tłoczeni w wypchanym po brzegi pubie wpadają w panikę, rzucają się do wyjść, uciekając od dwóch mężczyzn pośrodku sali. Szczupły nadal sieka pierś drugiego ząbkowanym ostrzem. Kępny młóci rękoma i nogami; nawet z daleka widać, że stół i obaj faceci są we krwi.

Ściągam Josha z krzesła i popycham Lizzie w stronę najbliższych drzwi. Ze wszystkich sił staram się zachować spokój, ale jestem śmiertelnie przerażony. No już, ruszcie się, do cholery...! Podchmielona klientela pubu tłoczy się przy wąskich drzwiach i po raz drugi w ciągu mniej niż dwudziestu czterech godzin ugrzęzłem w ścisisku, próbując uciec przed kłopotami. Przyciskam Josha do piersi i zerkam przez ramię, gdzie jest ten wariat z nożem. Jeśli skończył z facetem na stole, to kto wie, na kogo potem się rzuci. Nie chcę być następną ofiarą. Chcę tylko...

- Danny! - słyszę krzyk Liz.

Znowu zerkam. Tłum pociągnął ją za sobą i teraz dzieli nas kilka metrów. Już prawie wyszła. Ogląda się i krzyczy coś do mnie. Nic nie rozumiem.

- Co?

- Ed! - wrzeszczy. - Weź Eda!

Jezu Chryste. Nie ma czasu na myślenie. Przyciskam mocno Josha i nagle zawracam do stodoły. Przejście jest wolne. Ludzie tam nie usłyszeli jeszcze, co się stało. Przechodzę przez podwójne wahadłowe drzwi i rozglądam się za Edem, ale nigdzie go nie widzę. Światła na końcu sali są przygaszone, a wszędzie siedzą rodzice z dziećmi.

- Edward! - przekrzykuję dudniącą muzykę. Ludzie odwracają się i patrzą na mnie, jakbym oszalał. - Ed!

- Tato! - Słyszę, jak woła do mnie. Teraz już go widzę, jest przy drabinkach na końcu sali z kolegą. Biegnę do niego.

- Bierz buty i płaszcz - mówię. - Musimy iść.

- Ale tato... - zaczyna protestować.

- Bierz buty i płaszcz - powtarzam.

- Co się dzieje? - ktoś pyta.

Odwracam się i widzę, że to Wendy Paish, matka jednego z kolegów Eda.

- W pubie coś się stało - mówię, zerkając niespokojnie za synem, który poszedł po rzeczy. - Na twoim miejscu wynosiłbym się stąd. Wszyscy powinni się wynosić.

Podnoszę wzrok i widzę, że obsługa z pubu rozmawia z obsługą ze stodoły i wyglądają, jakby zamierzali ogłosić, że należy opuścić budynek. Ed wrócił w płaszczu. Siada i zaczyna wkładać buty.

- Chodź, synu! - przekrzykuję hałas. - Włóżysz je na dworze. Zmieszany zrywa się i łapie się

mnie, gdy biegniemy do drzwi, mknąc slalomem między nagle opustoszałymi stolikami i krzesłami. Przepychamy się na parking. Widzę, że Liz i Ellis stoją przy samochodzie. Pędzę do nich. Ed kuśtyka koło mnie w jednym bucie. Słyszę zbliżające się syreny.

- Nic wam nie jest? - pyta Liz.
- Nie - odpowiadam, przetrząsając kieszenie w poszukiwaniu kluczyków. Otwieram drzwi i pakujemy dzieci do samochodu. Wskazuję gestem, żeby też wsiadała, a ona posłusznie wskakuje do wozu. Kończę przypinać Josha, siadam za kierownicą i zamykam drzwi na zamek.
- Powinniśmy poczekać na policję? - zastanawia się prawie szeptem Liz.
- Mam to gdzieś - odpowiadam. Włączam silnik i wrzucam wsteczny, żeby szybko uciec z zatoczki do parkowania. Samochody już stoją w korku przy wyjeździe.
- Nikt inny nie czeka - mówię, dołączając się do kolejki. - Po prostu wynośmy się stąd.

7

Jest już po wpół do dziesiątej. Przez godzinę usiłowałem wyjść z sypialni Ellis. Biedna mała, widać, że wstrząsnęło nią to, co dziś zobaczyła. Nic dziwnego, ja też najadłem się strachu. Na zewnątrz nie wydaje się tak bardzo przerażona, ale nie może przestać mówić o tym, co się wydarzyło. Nigdy nie wiadomo, jak takie doświadczenie odbije się na dziecku. Siedziałem w nogach jej łóżka i odpowiadałem na nieprzerwany strumień pytań, które z siebie wyrzucała. Robiłem, co w mojej mocy, ale teraz powoli tracę cierpliwość. Ellis wykorzystuje sytuację, starając się zatrzymać mnie najdłużej, jak się da.

- Więc dlaczego się bili, tatusiu? - pyta po raz kolejny.
- Ellis - wzdycham - już ci powiedziałem sto razy, że nie wiem.
- Już przestali?
- Na pewno. Policja dawno ich powstrzymała.
- Naprawdę?
- Tak, od tego jest policja.
- Czy ten drugi pan jest ranny?
- Tak.
- Będzie teraz w szpitalu?
- Tak.

Nie mówię jej, że pewnie znajduje się w kostnicy szpitala. Pytania nagle się urywają. Jest zmęczona. Oczy zaczynają jej się zamykać. Przysypia, ale będzie z tym walczyć. Powinienem poczekać, aż na pewno przyśnie, ale desperacko chcę się wyrwać. Przesuwam się na łóżku, ostrożnie wstaję i podkradam się ku drzwiom. Porusza się, patrzy na mnie, a ja zamieram.

- A co z moimi frytkami? - mamrocze powolnym i zaspanym głosem.
- Co z nimi? - pytam, znowu się odsuwając.
- Nie skończyłam ich.
- Nikt nie skończył jeść. Mama i tata też nie zjedli wszystkiego.
- Będą tam jeszcze?
- Kto będzie?
- Moje frytki.
- Wątpię.
- Ktoś inny je zjadł?
- Nie, już dawno zrobiły się zimne. Ktoś je wyrzucił.
- Mogę tam jutro wrócić i sprawdzić?
- Nie.
- Dlaczego? Chcę skończyć frytki...
- Ellis...- przerywam jej.
- Co?

- Bądź już cicho i śpij wreszcie. Proszę.

Wreszcie doszedłem do drzwi. Wyłączam światło i czekam na jej reakcję. Nic nie mówi. Do pokoju sączy się teraz tylko światło z przedpokoju. Widzę, że nadal wierci się na łóżku, ale wiem, że zaśnie w ciągu kilku minut.

- Dobranoc, tatusiu - mówi, ziewając.

- Dobranoc, skarbie.

Już mam wyjść, kiedy znowu się odzywa.

- Czy on nie żyje?

Co mam jej powiedzieć? Powiedzieć jej prawdę czy skłamać, żeby oszczędzić sobie dalszych pytań i uspokoić córeczkę? Jestem tchórzem. Postanawiam nie zajmować stanowiska.

- Nie wiem - odpowiadam szybko półgębkiem. - Dobranoc.

Czekam jeszcze chwilę, dopóki nie nabiorę pewności, że śpi.

Wreszcie jestem wolny, ale wykończony. Wlokę się przedpokojem do dużego pokoju. Połowa weekendu minęła, a nie mam wrażenia, żebym choć trochę odpoczął. Wieczorem jest film, który chcemy z Liz obejrzeć. Po ostatnich kilku dniach miło będzie usiąść razem i odprężyć się na chwilę.

Zaglądam przez drzwi do pokoju i widzę, że Lizzie śpi. Wyciągnęła się na całą długość na sofie i pochrapuje. Jestem rozcieszony, ale nie zaskoczony. Przynoszę sobie drinka i coś do przegryzienia z kuchni, po czym szukam miejsca, żeby przycupnąć przed telewizorem. Wszystkie meble są zavalone stosami zabawek i świeżego prania, które trzeba zanieść do szafy. Nie mam siły zajmować się uprzątnięciem tego. Siadam na podłodze przed sofą.

Teraz z kolei nie mogę znaleźć pilota. Przewaliłem prawie całe pranie i przerzuciłem zabawki, ale nigdzie nie widzę tego cholernego ustrojstwa. Założę się, że dzieciaki gdzieś go posiały. Josh ma nawyk wrzucania rzeczy do kosza. Przeglądam śmieci, a potem sprawdzam pod krzesłami i sofą. Już mam się poddać, kiedy widzę, że pilot wystaje spod Lizzie. Musiała na nim zasnąć. Wyciągam go. Liz mruczy coś i przewraca się na plecy, ale śpi dalej.

W samą porę. Jeszcze kilka sekund i wszystko gotowe. Przełączam program i rozsiadam się, żeby nacieszyć się filmem. Wygląda na to, że już się zaczął. Właściwie nawet jakby zaczął się dość dawno. Sprawdzam program telewizyjny. Niech to diabli, zaczął się trzy kwadransy temu.

Sobotnie wieczory zaczynają mnie przygnębiać. Od pewnego czasu wydają się puste i - jeśli mam być szczerzy - żalotne. Nadal jesteśmy młodzi, powinniśmy się bawić, ale nic z tego. Zawsze zaczynam weekend z najlepszymi zamiarami, ale nigdy nic nie wychodzi tak, jak planowałem. Życie rodzinne krzyżuje mi plany. Nie mam wielu przyjaciół, z którymi mógłbym się umawiać, ani zbędnej kasy; dzieci nas nakręcają i absorbują, więc oboje z Lizzie wiecznie jesteśmy zmęczeni. Najczęściej ląduję samotnie przed telewizorem, oglądając bzdury. Dochodzi północ, siedząc samotnie, straciłem godzinę. Liz już wstała i dawno poszła do łóżka.

Film, który przegapiłem, to jedyna warta oglądania rzecz tego wieczoru. To szaleństwo - im więcej masz kanałów telewizyjnych, tym mniej programów wartych oglądania. Siedziałem z pilotem w ręce i przełączałem z programu na program - znalazłem jedynie potworne telefilmie, talk-show z nudnymi gośćmi, bezsensowne reality show, tasiemcowe seriale, konkursy talentów, filmy kręcone dla telewizji, odgrzewane starocie i beznadziejne składanki z CCTV oraz lokalne wideoklipy. Ostatecznie zostałem przy wiadomościach -jak zwykle. To program z wiadomościami przez dwadzieścia cztery godziny, co przez chwilę było interesujące, ale nagłówki lecą zapętlone co kwadrans i powieki zaczynają robić mi się ciężkie, gdy oglądam po raz trzeci to samo. Powinienem pójść do łóżka, ale nie mam siły wstać.

Chwileczkę. Na ekranie wreszcie pojawiło się coś względnie ciekawego. Wyświetlił się pasek z napisem „wiadomości z ostatniej chwili” i przełączyli się do reportera, który właśnie stoi w centrum miasta na rogu ulicy. Poznają to miejsce. Znajduje się niedaleko mojej pracy. Co tam się stało? Próbuje odczytać przewijające się na dole ekranu napisy, ale oczy mam zbyt zmęczone, a słowa przewijają się zbyt szybko. Nagłaśniam i słucham, jak potargany reporter zaczyna mówić o

czymś, co wydarzyło się w Exodus, jednym z modnych barów w centrum miasta. Na ulicy za plecami dziennikarza kręci się mnóstwo ludzi. Chryste, kogoś zabito. Mówi o ataku, do którego doszło w ciągu ostatniej godziny albo coś koło tego. Chwileczkę, nie... miało miejsce kilka ataków. Jakoś musiały się ze sobą wiązać. Wygląda na to, że w miasto ruszył jakiś wariat. W najgorszym dniu tygodnia, jaki mógł wybrać. W sobotnie wieczory centrum miasta zawsze jest pełne ludzi. Wszyscy tam są. Wszyscy poza takimi palantami jak ja, którzy ugrzęźli w domu z dziećmi i małżonką, która zasypia o wpół do dziesiątej.

Oczy znowu mi się zamykają. Staram się nie zasnąć i skupić na tym, co mówią w telewizji, ale nie jest łatwo. Robi się późno i...

Cholerny reporter nadal gada.

Próbuję skupić wzrok na zegarku na półce. Musiałem na chwilę przysnąć. Chwileczkę, na zegarze jest trzecia trzydzieści. Spałem na podłodze kilka godzin. Nic dziwnego, że łupie mnie w kościach. Chryste, cokolwiek wydarzyło się dzisiaj w mieście, to musiała być poważna sprawa, skoro puszczono tak długą relację w państwowej telewizji. Wygląda na to, że wciąż nadają na żywo z miasta. Nie chciałbym pracować jak ten gość - sterczeć tak na rogu ulicy godzinami. Z drugiej strony, przynajmniej nie siedzi w domu...

Plecy mnie bolą. Powinienem był pójść do łóżka dawno temu, razem z Lizzie.

Szybko siadam i zbieram się, żeby wstać. Nie cierpię budzić się w ten sposób. Czuję się jak chory, nogi i ręce mam ciężkie i zdrętwiałe. Wstaję i już mam wyłączyć telewizor, kiedy powstrzymuje mnie coś, co mówi reporter. Nie mówi o tych samych kilku atakach, które relacjonował wcześniej. Wygląda na to, że działo się coś więcej. Wyświetlają teraz mapę miasta z mnóstwem znaczków. Wygląda na to, że działo się dużo, dużo więcej. Oto problem z piciem na umór i sobotnimi wieczorami. W miasto wychodzi tylu ludzi, a wystarczy jeden kretyn, żeby zacząć rozróbę. Ktoś obrywa, wtedy ktoś bierze odwet, ktoś inny próbuje ich powstrzymać i nim się człowiek zorientuje, robi się niezły bajzel. Wygląda na to, że to właśnie wydarzyło się dziś wieczór. Z tego, co się orientuję, były kłopoty w barze, które przeniosły się na ulicę. Pokazują też nagranie z bójki - naćpani i pijani ludzie walczący ze sobą. Posłano tam oddział prewencyjny, żeby spróbował zaprowadzić porządek. Prawie się cieszę, że siedzę i nudzę się w domu. Mapę właśnie aktualizowano i teraz zaznaczono na niej cztery ofiary śmiertelne i ponad trzydzieści aresztowań. Zawsze bezmyślna mniejszość psuje wszystkim zabawę. Ożesz w mordę, właśnie poinformowano o znalezieniu ciała oficera policji z ponad czterdziestoma ranami kłutymi. Chryste, co za zwierzę mogłoby zrobić coś takiego drugiemu człowiekowi?

Zastanawiam się, jak długo reporter będzie tam tkwił.

Jestem zmęczony. Zanim znowu zasnę, wyłączam telewizor i światła, po omacku idę do sypialni.

## NIEDZIELA

### IV

Susan Myers obudziła się obok Charliego, swojego męża od trzydziestu trzech lat. Leżała, milcząc, w półmroku, starając się nie poruszyć. Nie chciała, żeby się zorientował, że nie śpi. Nie chciała

musieć się do niego odzywać. Przez na pół przymknięte powieki patrzyła na zasłonę, którą wydymał wpadający przez lufcik wiatr, odsłaniając chwilami jasny świat na zewnątrz. Co za sens wstawać? W tygodniu udawało jej się jakoś wypełnić czas przyjaciółmi, zakupami i spotkaniami towarzyskimi, ale weekendy a zwłaszcza niedziele, były długie, nijakie i puste. Odkąd jedenaście miesięcy temu Charlie przeszedł na emeryturę, ich życie stawało się coraz bardziej monotonne i nudne. Większość jej przyjaciół miała dzieci i wielu krewnych, którzy wypełniali im życie, ale ona miała tylko męża, który ją nudził. Wyglądał na szczęśliwego, nic nie robiąc, ale ona nie mogła tego znieść. On chciał majsterkować w domu i ogrodzie, ona chciała gdzieś wyjść. Miała ochotę wrzasnąć na niego, krzyknąć, żeby zrozumiał, co czuje, ale wiedziała, że to bez sensu. Nie miał pojęcia, że jest nieszczęśliwa.

No i proszę, pomyślała, kiedy poruszył się i przekręcił na drugi bok. Może - może jednak - tego ranka obejmie ją i powie, że ją kocha. Zacznie ją całować i dotykać, tak jak robił to kiedyś. Minęło tyle czasu, odkąd się kochali, że prawie zapomniała, jak to jest. Przy tych bardzo rzadkich okazjach, kiedy udawało jej się wprawić go w odpowiedni nastrój (ostatnimi czasy zawsze ona musiała wykonać pierwszy ruch), tak się podniecał ich namiętymi porywami - o ile można to tak określić - że zasadniczo w ciągu kilku rozpaczliwie krótkich i pustych minut było już po wszystkim. Minęły miesiące, odkąd się kochali, i całe lata, odkąd doznała spełnienia.

Może powinna zafundować sobie romans? Myślała o tym już wcześniej, ale nie miała odwagi. Charlie pewnie niczego by nie zauważył. Był pewien mężczyzna na lekcjach tańca, na które chodziła w tygodniu. Przyłapała go wielokrotnie, jak zerka w jej kierunku, niemożliwe żeby to był tylko przypadek. Kusiła ją myśl, żeby spotykać się z kimś innym, ale rozumiała, jak wiele by ryzykowała. Obawiała się, że dla chwilowego podniecenia i przygody straci wszystko, na co zapracowali z Charliem. Uwielbiała wspaniały dom, drogie ubrania i wszystkie inne towarzyszące temu drobiazgi. Ogromnie sobie ceniła status społeczny, jaki jej dał, i nie chciała niczego stracić. Ale jeśli mężczyzna z kursu tańca mógł jej dać to wszystko i dodatkowo seks... ?

- Herbaty?

Tak właśnie Charlie zaczynał nowy dzień. Żadnego „dzień dobry” albo „jak się masz” ani „kocham cię” czy cokolwiek w tym rodzaju. Odpowiedzieć czy milczeć i udawać, że nadal śpi?

- Tak, poproszę - burknęła, nadal odwrócona plecami do męża.

Charlie odrzucił kołdrę, wstał z łóżka, po czym starannie poprawił pościel - jak każdego ranka. Wszystko, co robił, zawsze było przewidywalne i bezpieczne. Znała każdy ruch, jaki wykona jej mąż. Wiedziała, że pójdzie do łazienki, gdzie skorzysta z toalety puści wiatry, sam siebie za to przeprosi, umyje się i ogoli, nucąc pod nosem tę samą cholerną melodię, co każdego cholernego ranka. Włoży szlafrok, wróci do sypialni, żeby wziąć kaptcie stojące w nogach łóżka, gdzie postawił je zeszłego wieczoru, i zejdzie do kuchni. Wiedziała, że zatrzyma się na piątym stopniu, żeby rozsunać zasłony i zdmuchnąć kurz z nagrody dla pracownika roku, którą zdobył prawie piętnaście lat temu...

Zacisnęła mocno powieki, zakryła twarz kołdrą i znowu pomyślała o mężczyźnie z lekcji tańca. Czowała pustkę, przygnębienie, czuła się uwięziona i wściekła. Chwilami miała ochotę zabić męża. Tak, doszła do wniosku, że to rozwiązałoby wszystkie jej problemy.

- Piękny dzionek dziś mamy - powiedział wesoło Charlie, kiedy wrócił do sypialni z dwiema filiżankami herbaty.

Zawsze mamy cholerny piękny dzionek! - krzyknęła w myślach. Nawet jak leje i jest wichura, mówi, że mamy piękny dzionek.

- Twoja herbata, kochanie.

Skrzywiła się pod kołdrą, gdy zdała sobie sprawę, że musi spojrzeć mu w twarz. Najsmutniejsze było to, że nie miał najmniejszego pojęcia, jak bardzo jest nieszczęśliwa. W jego małym, pachnącym różami świątku wszystko było pierwszorzędne i ładne. Nie miał pojęcia, jak bardzo czuje się przy nim staro i bezużytecznie, i pewnie nigdy się nie dowie. Westchnęła głęboko i

przekręciła się na plecy, po czym usiadła na łóżku i wzięła od męża herbatę.

- Fatalnie spałam - poskarżyła się, patrząc na niego. - Przez całą noc marzłam jak pies. Wciąż się budziłam, bo ściągałeś ze mnie kołdrę.

- Przepraszam, kochanie. Nie wiedziałem.

- A gdyby nie budziło mnie zimno, to i tak nie mogłabym spać przez twoje chrapanie.

- Nic na to nie poradzę. Gdybym mógł coś zrobić...

Urwał. W milczeniu gapił się na żonę, która skrzywiła się w odpowiedzi.

- Co z tobą? - zapytała ostro, sącząc herbatę.

Charlie wciąż na nią patrzył.

- Na miłość boską, musisz się tak na mnie gapić? - zachnęła się i znów wypila łyk.

Jednym nagłym ruchem Charlie wytrącił jej z rąk filiżankę. Porcelana roztrzaskała się o ścianę; strumyczki herbaty spłynęły po blad różowej, tłoczonych tapecie. Zaskoczona Susan patrzyła na krople gorącej brązowej cieczy ściekającej po ścianie. Zastanawiała się, co go, do cholery, ugryzło? Na swój dziwny sposób była podekscytowana tym nagłym pokazem niespodziewanej siły i spontaniczności.

Stanąwszy za jej plecami, Charlie gwałtownym szarpnięciem rozwiązał pasek szlafroka. Popchnął Susan do przodu i mocno trzymając za ramię, drugą ręką jednym ruchem zarzucił podwójną pętlę na szyję żony. Mocno zacisnął pasek. W panice, z wytrzeszczonymi oczami i palącym gardłem, Susan walczyła o oddech. Kopała i rzucała się pod kołdrę, drapała szyję, desperacko próbując wsunąć palce pod pasek. Miała nieporównywalnie mniej siły od męża.

Charlie mocniej zacisnął pasek; wyduszając z ciała żony ostatni dech.

8

Cholera, kolejny zmarnowany dzień.

Niedziela zaczęła się powoli. Wstałem z łóżka dość późno (co naprawdę rozdrażniło Lizzie - chociaż raz musiała wstać pierwsza i zająć się dziećmi) i świadomie starałem się robić jak najmniej. Jutro wracam do pracy, więc dzisiaj muszę się zrelaksować. Zawsze jest coś do zrobienia

albo znajdzie się ktoś, kto czegoś ode mnie potrzebuje. Liz tygodniami zrzędziła, żebym naprawił zamek w drzwiach łazienki, i dzisiaj wreszcie to załatwiłem. To ostatnia rzecz, na którą miałem ochotę, ale doszedłem do stanu, kiedy już nie mogłem znieść jej narzekania za każdym razem, gdy korzystała z tej cholernej toalety. Chryste, reszta jakoś radziła sobie bez problemu. Dlaczego ona musi robić z igły widły?

Majstrowałem przy drzwiach, gdy Lizzie szykowała obiad. Roboty na dziesięć minut, a zajęło to półtorej godziny. Przez cały czas dzieciaki kręciły mi się pod nogami, zadając pytania i przeszkadzając, potem nie miałem zasuwki odpowiedniej wielkości, potem kupiłem za dużą... Byłem tak wściekły, że omal nie skopałem drzwi, ale w końcu naprawiłem zamek. Mam nadzieję, że Lizzie będzie zadowolona. Będzie musiała sobie znaleźć nowy powód do narzekań.

Teraz zbliżamy się do domu Harry'ego. Weekend prawie się kończy. Naprawdę nie mam nic przeciw teściowi, ale najwyraźniej on coś do mnie ma. Nie uważa, żebym był wystarczająco dobry dla jego córeczki, i chociaż nigdy nie powiedział tego wprost, wyczuwałem to we wszystkim, co do mnie mówił. Zwykle po prostu to ignorowałem, ale biorąc pod uwagę, że dzisiejszy dzień był tak frustrujący, a na horyzoncie majaczył poniedziałkowy ranek, wolałbym tego uniknąć.

Zatrzymujemy się przed wąskim szeregowcem, gdzie Harry mieszka, a dzieci już się nakręcają i ożywiają. Lubią być z dziadkiem. A tak naprawdę to raczej go tolerują. Godzą się spędzać z nim czas, bo wiedzą, że nim wrócą do domu, wyciągną od niego słodczyce albo coś równie przyjemnego.

- Nie chcę dzisiaj żadnych kłótni - ostrzega Liz, kiedy czekamy, aż Harry otworzy drzwi.

Sądziłem, że mówi do dzieci, ale wtedy spostrzegłem, że patrzy na mnie.

- Nigdy nie kłócę się z tatą - zauważam. - On kłóci się ze mną. Nie wydaje ci się, że to pewna różnica?

- To mnie nie interesuje-odpowiada, gdy słyhać zgrzyt odsuwanej zasuwki. - Po prostu bądź miły.

Drzwi otwierają się do środka. Harry rozkłada ramiona, żeby uściskać dzieci, a one pędzą do niego, ściskają go z obowiązku, po czym biegną, żeby roznieść mieszkanie w drobny mak.

- Cześć, skarbie - mówi, obejmując Lizzie.

- Wszystko w porządku, tato?

- Jasne. - Uśmiecha się. - Teraz już lepiej. Przez cały dzień czekałem na waszą zgraję.

Lizzie idzie za dziećmi do domu. Potem wchodzi ja, wycieram buty i zamykam za sobą drzwi.

- Harry - bąkam na powitanie.

Nie chciałem, żeby to zabrzmiało szorstko, ale tak wyszło.

- Daniel - odpowiada równie szorstko. Odwraca się i idzie do kuchni. - Wstawię wodę.

Przechodzę nad dziećmi (które już rozłożyły się na podłodze w salonie) i ruszam do mojego zwykłego miejsca - fotela w kącie pokoju przy oknie wychodzącym na tyły. Po drodze biorę ze stolika niedzielną gazetę. Schowanie głowy za gazetą Harry'ego zawsze pomaga przetrwać te długie i nudne wizyty.

Po kilku minutach Harry pojawia się z tacą z herbatą. Podła herbata z mlekiem dla Liz i dla mnie oraz marny, za bardzo rozcieńczony sok owocowy dla dzieci. Biorę od teścia herbatę.

- Dzięki - mówię cicho.

Nie reaguje. W ogóle ledwo na mnie patrzy.

Siadam w kącie pokoju i zaczynam czytać. Nie interesują mnie polityka, finanse, podróże ani dział poświęcony modzie i stylowi życia. Przechodzę prosto do komiksów. Dzisiaj funkcjonuję na takim poziomie.

Siedzimy tu już prawie godzinę, a ja powiedziałem może ze dwa słowa. Lizzie drzemie na sofie po drugiej stronie pokoju, Harry siedzi na podłodze z dziećmi. Bez wątpienia świetnie się dogadują. Śmieje się z nimi i żartuje, a one są zachwycone. Przez niego czuję się kiepskim rodzicem, jeśli mam być szczerzy. Towarzystwo dzieci nie cieszy mnie tak, jak jego. Może dlatego, że on w każdej chwili może od nich odejść, a my nie. Wykańczają mnie, i wiem, że Lizzie czuje się podobnie. Gdy



ma się dzieci, wszystko wymaga wysiłku.

- Dziadek właśnie zrobił, że moneta zniknęła! - piszczy Ellis, ciągnąc mnie za nogawkę.

Harry uważa się za kogoś w rodzaju magika amatora. Zawsze robi sztuczki ze znikaniem i znajdowaniem. Ellis piszczy, kiedy „dzięki magii” Harry znajduje monetę za jej uchem. Niewiele trzeba, żeby zaimponować czterolatce...

- Wuj Keith znowu poszedł do szpitala - mówi Harry, zwracając się do Lizzie, która siada prosto na kanapie.

- Jak sobie radzi Annie? - pyta, zasłaniając usta dłonią i ziewając.

Nie zawracam sobie głowy słuchaniem odpowiedzi Harry'ego. Nigdy nie poznałem wuja Keitha ani ciotki Annie i nie sądzę, żeby kiedyś się to zmieniło. Ale i tak mam wrażenie, jakbym ich znał, tyle razy siedziałem tu i słuchałem niekończących się, trywialnych historyjek o ich nudnym życiu na drugim końcu kraju. Słucham tego w niemal każde niedzielne popołudnie. Liz i Harry zaczynają rozmawiać o rodzinach i dawnych czasach, więc po prostu się wyłączam. Dopóki nie wrócimy do domu, będą bez końca gadali o ludziach, o których nigdy nie słyszałem, i miejscach, w których nigdy nie byłem.

- Mogę włączyć mecz? - pytam, zauważając, która godzina i z trudem walcząc, żeby nie przysnąć.

Harry i Lizzie patrzą zaskoczeni, że w ogóle się odezwałem.

- Śmiało - burczy Harry.

Mówi to tak, jakby oglądanie meczu miało mu przeszkodzić w rozmowie albo w zrobieniu czegoś ważniejszego. Prawda jest taka, że lubi piłkę nożną tak samo jak ja. Włączam telewizor i nagle pokój wypełnia hałas. Zdecydowanie, ten facet głuchnie. Głośność jest nastawiona prawie na maksimum. Przyciszam i już mam zmienić program, kiedy zamieram.

- Niech to szlag - mruczę pod nosem.

- Co się stało? - pyta Liz.

- Widziałaś to?

Wskazuję na ekran. To ten sam program z wiadomościami, który oglądałem wczoraj. I ta sama wiadomość. Ataki, o których doniesienia oglądałem, mnożą się. Wygląda, że fala przemocy ogarnęła całe miasto. Chociaż teraz wygląda to spokojnie, pokazują zdjęcia zniszczonych budynków i zasypanych śmieciami ulic.

- Widziałem to wcześniej - mówi Harry. - Skandal, jeśli chcecie znać moje zdanie.

- Co się stało? - pyta Liz.

- Nie widziałaś dzisiaj wiadomości?

- Wiesz, jak to jest w naszym domu, tato - odpowiada, przesuwając się tak, żeby lepiej widzieć ekran. - Jesteśmy ostatni na liście do wybierania programu w telewizji.

- Powinniście wreszcie wprowadzić trochę dyscypliny - narzeka, patrząc na mnie i prowokując do reakcji. - Pokazać dzieciom, kto tu rządzi. Nie powinniście pozwalać, żeby dzieciaki włążyły wam na głowę.

Ignoruję go i odpowiadam Liz:

- Wczoraj wieczorem były jakieś zamieszki. Widziałem to w wiadomościach, nim poszedłem spać. W mieście doszło do kilku incydentów, które wymknęły się spod kontroli.

- Jak to „wymknęły się spod kontroli”?

- Wiesz, jak jest w sobotę. Jak coś ma się zacząć, to zawsze w sobotę wieczorem.. Na ulice wychodzą zachłani i naćpani idioci. Policja nie daje sobie z nimi rady. Najwidoczniej wszystko zaczęło się od bójki w barze, która wymknęła się spod kontroli. Coraz więcej ludzi się w to wmieszało i zaczęła się rozróżba.

- Dziadku, a my wczoraj widzieliśmy bójkę - mówi niewinnie Ellis, podnosząc wzrok znad książeczki do kolorowania.

Harry patrzy na Liz, która kiwa głową.

- To było straszne - wyjaśnia. - Zabraliśmy Eda na przyjęcie urodzinowe do pubu Kings

Head. Pełno tam było kibiców. Jedliśmy obiad, kiedy dwóch zaczęło się bić. - Urywa i sprawdza, czy dzieci nie słuchają. - Jeden z nich miał nóż - dodaje ciszej.

Harry kręci głową.

- To naprawdę przykre. - Wzdycha. - Zupełnie jakby ludzie sami szukali kłopotów.

W pokoju na chwilę zapada cisza.

- Czekaj - odzywa się nagle Lizzie. - Powiedziałeś, że to się wydarzyło tutaj?

- Tak - odpowiadam, kiwając głową. - A co?

- Bo to wiadomości skądinąd - mówi, wskazując na telewizor.

Ma rację. Reportaż dotyczy jakiegoś miasta na północ od nas, a teraz przełączyli się do trzeciego dziennikarza - ze Wschodniego Wybrzeża.

- Psychologia tłumu - mruczy Harry. - Przemoc się rozprzestrzenia. Ludzie, widząc coś w telewizji, od razu chcą wyjść i zrobić to samo.

Może mieć rację, ale mocno w to powątpiewam. To nie ma sensu. Nie mogę uwierzyć, żeby ci ludzie bili się dla samej walki. Musieli mieć jakiś powód.

- To musi być coś więcej - stwierdzam. - Na miłość boską, Harry, naprawdę wierzysz, że ci ludzie po prostu siedzieli sobie przed telewizorami i oglądali zamieszki, po czym wyszli na ulice walczyć? Te zamieszki są oddalone od siebie o setki kilometrów. Musi chodzić o coś więcej.

Chociaż raz nie wie, co odpowiedzieć.

Mija kolejne dwadzieścia minut, dzieci osiągnęły już próg znużenia. Zaczynają rozrabiać. Czas wracać. Staram się ukryć ulgę, kiedy pakuję je z powrotem do samochodu. Kłóca się i poszturchują. Zastanawiam się, czy one tak samo jak ja denerwują się poniedziałkiem. Nienawidzę niedzielnych wieczorów. Zostało nam już tylko przygotowanie wszystkiego na jutro do szkoły i pracy.

To najgorsza część weekendu. Nie ma już na co czekać - prócz poniedziałku.

9

Nadal jesteśmy prawie kilometr od domu i, do cholery, nie wiem, co się dzieje. Nagle ruch zwolnił. Jak daleko sięgam wzrokiem w przód i w tył, wszystko stoi. Ledwo się przesuwamy. Na miłość boską, przecież to niedziela wieczór. Drogi powinny być puste. Już się ściemnia. Nie chcę spędzić tu całej nocy.

Słyszę syreny. Zerkam we wsteczne lusterko i widzę mnóstwo zbliżających się szybko błękitnych świateł. Nadjeżdża konwój policji i straży pożarnej. Z naprzeciwka też jadą wozy na sygnale. Kierowcy wokół nas przesuwają się na bok i zjeżdżają na chodniki, żeby zrobić miejsce. Ja też zjeżdżam.

- Ciekawe, co się stało - cicho odzywa się Liz, kiedy wjeżdżamy na trawnik.

- Nie wiem - odpowiadam.

Na tylnym siedzeniu słychać jakiś hałas. Gdy się odwracam, widzę, że Ed i Ellis biją się ze sobą ponad przypiętym do dziecięcego fotelika Joshem.

- Dość tego! - warczę ze złością.

Przestają, kiedy im każę, ale wiem, że zaczną natychmiast, gdy się odwrócę.

Wozy z syrenami mijają nas z jazgotem. Wyciągam szyję, żeby zobaczyć, dokąd jadą. Skręcają w lewo kilkaset metrów przed nami. W półmroku w przerwach między budynkami i gałęziami drzew widzę migające niebieskie światła. Zatrzymali się niedaleko stąd.

- Wygląda na coś poważnego, prawda? - Lizzie mówi ściszym głosem, żeby dzieci nie słyszały.

Na drodze jest już kompletny korek, ludzie pogasili silniki. Niektórzy zaczęli wysiadać z samochodów. Nie znoszę tkwić za kółkiem, jeśli nigdzie nie jadę. Postanawiam pójść, by zobaczyć, co jest grane. Spróbuję się zorientować, ile jeszcze będziemy tu sterczeli.

- Zaraz wracam - mówię, wyłączam silnik i odpinam pasy.

- Co robisz?

- Idę zobaczyć, co się dzieje - odpowiadam szybko.
- Ja też mogę? - pyta Ed.

Odwracam się do niego, wysiadając z auta.

- Nie, poczekaj tutaj. Zaraz wracam.

Skrzywiony, kuli się na siedzeniu.

Lizzie nie jest zachwycona, że zostaje sama z dziećmi, ale mimo to wychodzę. Skręcam za róg, idąc za trzema osobami z samochodu przed nami. Na sąsiedniej ulicy zbiera się spory tłum. Kiedy się zbliżam, widzę, że kierowca granatowego kombi stracił kontrolę i wjechał na chodnik. Uderzył w lampę uliczną, która przewróciła się na podjazd przed domem i zniszczyła stojącą tam przyczepę turystyczną. Policja próbuje odgrodzić miejsce wypadku. Odsuwają ludzi, ale przepycham się, aż wreszcie stoję na przedzie tłumu. Samochód jest całkiem skasowany. Maskę silnika zmiażdżona i zgnieciona, kierowca leży na kierownicy. Nie rusza się. Strażacy przygotowują sprzęt do cięcia blachy, żeby go wyciągnąć, ale bez specjalnego pośpiechu. Wygląda na to, że jest już za późno.

Przed samochodem kuca dwóch sanitariuszy i policjant. Ktoś jeszcze jest ranny? Jeden z ubranych na zielono pielęgniarzy wstaje, żeby coś przynieść. Niech to szlag, pod samochodem leży ciało. Widzę niewiele, tylko powykręcane, połamane nogi wystające pod dziwnym kątem z tego, co zostało z maski. Biedny frajer. Ktokolwiek to był, nie miał szans.

Stoję, gapiąc się na miejsce wypadku, po chwili policja postanawia poszerzyć pole manewru i znowu nas odsuwa. Zdaję sobie sprawę, że zostawiłem Lizzie samą na zbyt długo, szybko się odwracam i zaczynam wracać do auta. Wpadam na mężczyznę, który wyprowadzał psa i który zatrzymał się nagle, gdy zwierzak skręcił w lewo pod żywopłot.

- Przepraszam - mamroczę szybko.
- Nie ma sprawy - odpowiada tamten, szarpiąc za smycz, żeby pies dał mi przejść. Psiak nie reaguje. - No chodźże! - warczy na psa.
- Paskudny wypadek - mówię.

Tamten kręci głową.

- To nie był wypadek.
- Co?

Patrzy mi w oczy i znowu kręci głową.

- Widziałem, jak to się stało - mówi mi. - Cholerny dureń.
- Kto?
- Ten gość, co prowadził. Skończony idiota.
- Dlaczego?
- Najpierw jakiś facet przebiegł obok mnie. Zjawił się znikąd, omal mnie nie przewrócił.

Potem nadjechał samochód i wpadł na chodnik tuż przede mną. Facet pędził co sił w nogach, ale nic nie mógł poradzić. Kierowca dał gaz do dechy, przyspieszył, rozjechał go i wpadł na ścianę. Głupi skurwysyn. Wygląda na to, że sam też się zabił.

Facetowi w końcu udaje się odciągnąć psa, więc znowu idę przed siebie, starając się zrozumieć to, co właśnie usłyszałem. Ten weekend był pełen dziwnych i przerażających wydarzeń. Najpierw koncert, potem wczorajsza bójka w pubie i teraz to. No i jeszcze ten facet na ulicy w czwartek rano. Myślę znowu o wiadomościach, które oglądaliśmy w domu Harry'ego. U diabła, co się dzieje?

## PONEDZIAŁEK

### V

Nawet dziesięć razy gorsze niepokoje nie powstrzymałyby niektórych amatorów kieliszka. W klubie było mniej ludzi niż zwykle, ale i tak pojawiło się kilku twardzieli - regularnych pijaków i stałych bywalców klubu, którzy nie przegapiliby wolnego wieczoru niezależnie od tego, co widzieli w wiadomościach albo przeczytali w gazetach. Dla tych ludzi cały tydzień obracał się wokół takich

wieczorów. Zalać się, przyćpać i podupczyć - tylko o to chodziło.

- Ona jest cholernie ładna, stary! - wrzasnął Shane White do ucha Newbury'emu. - Cały czas zerka na ciebie. Dorwij ją, młody!

Newbury odwrócił się do White'a i wyszczerzył zęby.

- Uważasz, że mam szansę?

- Bez jaj. Ona już jest twoja, zero wątpliwości.

- Serio?

- Serio.

- No dobra, więc patrz.

Odepchnął się od baru, dopił drinka, wstał i spojrzał na nią. Nawet nie znał jej imienia. Widział ją już parę razy wcześniej, ale zawsze otaczali ją faceci i przyjaciółki, więc nigdy nie miał odwagi spróbować. Dzisiaj czuł się inaczej. Był pewny siebie i pełen energii. Może nie był tak onieśmielony, bo zjawilo się mniej ludzi? A może dlatego, że był już mocno podpity. Nieważne, jaki był tego powód. Pieprzyć, pomyślał, patrząc, jak dziewczyna tańczy. Shane miał rację, prawdziwa z niej ślicznotka. Podchodził do niej powoli, a ona zaczęła tańczyć zwrócona ku niemu.

- Wszystko w porządku?! - zawołał do niej, przekrzykując dudniącą muzykę, która wypełniała pustawy klub. Kiedy było tak mało ludzi, wydawało mu się, że jest głośniejsze niż zwykle. Nie odpowiedziała, tylko pomachała, żeby podszedł bliżej. Objęła go i wsunęła mu język prawie do samego gardła.

- Jesteś piękna jak cholera, serio - paplał Newbury, kiedy wyszli z klubu, kierując się w stronę zaułka naprzeciw ratusza. - Skończona piękność.

- Będiesz tak nawijał cały wieczór, czy co? - zapytała, wprowadzając go w mrok. Nie potrafił odpowiedzieć. - Gdybym chciała pogadać, nie ruszałabym się z domu. Od ciebie chcę tylko porządnego, ostrego rżnięcia.

Newbury nie wierzył własnym uszom. Nigdy jeszcze nie przytrafiło mu się coś takiego. Fantazjował na ten temat wiele razy i słyszał, że takie rzeczy zdarzają się innym, ale sam nigdy tego nie przeżył. Nawet nie marzył, że spotka go to z dziewczyną taką, jak ta...

Zatrzymała się, odwróciła i przycisnęła do niego. Jednym szarpnięciem rozpięła mu koszulę.

- Tu? - zapytał. - Ty szmato!

- Tak właśnie lubię - syknęła mu do ucha.

Czuł alkohol w jej oddechu. Przez to sytuacja wydawała się jeszcze bardziej brudna i podniecająca. Newbury obawiał się, że jest zbyt napruty i napalony, żeby się sprawdzić. Panowanie nad sobą było coraz trudniejsze za każdym razem, gdy go dotykała albo całowała, albo... Pchnęła go z rozmachem pod ścianę i znowu pocałowała, wgryzając się w jego wargę i wciskając mu w usta język. Przesunął dłonią po jej opiętych spódniczka pośladkach i przycisnął ją do siebie mocniej. W odpowiedzi rozpięła mu spodnie, wsunęła rękę i zacisnęła palce wokół jego pijackiej erekcji. Trzymała go pewnie, ale delikatnie. Wyjęła jego członek ze spodni.

- Zdejmuj majtki - jęknął w krótkiej przerwie między ukąszeniami i pocałunkami.

- Jakie majtki? - szepnęła mu do ucha, podciągając obcisłą spódniczkę na wysokość talii.

Przywarci do siebie, obrócili się tak, że teraz ona wylądowała pod ścianą.

- No, już - jęknęła desperacko. - Dawaj.

Newbury ustawił się i spróbował się w nią wsunąć. Było mu niewygodnie i ciężko. Alkohol wpływał na koordynację ruchową. Westchnęła z rozkoszy, gdy nagle wszedł w nią na całą długość.

- Już ja ci dam, ty cholerna szmato - obiecywał, próbując wbić się w nią jeszcze mocniej.

Spojrzała na niego i zagryzła usta, starając się nie wydać z siebie żadnego dźwięku, a zarazem gorąco pragnąc krzyknąć na całe gardło.

- Mocniej! - syknęła.

Zaczął uderzać całym sobą, raz za razem waląc nią o mur.

- Wystarczająco mocno? - zapytał, patrząc głęboko w jej wielkie, zielone oczy.

- Po prostu mnie rżnij - wydyszała między uderzeniami.

- Wystarczająco mocno? - stęknął znowu przez zaciśnięte zęby.  
Wtedy zamarła.  
Odepchnęła go od siebie.  
- Co jest? - sapnął zaniepokojony. - Zraniłem cię? Co zrobiłem?  
W jednej chwili na jej twarz zamiast rozkoszy wypłynął strach. Odsunęła się, obciążając spódnicę.  
Potykając się, wybiegła z zaułka.  
- Co jest grane? - zapytał znowu. - Co się z tobą dzieje?  
Nie odpowiedziała. Oddalała się, pograżając w mroku. Nadal szedł w jej stronę. Próbowala się odezwać, ale nie mogła.  
- Nie... - Tylko tyle wymamrotała.  
- Co jest, do cholery?! - zapytał ostro. - Porąbało cię?! Najpierw wieszasz się na mnie, a teraz odpychasz. To cię rajcuje? Lubisz prowokować? Pieprzona, obrzydliwa suka.  
Cofając się chwiejnym krokiem, uderzyła stopą o plastikową skrzynkę z pustymi szklanymi butelkami. Odruchowo wyjęła jedną butelkę i trzymając za szyjkę, uderzyła nią w ceglany mur.  
Otępiały alkoholem Newbury stał nieruchomo i patrzył.  
- A teraz co? Całkiem ci odbiło. Do cholery, co sobie myślisz, że co zrobisz? Nie jestem...  
Nie skończył zdania. Podbiegła do niego i wepchnęła mu szklany tulipan prosto w brzuch. Szło rozcięło bawełnianą koszulę i zagłębiło się w ciele. Wyciągnęła butelkę i wepchnęła ją powtórnie, tym razem niżej; poszarpana krawędź odcięła jedną trzecią odsłoniętego, kompletnie sflaczałego penisa. Za trzecim razem dziewczyna zanurzyła ostre jak brzytwa szkło w szyję chłopaka.  
Odwróciła się i wybiegła z zaułka, zanim Newbury padł na ziemię.  
Było ich więcej, tysiące takich jak on.  
Musiała uciekać.

10

Czasem sama myśl o pracy jest gorsza od rzeczywistości. Biorąc wszystko pod uwagę, dzisiejszy dzień w biurze minął dość znośnie. Po wszystkim, co widziałem i o czym słyszałem przez weekend, spodziewałem się, że chcąc dotrzeć do biura, będę musiał walczyć z tłumami bijących się na ulicach ludzi. Jednak poza kilkoma wybitymi szybami i innymi pomniejszych zniszczeniami wszystko wyglądało całkiem normalnie; niemal się rozczarowałem. W poniedziałek centrum miasta było spokojne, biuro także.

Cieszę się, że wracam już do domu. Już widzę blok na końcu ulicy. Jak zwykle palą się światła na przeciwległych krańcach budynku - u nas i w drugim zajęтым mieszkaniu na górze. Zbliżając się, widzę cienie poruszające się za zasłonami. Dzieciaki biegają po dużym pokoju. Na pewno dokazywały przez cały wieczór i teraz dostanie mi się od Liz.

Nie powinniśmy mieszkać w takim miejscu, myślę, podchodząc do drzwi zarośniętą ścieżką. Wiem, że jestem leniwym skurczybykiem, że powinienem więcej pracować, ale nie jest łatwo. Staram się, jak mogę, ale to nie wystarcza, od czasu do czasu potrzebuję kopa w tyłek. Otwierając skrzypiące drzwi, dochodzę do wniosku, że gdyby każdy dzień mógł być taki jak dzisiejszy - to może coś dobrego by z tego wyszło. Dzisiaj naprawdę poczułem, że mój wysiłek na coś się przydaje. Nie pojawili się żadni wrzeszczący obywatele, którymi musiałbym się zajmować, i nawet pośmiałem się trochę z Tiną Murray. Dzisiaj wyjątkowo nie miałem wrażenia, że ciągnę w przeciwnym kierunku niż reszta. Plany, jakie od lat snułem z Lizzie o przeprowadzce do większego domu, wymianie samochodu i generalnie podwyższeniu standardu życia, teraz wydawały się o niebo bardziej realne i możliwe do spełnienia, niż kiedy wychodziłem do pracy dziś rano. Nadal były bardzo odległe, ale już osiągalne.

Szurając nogami, idę ciemnym korytarzem, otwieram drzwi do mieszkania. Wchodzę i ciepło domu sprawia, że dociera do mnie, jak zimno jest dziś na dworze.

- Wróciłem! - wołam, zdejmując płaszcz i buty.

Panuje nietypowa cisza. Słyszę telewizor i dzieci, ale nie słyszę Liz. Zwykle wrzeszczy na któreś z

nich. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz wróciłem do domu i było tak cicho.

Edward pojawia się przede mną w przedpokoju. Szczerzy zęby od ucha do ucha.

- Wszystko w porządku, Ed?

Kiwa głową.

- Miałem dzisiaj pół dnia wolnego. - Rozpromienia się, zadowolony z siebie.

- Dlaczego? Co ci się stało?

- Nic. Zamknęli szkołę.

- Dlaczego? - pytam znowu i wchodzę głębiej do mieszkania, rozglądając się za Liz. Nie słyszę jej w żadnej z sypialni.

- Z powodu Jacka Fostera - wyjaśnia Ed.

Nic nie rozumiem.

- Kto to jest Jack Foster?

- Jest w szóstej klasie. Szkoda, że go nie widziałeś, to było świetne!

Dochodzę do kuchni. Widzę, że Lizzie siedzi przy stole, pije kawę i patrzy w przestrzeń.

- Wszystko w porządku? - pytam.

Podnosi wzrok, zaskoczona.

- Nie wiedziałam, że wróciłeś - mówi cicho, wyrwana z transu.

Wstaje, podchodzi i ściska mnie. Ta nagła wylewność jest dla niej cokolwiek nietypowa.

- A to z jakiej okazji? - szepczę, przyciskając usta do jej ucha. - Wszystko w porządku?

Kiwa głową, odsuwa się i idzie wyjąć dla mnie z piekarnika kolację.

- Nic mi nie jest. - Wzdycha. - Po prostu miałam kiepski dzień.

- Ed mówił mi, że zamknięto szkołę. To miało coś wspólnego z Jackiem Fosterem?

Stawia jedzenie na stole i siada na krześle naprzeciwko mojego nakrycia. Zaczynam jeść. Patrzę, jak Liz masuje skronie. Wygląda na zmęczoną i zdenerwowaną. Zakładam, że gryzie się właśnie dzisiejszymi wydarzeniami.

- Więc co się stało?

Nie odpowiada.

- Porozmawiaj ze mną, Liz...

Odchrząkuje i dopija kawę. Kiedy w końcu odzywa się, mówi głosem nabrzmiałym od emocji i ściszonego.

- Znasz Jacka Fostera?

Kręcę głową. Słyszałem to nazwisko, ale nie mogę go połączyć z żadną twarzą.

- Znasz Bena Parisa? Niskiego bruneta?

Pewnie, że wiem, który to.

- Jego ojciec jest fryzjerem?

- To ten. Jack Foster to jego najlepszy przyjaciel. Zawsze trzymają się razem. Siedzieliśmy obok mamy Jacka, Sally, na zebraniu z rodzicami w zeszłym semestrze. Ma siostrę w klasie Eda. Jest wysoki i...

- ...nosi okulary?

- To ten.

Jestem prawie pewien, że wiem, o kim mówi. Przytakuję, żeby szybciej przeszła do rzeczy.

- Więc co zrobił?

Lizzie znowu odchrząkuje i zbiera się w sobie.

- Z samego rana cała szkoła zebrała się w auli. Dzieciaki tłoczyły się na środku sali, a pani Shields, jak to zwykle ona, kręciła się przed nimi tam i z powrotem.

- Nie znoszę tej kobiety - przerywam jej.

Pani Shields to dyrektorka szkoły. Jest surowa i staroświecka, a do rodziców zwraca się zupełnie jak do dzieci.

- Wiem, że jej nie lubisz. - Liz wzdycha. - Mówisz mi to za każdym razem, gdy o niej

wspominam. W każdym razie właśnie kończyła jedną z tych swoich cholernych, potwornych historyjek biblijnych. Siedziałam z tyłu obok Denise Jones i...

Urywa, a ja przestaję jeść. Patrzę znad talerza i odkładam sztucce.

- No i...?

- Jack jest w szóstej klasie. Dzieci siedzą na podłodze według wieku, najmłodszy są z przodu, więc klasa Jacka była w końcu sali, tam gdzie my. Pani Shields powiedziała, żeby pochylili głowy do modlitwy przez lekcjami...

Znowu urywa.

- No i co się stało? - dopytuję się.

- Byłam z tyłu, kiedy Jack stanął dokładnie przede mną. Większość dzieci siedziała przed nim z pochylonymi głowami, więc początkowo nikt nie zareagował. A on po prostu skoczył do pani Shields. Kopał dzieciaki, potykał się o nie, niektóre oberwały, więc zaczęły się krzyki i piski. Nim wszyscy podnieśli głowy, Jack już dotarł na drugi koniec sali. Zepchnął Eileen Callis z krzesła, tak że wyładowała twarzą na podłodze. To wszystko rozegrało się w ciągu kilku sekund. Po prostu siedzieliśmy zbyt zaskoczeni, żeby działać. Jack złapał puste krzesło Eileen, uniósł nad głowę i ruszył na panią Shields. Skierowała się ku niemu, próbując go powstrzymać, ale on pędził na nią, wymachując krzesłem nad głową i ledwo ominął dzieciaki siedzące z przodu. Kilka razy w nią nie trafił, ale w końcu uderzył ją prosto w twarz, tuż pod oko. Jack ma prawie tyle samo wzrostu, co pani Shields. Wymachiwał krzesłem i nim ktokolwiek się zorientował, co się dzieje, ona już leżała na podłodze, a on stał na niej, raz za razem waląc ją krzesłem w plecy.

- Nikt go nie powstrzymał?

- Don Collingwood i Judith Lamb podbiegli pierwsi - odpowiada Liz, kiwając głową. - Don go przytrzymał, a Judith wyrwała mu krzesło. Do cholery, zupełnie, jakby coś go opętało. To było straszne. Pani Shields krzyczała, a przez to zaczęły wrzeszczeć dzieci. Zwinęła się w kłębek na podłodze obok pianina, osłaniając głowę rękoma. Włosy miała potargane, okulary stłuczone. Krew spływała jej po twarzy i...

- Ale dlaczego to zrobił? - przerywam. - Co mu się stało?

Wzrusza ramionami.

- Nic, o ile wiem. Widziałam go przed lekcjami i wydawało się, że wszystko z nim w porządku. Śmiał się z kolegami. Nigdy nie słyszałam, żeby zachował się podobnie. W szkole jest mnóstwo dzieciaków, które nie zaskoczyłyby mnie takim zachowaniem, ale nie Jack...

- To nie ma sensu - mamroczę z pełnymi ustami.

- Nie mów.

- Więc co z nim zrobili?

Kręci głową.

- Rozpętało się szaleństwo. Don odciągnął Jacka i zamknął w gabinecie. Chłopak zdemolował pokój. Krzyczał, wrzeszczał i... Boże, to było straszne. Biedny dzieciak, słyszałam go na drugim końcu szkoły. Wrzeszczał, jakby naprawdę był straszliwie przerażony.

- A co z dyrektorką? Co z panią Shields?

- Zabrali ją do szpitala i zbadali. Chyba nic jej nie jest, kilka rozcięć i siniaków, to wszystko.

Skupiam się znowu na jedzeniu, ale nie sposób nie myśleć o tym, co powiedziała mi właśnie Liz.

- Co go zmusiło do takiego zachowania? - pytam, doskonale wiedząc, że Liz nie będzie w stanie mi odpowiedzieć.

- Nie mam pojęcia. - Wzdycha i wstaje, żeby zrobić sobie coś jeszcze do picia. - I przez to zastanawiam się, czy to wiąże się jakoś z tym, co widzieliśmy w weekend.

- Niemożliwe - zacham się odruchowo. - To był dzieciak w szkole, gdzie tu jakiś związek?

- Nie wiem. W każdym razie zaraz po tym zamknęli szkołę i pewnie jutro też będzie zamknięta. Staraliśmy się zająć czymś

dzieci, ale wiesz, jak to jest, Dan, to mała szkoła. Każdy zna tam każdego. Musieli w końcu wezwać policję, żeby poradzić sobie z tym dzieciakiem. Chryste, żal mi Sally. Powinieneś ją

widzieć. Wyglądała tak, jakby to ona zrobiła coś złego. A kiedy zabrali Jacka...

- Dokąd go zabrali?

- Odjechali z nim karetką. Nie porozmawiał z Sally, nawet na nią nie spojrzął. Wołał o pomoc. Biedny dzieciak, kompletnie się posypał. Nie miał pojęcia, co robi. Nie pozwalał nikomu się zbliżyć. Zupełnie jakby nas wszystkich się bał.

11

Nim się zorientowaliśmy, zrobiło się po dziesiątej. Dzieci w końcu się uspokoili i poszły spać, w mieszkaniu zrobiło się cicho. Telewizor był wyłączony przez cały wieczór, ale teraz w pokoju było za spokojnie, więc włączyłem telewizor, żeby coś brzęczało w tle. Liz jest przybita i zaabsorbowana, prawie ze sobą nie rozmawiamy. Robi się późno. Niedługo pójdziemy spać. Zanim się obejrzę, już będę wstawał, żeby wracać do kieratu. Czasem mam wrażenie, jakbym biegł w innym tempie niż reszta świata. Jakbym musiał niemal paść na pysk, żeby dotrzymać reszcie kroku. Idę do kuchni i robię nam coś do picia. Podaję Lizzie kubek.

- Napij się.

Podnosi wzrok i z uśmiechem bierze kubek.

- Dobrze się czujesz? - pytam.

- Oczywiście. Dlaczego cały czas się o to pytasz?

- Po prostu chcę być pewny, że nic ci nie jest. Miałaś fatalny dzień.

- Fakt, ale nic mi nie jest - odpowiada, lecz jej głos zdradza napięcie.

- W porządku - burczę, reagując nieco przesadnie. - Przepraszam, że pytam.

- Och, daj spokój, nie bądź taki...

- Jaki? Tylko zapytałem, czy dobrze się czujesz, to wszystko.

Siadam obok niej. Wyciąga rękę i delikatnie gładzi mnie po plecach.

- Przepraszam.

- Mniejsza z tym.

W telewizji te same starocie. Biorę pilota i przelatuję przez programy. Komedie dziś wieczór nie są zabawne, a dramaty są zbyt dramatyczne. Nic nie pasuje do mojego nastroju. Wybieram wiadomości. Chcę się dowiedzieć więcej o tym, co się działo. Nie licząc przypadkowych skrawków informacji w pracy, to pierwsza szansa dzisiaj, żeby dowiedzieć się czegoś aktualnego. Widzimy to samo, co wczoraj, tylko w większej ilości - jeszcze więcej zamieszania i przemocy. Każde doniesienie wydaje się przebiegać według tego samego schematu - jeden lub więcej incydentów miało miejsce w określonym regionie i teraz pokazują, jak ludzie na to reagują. To szaleństwo. Cały czas słyszę określenia typu „naśladowanie przemocy” albo „akty zemsty”. Czy ludzie naprawdę są tak głupi, jak sugerował wczoraj Harry? Czy naprawdę ktokolwiek chciałby zacząć bójkę tylko dlatego, że widział, jak inni walczą?

- Popatrz na to - mówi Lizzie, kiedy oglądamy razem wiadomości. - Nadali im nawet nazwę. Co to da?

Ma rację. Słyszałem to słowo kilka minut wcześniej, ale w ogóle się nad nim nie zastanowiłem. Mniejszość, od której zaczynają się problemy, dostała teraz etykietkę Wściekli. Zaczęło się od nagłówka w dzisiejszym porannym brukowcu i nazwa szybko przyłgnęła. Chyba pasuje, bo nadal nikt nie mówi, żeby ci ludzie walczyli z jakiegoś konkretnego powodu. Wściekłość i nienawiść wydają się jedynymi uczuciami, jakie nimi kierują.

- Musieli ich nazwać - mamrocze. - Łatwiej im o tym mówić, kiedy nada się im nazwę.

Lizzie z niedowierzaniem kręci głową.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Ja też.

- Mówią o tym jak o epidemii. Jak to możliwe? Na miłość boską, to nie jest choroba.

- Może jest.

- Wątpię. Ale musi być jakaś przyczyna, prawda?



Ma rację, ale jak wszyscy inni nie mam pojęcia, jaki to może być powód, więc nawet nie próbuję odpowiedzieć. Wiadomości sprawiają, że robię się coraz bardziej niespokojny. Mam ochotę zamknąć frontowe drzwi i nie otwierać ich, dopóki fala nagłej przemocy i zniszczenia nie minie. Odruchowo zaczynam szukać jakiegoś wyjaśnienia, żeby poczuć się chociaż trochę lepiej.

- Może nie jest tak źle, jak to pokazują.

- Co?

- Przecież wiesz, że w telewizji zawsze przesadzają... Właśnie powiedzieli, że wzrosła liczba zgłaszanych aktów przemocy, ale to niekoniecznie znaczy, że rzeczywiście wzrosła liczba incydentów z przemocą, prawda?

- Rzeczywiście niekoniecznie - niepewnie zgadza się ze mną.

- Może tyle samo bójek było w zeszłym tygodniu, ale wtedy nikt nie uważał ich za godne wspomnienia w wiadomościach. Kłopot w tym, że kiedy takie informacje trafiają na pierwsze strony, ludzie zaczynają papugować.

- Co chcesz powiedzieć?

- Może to wszystko tak naprawdę stworzyły telewizja i gazety - wymyślam w miarę mówienia.

- Niemożliwe. Tu naprawdę coś się dzieje. Zbyt wiele zbiegów okoliczności...

- No dobra - przerywam jej. - Ale nawet jeśli nie oni zaczęli, to na pewno pogarszają sytuację.

- A to, co wydarzyło się w piątek na koncercie? I w pubie? I to, co się stało z tym samochodem wczoraj wieczór, i wydarzenia ze szkoły dziś rano... Chcesz powiedzieć, że to wszystko i tak by się wydarzyło? Chcesz powiedzieć, że przypisujemy im większe znaczenie z powodu tego, co zobaczyliśmy w telewizji?

- Nie wiem. Nie mamy skąd wiedzieć, prawda? Mówię tylko, że widzieliśmy już wcześniej, jak takie rzeczy wymykają się spod kontroli.

- Tak?

- No pewnie. To się dzieje cały czas. Ktoś nadaje jakąś relację, a potem bezmózga część odbiorców robi to samo, żeby pojawić się w telewizji albo na pierwszych stronach gazet.

Teraz już wiem, że przestała nadać. Widzę po wyrazie jej twarzy, że nie rozumie. Albo mi nie wierzy. Sam nie mam pewności, co o tym myśleć.

- Nie łapię.

- Pamiętasz niebezpieczne psy?

Kręci głową i znowu się krzywi.

- Kilka lat temu dzieciak z tej okolicy został zaatakowany przez rottweilera sąsiada, pamiętasz? Dziewczynka miała pogryzioną całą twarz i z tego, co pamiętam, musiała być operowana. Uśpili psa.

- No i? Co to ma do rzeczy z tym, co dzieje się teraz?

- Chodzi mi o to, że dopóki nie nagłośnili sprawy, mało kto słyszał o psach atakujących dzieci. Ale zaraz potem w gazetach pojawiło się pełno relacji o podobnych wydarzeniach w całym kraju. Epidemia cholernych psów atakujących dzieci. Teraz znowu słyhać o takich rzeczach tylko od wielkiego dzwonu.

- I o co ci chodzi? Chcesz powiedzieć, że te dzieciaki wcale nie zostały pogryzione?

- Nie, nic z tych rzeczy. Chodzi mi tylko o to, że takie rzeczy musiały cały czas się zdarzać, ale nikogo to nie interesowało. Kiedy tylko relacja pojawiła się w wiadomościach, ludzie zaczęli to zgłaszać i nim się człowiek obejrzał, nagle na każdym rogu ulicy psy gryzły dzieci.

- Nie wiem, czy się z tobą zgadzam - mówi cicho. - Nawet nie jestem pewna, czy wiem, o czym mówisz. Nigdy nie było czegoś na taką skalę...

- Myślę, że ci idioci - wyjaśniam, wskazując na telewizor - robią więcej złego niż dobrego. Nadając ludziom etykietę i dając im czas antenowy, gloryfikują to, co się dzieje i rozdymają w nieskończoność. Ludzie widzą przemoc, rozgłos i zamieszki w telewizji i myślą sobie: Ja też bym

tak chciał.

- Nie pleć bzdur! Zaczynasz mówić jak tata.

- To żadne bzdury. Pamiętasz zamieszki zeszłego lata? - pytam, bo na szczęście udało mi się przypomnieć sobie jeszcze jeden przykład na poparcie mojej słabej tezy.

Jakieś osiem miesięcy temu w kilku dużych miastach, w tym także w naszym, doszło do serii zamieszek na tle rasowym. Lizzie kiwa głową.

- Co z nimi?

- To samo. Ktoś w jakimś zaułku narobił trochę dymu, a media dorwały się do tego i rozdmuchały to tak, że wyglądało sto razy gorzej, niż było naprawdę. Sposób, w jaki relacjonowali, sprawił, że zamieszki się rozprzestrzeniły, i może teraz dzieje się tak samo. Gdzieś jest jakiś prawdziwy problem, o którym mówią dziennikarze, i nim się obejrzyś, masz już tłumy w każdym mieście, które zaczynają bójki, używając jako pretekstu tego, co zapoczątkowało pierwsze niepokoje.

- I naprawdę w to wierzysz?

Milczę. Szczerze mówiąc, nie wiem, w co wierzę.

- Moim zdaniem chrzanisz - warczy. - Nic z tego, co powiedziałeś, nie tłumaczy, dlaczego dziś rano zdrowy i całkowicie normalny jedenastolatek rzucił się na dyrektorkę.

Nadal milczę. Czuję ulgę, gdy wreszcie w wiadomościach pokazują coś innego. Ci sami co zwykle prezenterzy za drogimi biurkami nagle znikają i teraz patrzymy na dyskusję przy okrągłym stole między czterema osobami, które zapewne są politykami albo ekspertami w jakiejś dziedzinie. Rozmawiają już od kilku minut, więc przegapiliśmy wprowadzenie.

- Co oni będą w stanie nam powiedzieć? - narzekam. - Jak ci ludzie mogą być ekspertami od czegoś, co nie wiemy, czym jest?

- Zamknij się, żebyśmy mogli posłuchać. - Lizzie wzdycha.

Nic na to nie poradzę, że jestem sceptyczny. Cała ta scena przypomina mi początek filmu Swit żywych trupów, kiedy poglądy tak zwanego eksperta rozrywa na strzępy sceptyczny prezenter telewizyjny. Wiem, że nie mamy tu do czynienia z apokalipsą zombi, ale sposób, w jaki ci ludzie ze sobą rozmawiają, sprawia, że wrażenie jest dziwnie podobne. Nikt nie podaje na poparcie swoich słów jakichkolwiek faktów. Nikt nie ma do zaoferowania niczego poza mętными teoriami i pomysłami. Nikt nie wierzy w to, co mówi.

- Policja zaangażowała do akcji wszystkie swoje jednostki, a nasze szpitale zmagają się z coraz większą liczbą rannych - mówi siwa kobieta. - Musimy szybko zapanować nad sytuacją, w przeciwnym razie nie będziemy w stanie reagować. Jeśli to potrwa dłużej, przy obecnym tempie narastania problemu grozi nam, że dojdziemy do momentu, kiedy już nie będziemy w stanie poradzić sobie z wydarzeniami.

- Ale co właściwie się dzieje? - pyta ktoś w końcu. To mężczyzna w średnim wieku. Chyba lekarz. Nie wiem, czy zwykły, czy psychiatra. - Z pewnością naszym priorytetem jest zidentyfikowanie przyczyny i zajęcie się nią w pierwszej kolejności.

- Uważam, że w tym wypadku przyczyna i efekt to jedno i to samo - stwierdza mały, łysy człowieczek (który, jak sądzę, jest wysoko postawionym politykiem). - Ludzie reagują na to, co widzą na ulicach, a ich reakcja sprawia, że sytuacja wygląda gorzej niż w rzeczywistości.

- Widzisz? - Trącam Liz.

- Ćśś... - syczy.

- Naprawdę pan w to wierzy? - dopytuje się inny mężczyzna.

- Naprawdę wierzy pan, że cokolwiek z tych rzeczy wydarzyło się tylko w wyniku oglądanej przemocy?

- Przemoc to produkt uboczny - odzywa się siwa kobieta.

- Przemoc to sedno problemu - sprzeciwia się polityk. - Naszym problemem jest właśnie przemoc. Kiedy przywrócimy porządek, możemy zacząć...

- Przemoc to produkt uboczny - powtarza siwa kobieta, poirytowana tym, że jej przerwano. -

Ma pan rację, że jest w tym wszystkim sporo naśladownictwa, ale to nie przemoc jest przyczyną. Istnieją ukryte powody tego, co się dzieje, i trzeba je rozpoznać, zanim...

- Nie ma na to żadnych dowodów - odpowiada szybko polityk.

- Nie opublikowano żadnych dowodów, które by to sugerowały - odcina się kobieta w średnim wieku. - Ale ilu niepublikowanych informacji się nie ujawnia? To wyjątkowa sytuacja. Przy każdej eskalacji przemocy na tę skalę istniała jakaś przyczyna, prawda?

Ponieważ do incydentów dochodzi w tak różnych geograficznie regionach, musi istnieć jakaś możliwa do określenia przyczyna.

- Jeśli popatrzeć na to, co widzieliśmy w ciągu ostatnich dni - odzywa się polityk, kręcąc głową - zobaczymy, że nastąpił stały wzrost odnotowanych przypadków przemocy w okolicach większych miast, w miejscach zagęszczonego zaludnienia. To całkowicie przewidywalne. W przypadku takich sytuacji im więcej ludzi skupia się w danym regionie, tym bardziej prawdopodobne, że problem przerodzi się w...

Przestaję słuchać. Wyczuwam, że ten biurokrata zaczyna jakąś wcześniej napisaną gadkę, w której bez wątpienia zaprzeczy ukrywaniu informacji i istnieniu nieznanych przyczyn. Zwyczajne wciskanie ciemnoty. Pozostali z biorących udział w debacie przyciskają go i chociaż wije się i walczy, żeby zachować panowanie nad sytuacją, w końcu musi się zamknąć. Mam przeczucie, że ten program zaaranżowano jako ćwiczenie dla rzecznika rządu, ale nic z tego nie wyszło. Niepokój polityka i sposób, w jaki ewidentnie miga się od odpowiedzi na zadawane mu pytania, może znaczyć dwie rzeczy. Albo rząd doskonale wie, co się dzieje, i woli tego nie mówić społeczeństwu, albo nie ma zielonego pojęcia. Obie możliwości są równie przerażające.

Kolejne dwadzieścia minut przy wiadomościach i oczy zaczynają mi się zamykać. Debata się skończyła i wracają nagłówki. Mówi się, że być może zostanie wezwane wojsko, aby zaprowadzić porządek, jeśli policja przestanie sobie dawać radę, jak to sugerowała siwa uczestniczka wcześniejszych rozmów. Mówi się też, że problem dotyczy głównie większych miast i jak na razie nic nie wiadomo, żeby problem rozprzestrzenił się na inne kraje. Wyjątkowo niepokojące są wieści o godzinie policyjnej po zmroku i wprowadzeniu innych restrykcji, żeby ludzie nie kręcili się po ulicach i nie wchodzili sobie w drogę.

Najbardziej martwi mnie to, czego się nie mówi. Denerwuję się tym, że najwyraźniej nikt nie ma pojęcia, co się dzieje.

## WTOREK

### VI

Jeremy Pearson miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Gdy przygotowywano go do operacji, czuł się dobrze. Jednak teraz, kiedy naprawdę leżał na stole operacyjnym, ludzie kręcili się wokół niego, maszyny brzęczały i buczały, a nad nim wisiała ta ogromna, okrągła lampa, czuł, że go mdli i zaraz zemdleje. Powinienem był zdecydować się na znieczulenie ogólne, a nie na miejscowe, pomyślał, kiedy doktor Panesar, chirurg, podszedł do niego. I tak sporo płacę za tę operację, a znieczulenie

ogólne nie kosztowałyby dużo więcej...

- No dobrze, panie Pearson - powiedział chirurg przez zieloną maskę. - jak się pan czuje?

- Nie za dobrze - wymamrotał Pearson, zbyt przerażony, żeby się poruszyć.

Napiął całe ciało pod prześcieradłem i koszulą, która go zakrywała.

- To nie potrwa długo - wyjaśnił doktor Panesar, ignorując zdenerwowanie pacjenta. - To czwarta wazektomia, którą dziś wykonuję, i żadna z nich nie trwała dłużej niż pół godziny. Skończymy, zanim się pan obejrzy.

Pearson nie odpowiedział. Było mu słabo. Może to upał w sali operacyjnej, a może myśl o tym, co za chwilę ma się stać? Czy to normalne? Po prostu reagował na znieczulenie, które miało sprawić, że przestanie czuć jądra ?

- Nie czuję się... - próbował powiedzieć pielęgniарce, która stała obok niego, trzymając go za rękę.

Zauważyła, że pacjent się męczy, i nasunęła mu na twarz maskę z tlenem.

- Nic panu nie będzie - uspokajała. - Proszę pooddychać i pomyśleć o czymś innym.

Pearson próbował odpowiedzieć, ale maska stłumiła słowa. Jak mam myśleć o czymś innym, kiedy ktoś zaraz odetnie mi jaja?

- Jest pan fanem krykieta? - odezwał się starszy pielęgniarz po drugiej stronie stołu. Pearson pokiwał głową. - Widział pan dzisiejsze wiadomości? Z tego, co mówią, nieźle nam idzie.

Tlen sprawiał, że mdłości nieco zelzały. Tak lepiej. Czuł się teraz bardziej odprężony...

- A więc dobrze, panie Pearson - rzucił wesoło doktor Panesar, unosząc wzrok znad operowanych rejonów. - Jesteśmy gotowi, możemy zaczynać. Wyjaśniłem panu w klinice, co zrobię, prawda? To naprawdę drobny zabieg. Zrobię tylko dwa nacięcia, po jednym po każdej stronie moszny. Dobrze?

Pearson pokiwał głową. Nie chce wiedzieć, co robisz, pomyślał, po prostu załatw to.

- Czuję się pan trochę lepiej? - zapytała pielęgniarka, delikatnie głaszcząc jego dłoń.

Znowu pokiwał głową, a ona zdjęła mu maskę tlenową. Czuł, że chirurg wziął się do pracy. Chociaż genitalia miał znieczulone, nadal wyczuwał ruch w okolicach nóg i czasem ktoś się ocierał o czubki palców jego stóp, wystających nad brzegiem stołu. Znowu mu było niedobrze. Znowu zaczynało go mdlić. Chryste, pomyśl o czymś, co oderwie twoje myśli od tego! - krzyknął w duchu. Próbował skupić się na obrazach i myślach - dzieciach, żonie Emily, zarezerwowanych wakacjach za parę tygodni, nowym samochodzie, który wybrał w zeszłym tygodniu... o czymkolwiek. Chociaż starał się ze wszystkich sił, nadal nie mógł zapomnieć o fakcie, że ktoś właśnie kroi jego moszną skalpelem.

Czy tak powinienem się czuć? - zastanawiał się Pearson. Zimno mi. Nie czuję się dobrze. Powinienem się tak czuć, czy coś poszło nie tak?

- Nie czuję się dobrze - wymamrotał.

Pielęgniarka spojrzała na niego i znowu założyła mu maskę z tlenem. Ten nagły ruch sprawił, że doktor Panesar podniósł wzrok.

- Wszystko w porządku? - zapytał głosem sztucznie wesołym i ożywionym. - Dobrze się pan czuje, panie Pearson?

- Nic mu nie jest - odpowiedziała pielęgniarka głosem równie sztucznym i beztroskim. - Trochę mu się kręci w głowie, to wszystko.

- Nie ma się czym martwić - stwierdził chirurg, obchodząc stół i patrząc pacjentowi w twarz. Spojrzenie wybałuszonych, przerażonych oczu Pearsona wędrowało po sali. Pacjent mrużył powieki przed rażącym światłem, które oświetlało jego wyciągnięte na stole ciało. Doktor Panesar zatrzymał się i spojrzał mu w twarz.

- Doktorze Panesar? - zapytała pielęgniarka.

Nic.

- Wszystko w porządku, panie doktorze?

Panesar zatoczył się do tyłu, nadal nie odrywając oczu od Pearsona.

- Dobrze się pan czuje, doktorze? - zapytał asystent chirurga.

Żadnej odpowiedzi.

- Doktorze Panesar? - odezwał się raz jeszcze asystent. - Nic panu nie jest?

Panesar spojrział na kolegę i zacisnął dłoń na skalpeli. Pochylając się znowu nad stołem, ciął przez odsłonięte genitalia Pearsona, uszkadzając jądra i worek mosznowy. Krew trysnęła z rozciętych żył i tętnic i rozlała się po stole.

- Do diabła, co robisz?! - krzyknął asystent.

Odepchnął Panesara, złapał go za rękę i chciał szarpnięciem wyrwać mu skalpel. Oszalały ze strachu Panesar odwrócił się i ciął mężczyznę ukośnie przez prawe ramię.

W sali operacyjnej wybuchła panika. Chirurg zaatakował personel, który rozbiegł się w popłochu. Pearson leżał bezradnie na stole, rozpaczliwie kręcąc głową to w jedną, to w drugą stronę, próbując się zorientować, co się wokół niego dzieje. Panesar zalany krwią, ze skalpelem w ręce uciekł z sali. Pearson patrzył, jak lekarz się oddala.

Co się, do cholery; działo? Chryste, nagle poczuł się bardzo dziwnie. Robiło mu się zimno i drżał, ale na nogach czuł ciepło. I dlaczego ludzie panikowali? Skąd to nagłe poruszenie? Dlaczego pielęgniarka i pielęgniarz uciekli na drugi koniec stołu i skąd tyle krwi?

Nadal znieczulony; nieświadomy pandemium, jakie nagle rozpętało się w prywatnym szpitalu, i faktu, że błyskawicznie wykrwawia się na śmierć, Pearson spojrział w światło i spróbował myśleć o czymś innym niż to, że chirurg właśnie zniknął w trakcie wazektomii.

12

Dziś wszędzie panuje dziwna atmosfera. Wszyscy wydają się podenerwowani. Nikt już nie jest pewny, co o tym wszystkim myśleć. Wszyscy jakby dwa razy zastanawiali się nad tym, co robią, i bardziej niż zwykle przejmowali się tym, co robią pozostali. Nasze zwykłe życie i codzienna rutyna nagle wydają się bardziej skomplikowane, chociaż nadal nawet nie mam pewności, czy coś się zmieniło.

Zaraz po przerwie na lunch zadzwoniła do mnie Lizzie. Mieliśmy dziś po południu umówioną wizytę w szpitalu z Joshem, a przez to, co wczoraj wydarzyło się w szkole, całkiem o tym

zapomnieliśmy. Trzy tygodnie temu spadł z krzesła i rozciął sobie głowę. Wizyta była po to, żeby się upewnić, że wszystko goi się jak trzeba, a Josh jest zdrow jak ryba. Lizzie zapomniała też powiedzieć Harry'emu, że szkoła jest zamknięta. Zjawił się rano o ósmej, spodziewając się, że jak zwykle ma zająć się Joshem. Liz załatwiła, że odwiezie ją do miasta z najmłodszym, a potem zabierze z powrotem do domu Ellis i Eda. Powiedziałem, że spotkamy się w szpitalu i razem wrócimy do domu po wizycie u lekarza. Udało mi się przekonać Tinę Murray, że też muszę być na wizycie. Chociaż raz uwierzyła w moją historyjkę bez większych oporów.

Mimo że próbowałem szybko się wyrwać, wyszedłem z biura później, niż powinienem (zatrzymałem się, żeby z kimś pogawędzić), i całe wieki jechałem przez miasto. Josh miał wizytę o trzeciej - za trzy kwadransy. Z drugiej strony, w szpitalach zawsze wszystko się przeciąga, a przy tym wszystkim, co ostatnio się dzieje, na pewno wizyta odwlecze się bardziej niż zwykle. Założę się, że nawet jeszcze nie wszedł do lekarza. Idę szybko ścieżką przecinającą parking. W szpitalu panuje spory ruch. Popołudnie jest mroczne i szare, a jasne żółte światła płoną w licznych oknach. To cholernie ponure miejsce. Nie chciałbym tu zostać dłużej...

- Danny!

Kto to do diabła? Odwracam się i widzę Lizzie idącą w moim kierunku z Joshem w spacerówce.

- Wszystko w porządku? - pytam zakłopotany.

- Gdzie się podziewałeś?

- Nie mogłem wcześniej przyjechać - odpowiadam, kłamiąc przez zaciśnięte zęby. - Dopiero co dojechałeś?

Kręci głową.

- Żartujesz sobie czy co? Już byliśmy u lekarza.

- Co, już po wizycie?

- Byliśmy umówieni na trzecią. Dobrze, że nie ty go przywoziłeś.

- Wiem, ale...

- Czekam na ciebie od co najmniej dwudziestu minut. Wizyta była błyskawiczna. Szybko się nas pozbyli.

- Przepraszam, ja...

Znowu kręci głową i zaczyna pchać wózek pod górkę w stronę głównej drogi.

- Nieważne - mruczy pod nosem.

Chryste, ma naprawdę fatalny nastrój.

- I wszystko jest w porządku?! - pytam, krzycząc za nią, gdy pędzi przed siebie. - Joshowi nic nie jest?

- Nic mu nie jest - warczy przez ramię Liz.

Popołudnie ze złego przechodzi w jeszcze gorsze. Lizzie już ze mną rozmawia, ale nadal nie jest szczęśliwa. Ja też nie. Wróciliśmy przez miasto na stację, ale był jakiś problem i nasz pociąg wypadł z rozkładu. Nie możemy prosić Harry'ego, żeby przyjechał po nas (w samochodzie nie ma dość miejsca), więc jedyne, co nam zostaje, to długa podróż trzema autobusami. Liz właśnie zadzwoniła do Harry'ego i powiedziała, że późno wrócimy. Najwyraźniej nie był zachwycony.

Dzień pracy zbliża się do końca. Światło blednie, a urzędnicy, którzy wychodzą z biur o czwartej, zaczynają już wylegać na ulice. Musimy szybko wydostać się z miasta, bo ugrzęźniemy w najgorszych korkach w godzinach szczytu.

- Którym autobusem?! - pyta Lizzie, przekrzykując ruch uliczny.

- 220 - odpowiadam z za jej pleców.

Teraz ja pcham wózek. Mam wrażenie, jakbyśmy szli w przeciwnym kierunku niż reszta przechodniów. Trudno iść przed siebie po prostej.

- Przystanek jest już niedaleko.

Nasz przystanek znajduje się w połowie drogi jednokierunkowej. Lizzie chowa się pod daszek, a ja za nią. Josh popłakuje. Zmarzył i jest głodny.

- Słuchaj, przepraszam, że nie zdążyłem na czas do szpitala - mówię. - Teraz naprawdę jest

ciężko. Wiesz, jak to jest, gdy...

- Mniejsza z tym - przerywa, najwyraźniej niezainteresowana moimi wyjaśnieniami.

Zerkam na ulicę, bo akurat nadjeżdża autobus. Z nadzieją mrużę oczy, żeby dojrzeć numer, ale to nie nasz. Znowu garbię się pod daszkiem.

- Więc co powiedział lekarz?

- Niewiele. Wizyta nie trwała nawet pięciu minut. Głowa zagoiła się jak należy i nie powinno być żadnych trwałych zmian. Będzie miał małą bliznę, ale włosy ją zakryją.

- To dobrze - mówię, zerkając na Josha, który teraz jakimś cudem wygląda, jakby miał zaraz zasnąć. - Ulżyło mi. Nigdy nie wiadomo, czy jak dziecko tak się zrani ...

Urywam, kiedy nagle w okolicy przystanku rozlega się hałas rozpedzonych kroków. Sześciu mężczyzn goni ogolonego na łyso człowieka, który desperacko próbuje im się wymknąć. Ma na sobie dzinsy i biały T-shirt poplamiony krwią. Dwaj mężczyźni przebiegają obok nas, omal nie przewracając Lizzie.

- Patrz, gdzie leziesz! Cholerni idioci! - krzyczę za nimi.

Natychmiast żałuję, że otworzyłem usta. Lizzie piorunuje mnie wzrokiem. Na szczęście obaj mężczyźni biegną dalej, nie reagując na moje słowa.

Człowiek, którego ścigają, wypada na ulicę i natychmiast wbiega pod koła taksówki. Taksówkarz trąbi na niego i rozbłyskuje światłami. Skręca gwałtownie, zatrzymuje się z poślizgiem i jakimś cudem unika kolizji. Mężczyzna odpycha się od maski taksówki, odwraca i biegnie środkiem ulicy. Jednak to drobne spowolnienie wystarcza, by grupa mężczyzn dopadła go jak dzikie zwierzęta ścigające ofiarę. Serce podchodzi mi do gardła. Reszta świata jakby znieruchomiała.

Najbliższy z goniących łapie mężczyznę za rękaw. Jednym szarpnięciem ciągnie desperata do tyłu. Ofiara potyka się o własne nogi i leci do tyłu na przerywaną linię pośrodku ulicy.

- Cholerny śmieciu! - Słyszę, jak krzyczy jeden z mężczyzn. - Ty zawszona szumowino! To Wściekły!

Otoczają samotnego uciekiniera i go biją. Kopią i bezlitośnie uderzają. Patrę na Lizzie, a ona patrzy na mnie oczami szeroko otwartymi ze strachu. Spodziewa się, że coś zrobię? Nie ma mowy, żebym się wtrącił. Rozglądam się i widzę, że nikt inny też nie reaguje. Samochody zatrzymały się i wielu przechodniów po obu stronach ulicy stanęło.

Bicie trwa co najmniej minutę. Otaczają go i tłuką ze wszystkich stron i pod każdym kątem, kopiąc go w twarz, w nerki, w pierś i w jądra, deptając mu po głowie, kolanach i wyciągniętych rękach. Kiedy ten szaleńczy atak się kończy, zadyszani napastnicy odsuwają się, zostawiając drżące ciało na widoku. Wycie zbliżających się syren rozdziera złowróżbną ciszę. Patrę na ulicę i widzę policyjny motor jadący slalomem między nieruchomymi samochodami. Nim policjant zdążył dotrzeć do ciała, wszyscy napastnicy prócz jednego znikają w tłumie. Ten, który został, krzyczy do policjanta i wskazuje oskarży cielsko na bezradnego, połamanego człowieka na drodze, a potem odwraca się i ucieka za pozostałymi. Dziwne, ale policjant bez specjalnego pośpiechu, zainteresowania i troski odciąga ciało ze środka drogi i zostawia je w kanale ściekowym, żeby samochody znowu mogły jechać.

Powoli świat znowu ożywa.

Lizzie trzyma mnie za rękę, ściskając tak mocno, że aż boli. Nie mogę oderwać oczu od ciemnego kształtu na poboczu. Kto to był? Co zrobił? Jeśli naprawdę był Wściekłym, to zasłużył sobie.

Mam wrażenie, że teraz za każdym razem, gdy wychodzimy, coś się dzieje.

Wracam myślami do programu telewizyjnego, który oglądaliśmy wczoraj wieczór. Potem myślę o pozostałych atakach, które widzieliśmy, i o tych, o których słyszeliśmy. Całe to gadanie, z którym wczoraj wyskoczyłem, nagle traci wszelki sens. W tym musi chodzić o coś więcej. To nie jest po prostu paranoja ani ludzie wykorzystujący sytuację.

Z nerwów i strachu robi mi się niedobrze.

Komu następnemu to się przytrafi? Mnie? Lizzie? Harry'emu albo któremuś z dzieci? Komuś w pracy? To może być każdy.

Gdy wreszcie docieramy do domu, jest już późno. Mieliśmy wrócić przed piątą. Po drodze z miasta jeszcze kilka razy staliśmy w korkach. Dochodzi ósma.

- Ktoś się spieszy - mówi jeden z mężczyzn z góry, kiedy mijamy się z nim w wejściu do bloku.

Myślę, że to Gary. Jest z nim drugi mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałem.

- Przepraszam - mamrocze, mocując się z wózkiem w wejściu.

- Wszystko w porządku? - pyta, najwyraźniej szczerze zatroskany.

- Jasne, dzięki - odpowiadam szybko, niezainteresowany pogaduszkami.

Delikatnie popycham Lizzie w stronę mieszkania. Obaj mężczyźni wychodzą.

- Nic wam nie jest? - pyta Harry, kiedy otwieram drzwi. Jest już w połowie korytarza, wyszedł, gdy tylko usłyszał klucz w zamku. - Zamartwiałem się o was. Mogliście zadzwonić raz jeszcze.

- Przepraszam, tato - mówi Lizzie.

- Były problemy po drodze - wyjaśniam.

- Jakie problemy?

Liz zdejmuję płaszcz i kręci głową. Ociera oczy.

- Nie wiem, co tam się dzieje. - Wzdycha; mówi drżącym, cichym głosem. - Mam wrażenie, że świat zwariował.

- Co się stało? - naciska Harry, patrząc to na Lizzie, to na mnie i czekając na odpowiedź. - Nic wam nie jest? Czy...?

- Z nami wszystko w porządku - odpowiada zmęczona i delikatnie popycha ojca przedpokojem w stronę dużego pokoju.

Josh nadal śpi. Ostrożnie odpinam mu pasy, zdejmuję kurtkę i wyjmuję z wózka.

- Co się stało? - znowu pyta Harry.

Idę za nim i Liz do dużego pokoju. Zatrzymuję się i szybko zerkam do sypialni dzieci. Ed leży w łóżku i czyta. Pokój Ellis jest pusty.

- Poszliśmy na Pedmore Row złapać autobus - mówię mu. - Grupa facetów pojawiła się znikąd i zaczęła kopać jakiegoś człowieka. To był Wściekły. Gdzie Ellis?

Harry kiwa głową w stronę dużego pokoju. Zerkam ponad oparciem sofy i z ulgą widzę, że Ellis leży zwinięta w kłębek przykryta swetrem dziadka. Wygląda tak spokojnie. W pokoju panuje cisza i jedyne światło pada z telewizora migoczącego w kącie.

- Nie chciała iść do łóżka - tłumaczy Harry, stając i przyglądając się wnuczce razem ze mną. - Cały czas o was pytała. Pozwoliłem jej zostać ze mną na trochę. Wiedziałem, że i tak zaśnie.

Liz kuca przed Ellis i odgarnia pasmo włosów z jej twarzy.

- Zabiorę ją do łóżka - szepcze.

Ostrożnie wsuwa pod nią ręce i podnosi. Ellis coś mruczy i porusza się, ale się nie budzi. Harry i ja patrzymy, jak Liz ją wynosi.

Potem Harry siada na środku sofy, gdzie pewnie siedział przez cały wieczór. Kładę sobie Josha na kolanach.

- Więc powiedz mi jeszcze raz - prosi cicho Harry. - Co właściwie się stało?

Siedzę obok niego i zrzucam buty.

- Nie wiem więcej niż to, co już ci powiedziałem. Grupa gości zlinczowała Wściekłego. To wszystko. Pewnie skurczyszyn sobie na to zasłużył. Potem autobus się spóźnił, droga była zamknięta i...

Harry kiwa głową, wzdycha i pociera oczy. Wygląda na zmęczonego.

- Nie wiem, co tam się dzieje - mówi cicho. - W każdym razie cieszę się, że wróciliście. Miałem przeczucie, że możecie mieć dziś problemy.

Już chcę zapytać, co ma na myśli, kiedy łapie pilota i podkręca głośność w telewizorze.



- Oglądałem wiadomości, odkąd skończyły się programy dla dzieci - wyjaśnia. - Sprawy wymknęły się spod kontroli.

Skupiam się na telewizji. Niepokoje w kraju nie osłabły. W wiadomościach mówią o „geometrycznym wzroście liczby incydentów”. W szkole nigdy nie byłem najmocniejszy z matematyki, ale wiem, co mają na myśli. Jeden incydent przechodzi w dwa, dwa w cztery, cztery w osiem i tak dalej... Jezu, gdzie to się skończy?

Zaszła zdecydowana zmiana w sposobie, w jaki reporterzy telewizyjni mówią o dzisiejszych wypadkach. Skupiają się na ludziach

- tak zwanych Wściekłych - którzy wydają się być przyczyną problemów. Dziennikarze podkreślają, że chodzi o bardzo niewielką grupę, ale ostrzegają społeczeństwo, żeby trzymać się z daleka od wszelkich osób, które zachowują się dziwnie. Do diabła, nawet w zwykły dzień dotyczy to połowy populacji tego miasta.

- To jest jak choroba - mówi Harry. - Kompletne szaleństwo, prawda? To rozprzestrzenia się jak choroba.

- Dobrze, żeby ktoś się pospieszył i znalazł na to lekarstwo

- mruczę pod nosem, nadal patrząc w ekran.

- Wiesz, cały czas mówią, że to dotyczy tylko grupki ludzi - ciągnie, powtarzając to, co właśnie usłyszałem. - Kiedy to ich dopada, wariują. Wcześniej mówił o tym jakiś lekarz. Tylko przez pierwszych kilka minut trzeba na nich uważać.

- Co? - mamrocę, słuchając jednym uchem.

- Kiedy to ich dopada, tracą panowanie, zachowują się jak ten gość, którego widziałeś dziś wieczór. Po prostu rzucają się na tego, kto znajdzie się w pobliżu. Potem podobno się uspokajają. Nadal są zdolni do wszystkiego, ale nie są tak bardzo groźni.

O czym on mówi?

- Co masz na myśli, mówiąc „nie są tak bardzo groźni”? Chcesz powiedzieć, że zamiast wysłać cię od razu do kostnicy, pošłą cię w ciężkim stanie do szpitala?

- Mówię tylko to, co słyszałem. - Wzdycha. - Jeśli będziesz się tak zachowywał, nic więcej nie powiem.

Kręcę głową i znowu patrzę na telewizor. Na ekranie pojawiają się obrazy wojskowych konwojów wjeżdżających do centrum jakiegoś miasta. Nie bardzo wiem gdzie, bo nie widzę żadnych znajomych miejsc. Dziennikarze mówią, że do akcji wkroczyły wszystkie siły policji i wojska, więc znowu przypomina mi się telewizyjna debata, którą oglądaliśmy wczoraj wieczór. Osiągnęliśmy już punkt krytyczny, o którym wtedy mówiono? Ludzie w telewizji bardzo się starają podkreślić, że władze, chociaż z trudem, to jednak nadal sobie radzą. Jasne. Chryste, można sobie wyobrazić, co się stanie, kiedy sprawy nabiorą rozpędu i władze przestaną sobie radzić. Jasna cholera, nie sposób nawet o tym myśleć.

Na ekranie pojawia się strumień rządowych statystyk, więc tracę zainteresowanie. Nie wierzę statystykom. To wymysły. Ze statystyk zawsze można wyciągnąć to, co się chce.

- Kłopot w tym - mówi Harry - że stracili nad tym panowanie. To, co robią, to za mało i za późno.

- Nad tym? A co to właściwie jest?

Wskazuje na ekran.

- Incydenty. Przemoc... ludzie...

Statystki zniknęły i teraz oglądamy migawki pokazujące rząd płonących domów. Zdesperowani ludzie krzyczą, powstrzymywani przez kordon policji. Mogą tylko patrzeć, jak dorobek ich życia idzie z dymem.

- Problem w tym - szepcze, jakby zdradzał sekret - że ludzie panikują i przesadnie reagują na najdrobniejsze rzeczy z powodu tego, co widzieli i co im powiedziano. Rozdmuchano tę sprawę. Ludzie widzą śmierć i zniszczenie w telewizji i sami chcą być tego częścią. To jak w tych ohydnych horrorach, które oglądacie z Lizzie. Nabiera się ochoty na takie rzeczy. Podsuwają

ludziom pomysły, a oni zaczynają myśleć, że można takie rzeczy robić. Nawet przyczepili tym ludziom etykietkę. Na miłość boską, nazwali ich Wściekłymi. Pokazują ich w lepszym świetle. To brzmi jak nazwa klubu, do którego chce się należeć, nie sądzisz?

Mówi to samo, co ja wczoraj wieczorem. Tyle że ja już zacząłem się godzić z tym, że się myliłem, a kiedy patrzę na ekran telewizora, nabieram jeszcze większej pewności, że całkowicie opacznie oceniłem sytuację. Już sama skala problemu zaczyna mnie naprawdę przerażać. Cały czas mówią o drobnej mniejszości, ale tysiące, a możliwe, że nawet dziesiątki tysięcy ludzi jest uwikłanych w te akty przemocy. Każdy incydent w jakiś sposób wpływa na życie setek ludzi. Młodych, starych, mężczyzn i kobiet... to dotyczy wszystkich grup społecznych. To zdecydowanie coś więcej niż paranoja. To coś więcej niż media nakręcające ludzi.

- Nie chcę przyłączać się do żadnego klubu - mówię mu. -I nikt nie wkłada mi do głowy żadnych pomysłów. Nie zacząłem żadnej bójki. Nie zamierzam wychodzić, by atakować kogokolwiek, nie bardziej niż ty czy Lizzie.

- Wiem. Po naszej stronie stoi dojrzałość i zdrowy rozsadek, prawda? Znamy różnicę między dobrem i złem. Wiemy, co można zaakceptować, a czego nie.

- Chcesz powiedzieć, że wszyscy, którzy jakoś temu ulegli, są po prostu niedojrzali? Harry, daj spokój, naprawdę myślisz...

- Na świecie jest mnóstwo ludzi, którzy mają w nosie, co dobre, a co złe - ciągnie, ignorując mnie. - Ludzie, których ekscytuje rozkręcanie burd, a pokazywanie tego w telewizji tylko pogarsza sytuację. Pokazując to, mówią, że to w porządku, że to akceptowalne.

- Bzdura! Wcale tak nie mówią...

- Sugerują to, bo skoro tylu ludzi jest teraz w to zaplątanych, równie dobrze pozostali też mogą dołączyć.

- Pieprzenie!

- Nie musisz przeklinać!

- Mylisz się - próbuję mu wyjaśnić. - To nie ma nic wspólnego z...

- Właśnie o tym mówię - ciągnie, podnosząc głos i nadal nie słuchając tego, co mu tłumaczę.

- Trzydzieści lat temu nigdy w życiu nie użyłbyś takiego słowa w normalnej rozmowie. Teraz co drugie słowo, jakie się słyszy, to przekleństwo. Standardy obniżyły się, i to właśnie dzieje się teraz na ulicach.

Przez chwilę nie potrafię odpowiedzieć. Staruszek nagle strasznie się nakręcił. Jego twarz poczerwieniała z gniewu. Przerazająca myśl przebiega mi przez głowę. To Wściekły? Zaraz się zmieni? Będzie taki, jak ci ludzie, których widzieliśmy w telewizji? Zaraz mnie zaatakuje? Powinienem zaatakować go pierwszy, zanim mnie dorwie? Właśnie tak to się zaczyna...?

- Nikt już nikogo ani niczego nie szanuje! - kontynuuje. - To skandal, hańba! To się dzieje od lat. Zanim się człowiek obejrzy, będziemy żyli w kompletnej anarchii i wtedy zobaczysz...

- Wiem, co próbujesz powiedzieć, tato - przerywa mu Liz, wracając do pokoju. - Ale nie zgadzam się z tobą. Dany i ja rozmawialiśmy o tym zeszłego wieczoru, prawda? Nigdy nie widziałam czegoś takiego jak wydarzenia z ostatnich dni. Widziałam już wcześniej niepokoje, ale nigdy czegoś podobnego.

Odprężam się. Nagłe pojawienie się Liz uspokoiło sytuację. Gniew z twarzy Harry'ego znika.

- Co masz na myśli? Na czym polega różnica? - Wzdycha.

Liz stoi w progu i zastanawia się kilka sekund.

- Dzisiaj wieczorem na mieście, po tym, jak pobito tego człowieka, to się po prostu czuło w powietrzu.

- Co się czuło? - pytam.

- Strach - odpowiada. - Ludzie są przerażeni. Już spodziewają się kłopotów i w napięciu czekają, aż coś się stanie. A kiedy coś się dzieje, to z tego, co widziałam, zwykle reagują całkiem nieoczekiwanie. Nie wiem, co jest powodem, tato, ale wiem, że musi istnieć jakaś konkretna, fizyczna przyczyna. Ludzie boją się jak cholera, a sytuacja pogarsza się z dnia na dzień.

- Powoli wszystko będzie się uspokajać - zaczynają odruchowo przekonywać Harry. Lizzie kręci głową.
- Nie będzie - odpowiada drżącym, łamiącym się głosem. - Patrzyliśmy na mężczyzn, którzy zlinczowali dziś Wściekłego. Nie wiem, co zrobił, ale nie mogło być to dużo gorsze od tego, jak się na nim zemścili. Biło z nich tyle samo nienawiści i gniewu, co z każdego Wściekłego.

## ŚRODA

### VII

Daryl Evans siedział na tyłach górnego poziomego piętrusa kluczącego ulicami w stronę centrum miasta. Oparł się o okno i wyjrzał w dół. Jechał do pracy do biura rady miejskiej - kolejny dzień harówki i rozpacz. Nie miał dziś ochoty pracować. Pomyślał że może spróbuje urwać się po paru godzinach. Może powie Tinie, swojej szefowej, że nie czuje się dobrze i musi wracać do domu. Zważywszy na wszystko, co się ostatnio dzieje, nie sądził, żeby próbowała go zatrzymać.

Evans nie był szczególnie zainteresowany resztą świata. Nie zwracał szczególnej uwagi na to, co działo się poza najbliższym kręgiem rodziny i przyjaciół. Wczoraj spędził miły wieczór i przez to trudno mu było wstać dziś rano. Posiedział trochę ze znajomym, którego dawno nie widział. Popijali piwo i jedli niezdrowe jedzenie. Tego ranka czuł się wzdęty i nieco skacowany. Nie usłyszał budzika, a potem przewalił całe mieszkanie do góry nogami w poszukiwaniu zegarka. W końcu znalazł go pod łóżkiem, ale wtedy już był spóźniony do pracy. Po prostu wiedział, że to jeden z tych dni, kiedy wszystko wymaga większego wysiłku niż zwykle i nic nie idzie tak, jak należy.

Evans nie miał czasu na wiadomości i bieżące sprawy. Nie wiedział, dlaczego dziś rano ulice są takie ciche i dlaczego musiał czekać dwa razy dłużej na autobus, który przyjechał pustawy. Zauważył, że dzisiaj wszystko wyglądało nieco inaczej, ale nie zwracał sobie głowy pytaniem dlaczego.

Na górnym poziomie autobusu było jeszcze siedem innych osób. Pięć z nich siedziało samotnie; milcząc w zamyśleniu, patrzyło na szary, wilgotny ranek za oknami. Jedna para siedziała razem z przodu, śmiejąc się, żartując i robiąc więcej hałasu niż wszyscy pozostali pasażerowie. Evans siedział na samym końcu i wszystkich obserwował. Wnętrze autobusu zaparowywało. Otarł szybę, żeby się zorientować, dokąd zjechał. Jego nagły ruch przyciągnął uwagę siedzącego dwa rzędy przed nim chudego jak patyk mężczyzny o sztywnych włosach, który nerwowo obrócił się, sprawdzić, co się za nim dzieje.

Spojrzeni po sobie, a pozostali pasażerowie zamarli.

Mężczyzna - cichy, skromny, nieszukający zaczepki - szybko odwrócił się z powrotem i patrzył przed siebie, modląc się, żeby nic się nie stało. Za późno. Evans ogarnięty nagłym, nieopanowanym strachem i przymusem skoczył i ściągnął tamtego z krzesła. Pchnął go w przejście między siedzeniami; mężczyzna wylądował na podłodze z wystarczająco głośnym hukem, żeby usłyszeli to wszyscy na dolnym poziomie. Evans spojrzał na niego z góry, a tamten, skamieniały ze strachu, odpowiedział spojrzeniem. Leżał z ramionami wciśniętymi między siedzenia po obu stronach. Evans uniósł stopę i kopnął go w twarz, łamiąc mu nos i rozcinając skórę pod prawym okiem. Kopnął znowu, i jeszcze raz, czując, że wszelki opór niemal natychmiast zniknął, a kości mężczyzny łamią się pod wpływem siły bezlitosnego ataku.

Kierująca autobusem kobieta zerknęła w górę w lusterko, ale zrywający się z siedzeń i zbiegający na dolny poziom pasażerowie zasłonili jej cały widok. Gwałtownie zatrzymała autobus pośrodku zwykle tłocznej podwójnej jezdni. Tydzień temu wielu ludzi próbowałoby coś zrobić, jakoś pomóc, ale nie dzisiaj. Przerażeni i obawiający się o własne bezpieczeństwo uciekali jak najszybciej, wysypali się na ulicę, zerkając ku oknom na górnym poziomie, wychwytyjąc ruch - migawki z krwawej i gwałtownej napaści.

Dwaj policjanci, którzy patrolowali okolice, weszli do środka dopiero wtedy, gdy wysiadł ostatni pasażer. Natychmiast wbiegli na górę z uniesionymi pałkami, gotowi do ataku. Daryl Evans rzucił się na nich. Pojedynczy, dobrze odmierzony cios gumowej pałki w skroń go ogłuszył. Padł na podłogę kilka centymetrów od stóp nieruchomego ciała mężczyzny którego zatłukł na śmierć.

14

Lizzie zwymyślała mnie od skończonych idiotów za to, że postanowiłem tu dziś przyjść. Powiedziała, że to szaleństwo jechać do miasta, i teraz, gdy jestem w pracy, muszę się z nią zgodzić. Chciałem zostać w domu, ale nie miałem wyboru. Wziąłem ostatnio za dużo wolnych dni. Kilka miesięcy temu otrzymałem nagane za zbyt dużą liczbę nieobecności i teraz nie dadzą mi pieniędzy, jeśli się nie zjawię. Grozili, że mnie wyrzucą, jeśli nie przyjdę do biura, a niezależnie od tego, jak bardzo nienawidzę tej pracy, nie stać mnie na jej utratę. Może będę jedyną osobą, która się dziś zjawi. Może powinienem skorzystać z szansy i zawrócić do domu. Nie wiem, co gorsze:

myśl o kolejnej karze dyscyplinarnej i nasiadówce z Barrym Pennym i Tiną czy ryzyko, że właduję się w coś podobnego do tego, co widzieliśmy wczoraj wieczorem.

Dziś na ulicach jest spokojniej. Nadal widać sporo ludzi, ale mam wrażenie, jakby to był niedzielny poranek, a nie środy. Wszyscy są milczący, zgaszeni i mało kto się odzywa. Rozumiem to. Ja też nie mam ochoty z nikim rozmawiać. Nie chcę ryzykować kontaktu wzrokowego, nawet nie chcę na nikogo patrzeć, bo a nuż coś się wydarzy. Idę ze spuszczoną głową, z zaciśniętymi ustami i podejrzewam, że wszyscy inni też tak robią.

Dziwaczne uczucie. Wczoraj wieczorem, kiedy wracaliśmy do domu ze szpitala, i później, kiedy rozmawiałem z Harrym, zaczęło mnie ogarniać wrażenie, że świat się rozpada i zbliża się jego koniec. Dziś rano rzeczywistość wydaje się inna. Pomimo ciszy i braku rozmów wszystko przedstawia się całkiem normalnie. Trudno uwierzyć w rzeczy, które widzieliśmy i o których słyszeliśmy.

Do biura przechodzę przez Millennium Square. To rozległy, wyłożony kostką plac z okropną, nowoczesną fontanną na środku. Znajduje się w samym centrum miasta, więc ludzie przecinają go, idąc z różnych kierunków. Zawsze panuje tu spory ruch. Między ósmą a dziewiątą rano, w południe, o drugiej po południu i właściwie o dowolnej porze po czwartej robi się prawdziwy ścisk. Jeśli można przewidywać, że gdzieś coś się stanie, to na pewno tu. Może dzisiaj powinienem unikać tego miejsca, ale to wydłużyłoby drogę do pracy o kolejne dziesięć minut, a już jestem spóźniony. Wygląda na to, że władze spodziewają się problemów. Nigdy wcześniej nie widziałem tu tylu policjantów na patrolu, a większość, o ile nie wszyscy, jest uzbrojona. Może gdzie indziej na świecie to normalne, ale nie tutaj. Jezu, widok policjantów chodzących wśród tłumu z półautomatyczną naładowaną i gotową do strzału bronią sprawia, że dociera do mnie, jak niebezpieczna i nieprzewidywalna stała się sytuacja. Ale ich obecność tylko powiększy problemy, a nie zmniejszy, prawda?

Ostatnie chwile wolności, nim dotrę do biura.

Co jest powodem ostatnich wydarzeń? Kiedy idę przez milczący tłum o nieruchomych twarzach, zastanawiam się, kto ponosi odpowiedzialność za to szaleństwo i histerię. Co sprawiło, że świat stanął na głowie? Czy całą tę sytuację nakręciły media, jak wierzy ojciec Lizzie, czy chodzi o coś więcej? Czy w ogóle coś wydarzyło się naprawdę? A może ludzie chodzą przerażeni czymś, co w ogóle nie istnieje? To coś znajduje się w wodzie, którą pijemy? Albo terroryści rozpylili coś w powietrzu? Żyjemy w jakimś dziwnym scenariuszu w stylu Inwazji porywaczy ciał?

A może to coś jeszcze gorszego?

Południe.

W pracy pojawiła się mniej niż połowa pracowników. Staram się jak najmniej rzucać w oczy. Kiedy jestem zajęty, czas szybciej upływa, a chcę, żeby minął jak najszybciej. Jakąś godzinę temu rozmawiałem krótko z Liz. Szkoła znowu jest zamknięta. Próbowali ją dzisiaj otworzyć, ale przyszła tylko połowa dzieci i jeszcze mniej pracowników, więc Lizzie kolejny dzień siedzi z dziećmiakami w domu. Doprowadzają ją do szału, ale wiem, że tam będzie jej lepiej. Szkoda, że ja też nie mogę już siedzieć w domu.

Brak pracowników dzisiaj oznacza, że wszyscy mamy więcej roboty. Jennifer Reynolds jest jedną z osób, które się nie zjawily, a to znaczy, że na zmianę po godzinie musimy siedzieć w recepcji. Dzisiaj wyjątkowo nie mam ochoty tam siedzieć. Nawet Tina musi odbębnić godzinę. Właśnie skończyłem swoją zmianę i zjawila się Hilary Turner, żeby mnie zastąpić. Lubię ją. To zimna stara panna o skwaszonej minie i potwornej nadwadze, ale wie, kto tu co robi i nie da sobie wcisnąć kitu. W przeciwieństwie do większości pozostałych ludzi, z którymi pracuję, ona jest uczciwa i prostolinijna. Jeśli nie pasuje jej coś, co zrobiłeś, mówi ci to prosto w twarz - żadnego zachodzenia od tyłu i mataczenia jak u innych. Jest twarda jak skała i za to jeszcze bardziej ją lubię.

- Było spokojnie - mówię jej, gdy idzie w moją stronę. - Nikt się nie zjawil.

- To gwóźdź do mojej trumny - sroży się, opadając ciężko na miejsce za biurkiem. - Teraz, jak tu przesłałam, zaczną przyłazić tłumy.

Już mam jej powiedzieć, żeby się zamknęła i nie gadała głupot, kiedy otwierają się drzwi. Może miała rację. Nagle poruszenie i do budynku wpada mężczyzna. Niesie plik papierów, które ciska na biurko przed Hilary. Ona aż odskakuje. Facet jest rozwścieczony. Dosłownie gotuje się z gniewu i nagle strach mnie paraliżuje. To jeden z nich? Wściekły?

- Załatwcie to! - krzyczy. - Macie to, do cholery, wyjaśnić, ale już!

Uderza pięścią w biurko. Twarz ma czerwoną i ciężko dyszy. Ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i budowę gracza w rugby. Powinienem coś powiedzieć, ale nie potrafię. Bezgłośnie się woli próbuję zmusić Hilary, żeby się odezwała (zwykle świetnie sobie radzi z takimi sytuacjami), ale jej też odebrało mowę.

- Wasi pieprzeni strażnicy założyli mi blokadę na koło! - wrzeszczy. - Nie było żadnego znaku ani tabliczki. To skandal, do cholery. Przez was spóźniłem się na zebranie...

Nadal nie mogę się ruszyć. On wciąż się wydziera, ale ja już nie słucham. Gapię się w jego twarz i powoli odsuwam się, aż dotykam plecami ściany. Czy ten człowiek to naprawdę Wściekły? O Chryste, zaraz wybuchnie i zabije nas oboje? Co, do diabła, mam robić? Po prostu uciekać? Mężczyzna patrzy to na Hilary, to na mnie. Staram się nie patrzeć mu w oczy, ale nie sposób. Widzę kątem oka Hilary. Trzęsie się jak osika. Zwykle jest niewzruszona jak skała, ale teraz siedzi równie przerażona jak ja. Muszę coś zrobić.

- Proszę posłuchać... - zaczynam głosem łamiącym się i cichym.

- Nie wciskajcie mi tu kitu! - warczy tamten, głosem ani cichszym, ani spokojniejszym. - Nie chcę słuchać żadnego gadania. Muszę wracać do biura. Naprawdę tracę już cierpliwość i jeśli nie... Pochyla się, a my oboje się odsuwamy.

- Proszę... - mamrocze słabym głosem Hilary. Zaczyna szlochać. Naciska pod blatem alarm. Słyszę wysoki dźwięk rozlegający się w głównym biurze.

Mężczyzna zamiera. Wyraz jego twarzy się zmienia. On też słyszy alarm. Patrzy to na mnie, to na Hilary. Nagle oczy mu się robią wielkie z przerażenia i paniki. Czego, do cholery, się boi? To on tu wparował i...

- Przepraszam - mówi szybko, odsuwając się na kilka kroków od biurka. - Przepraszam, nie chciałem...

Przychodzi zrozumienie.

Jego głos jest teraz znacznie cichszy. Staliśmy tam z Hilary, czekając, aż znowu wybuchnie. Zamiast tego facet mięknie. Zdaje sobie sprawę, że nas przeraził, i teraz on się boi naszej reakcji.

- Nie jestem jednym z nich - mówi, prosząc, żebyśmy uwierzyli. Chyba ma łzy w oczach. - Naprawdę nie jestem. Po prostu mandat mnie zdenerwował i przesadnie zareagowałem, to wszystko. Nie jestem Wściekłym. Nie chcę walczyć. Nie zrobię nikomu krzywdy...

Nadal nie jestem w stanie niczego zrobić. Zamarłem w miejscu. Cała ta sytuacja wydaje się dziwaczna. Kryzys minął równie szybko, jak wybuchł. Mężczyzna chce chyba powiedzieć coś jeszcze, ale tylko odwraca się i wychodzi z budynku, nadal ściskając w ręku mandat.

15

Lunch mam dwie godziny później, niż zamierzałem. Pewnie rozsądniej i bezpieczniej byłoby zostać w biurze, ale po prostu muszę wyjść. Lizzie znowu dzwoniła. Dzień, który spędza uwięziona z dziećmi w domu, staje się coraz gorszy. Potrzebujemy chleba i mleka, ale dzieciaki rozrabiają, więc nie ma odwagi wyjść z nimi gdziekolwiek. Powiedziałem, że coś kupię, póki jestem w mieście. Zamierzałem poczekać, aż wyjdę z pracy, ale cieszę się, że zmieniłem zdanie. Półki w supermarkecie są prawie puste. Do wieczora nic by nie zostało.

Odruchowo znowu idę na Millennium Square. Nadal nie ma tylu ludzi, co zwykle, ale jest ich sporo i...

Co to, do cholery, było?

Stoję pośrodku placu przy fontannie, a wszystko wokół dosłownie oszalało. Wszyscy padają na ziemię i ja robię tak samo. Rozległ się hałas - jakby pojedynczy strzał. Ale to niemożliwe, prawda?

Powoli podnoszę głowę z ziemi. Ludzie zaczynają wstawać. Niektórzy biegną przed siebie w różnych kierunkach i nie sposób się zorientować, co się stało. Inni, tacy jak ja, pozostają w bezruchu, próbując się zorientować, co się dzieje i gdzie czyha niebezpieczeństwo. Muszę się ruszyć. Muszę się stąd wynosić. Wstaję i zaczynam biec w stronę biura, ale trudno się przebić, bo nagle tylu ludzi wokół mnie też biegnie w różne strony. Zatrzymuję się i przykucam, kiedy znowu słyszę ten dźwięk. To rzeczywiście był strzał. To nie mogło być nic innego.

Po mojej lewej grupa ludzi krzyczy i wrzeszczy w panice. Na ziemi między nimi leży ciało. Nie jestem dość blisko, żeby zobaczyć jakieś szczegóły, ale widzę szybko rozlewającą się kałużę krwi wokół głowy leżącego. Ludzie znowu biegną, potykając się i wpadając na ciało. Może to już koniec, może to wszystko. Może to ciało Wściekłego leży na ziemi i sytuacja zacznie się...

Co znowu? Ludzie przebiegają obok mnie. Widzieli coś, czego nie zauważyłem? Muszę się stąd wynosić, zanim... Za późno - po mojej lewej rozlega się trzeci strzał, który płoszy gołębie. Muszę biec, ale nogi mam jak z ołowiu. Jestem zdezorientowany. Patrzę po budynkach wokół placu, próbując się zorientować, gdzie jestem i dokąd mam biec. Kiedy myślę, że już wiem, którądy uciekać, robię kilka szybkich kroków przed siebie, wymijam kilkoro przerażonych ludzi i nagle zamieram.

Tłum przede mną rzednie. Nie więcej jak dziesięć metrów przede mną stoi policjant, uzbrojony jak ci, których widziałem rano. Rozgląda się po placu, powoli obraca głowę. Teraz zatrzymał się i znowu unosi karabin. Niech to szlag, on mierzy w moją stronę! Patrzę mu prosto w twarz, a on odpowiada tym samym. Mam znowu paść na ziemię? Czy raczej odwrócić się i...

Czwarty strzał.

Policjant strzela i Jezu Chryste, prawie czuję, jak kula przelatuje ze świstem obok mojej głowy. Powoli zerkam przez ramię i widzę za sobą kolejne ciało na ziemi, z krwawą dziurą w miejscu, gdzie kiedyś była kość policzkowa. Drżąc, odwracam się i zaczynam biec. Pędzę w przeciwnym kierunku, niż chciałem, ale to już nieważne. Chcę tylko stąd uciec. A co, jeśli ja będę następny? Jeśli teraz wyceluje we mnie? W każdej sekundzie mogę usłyszeć kolejny strzał i tym razem ja padnę na ziemię z kulą w plecach. Nie zamierzam ryzykować. Po prostu biegnę, mając nadzieję, że ktoś inny znajdzie się na linii strzału między mną a policjantem. Szybciej. Biegnij szybciej, powtarzam sobie. Biegnij. Aż znajdziesz się poza zasięgiem karabinu. Aż...

Piąty strzał.

Nic. Nie trafił mnie. Szósty, siódmy, ósmy, jeden za drugim. Wydaje mi się, czy tym razem padły z różnych kierunków? Zerkam za siebie na środek placu.

Uzbrojony policjant leży. Drugi stoi nad nim i strzela po raz dziewiąty, dziesiąty, jedenasty w drgające ciało byłego kolegi.

Nie przestaję biec. A gdy tak pędzę, jedna, porażająca myśl przebiega mi przez głowę. Czy ten policjant był Wściekłym? Chryste, jeśli wśród policji są ludzie zdolni do popełnienia zbrodni z zimną krwią, to co my mamy robić? Implikacje tego faktu są rozległe i porażające. Kto nad tym zapanuje? Do diabła, co teraz się stanie?

Muszę wracać do domu. Mam gdzieś robotę. Chrzańić to. Skręcąc i biegnę jak najszybciej na stację. Muszę wracać do Lizzie i dzieciaków.

16

Bogu dzięki, że pociągi dzisiaj jeżdżą. Wczoraj powrót trwał godzinami, a ja nie chcę być dziś wieczorem poza domem dłużej, niż to niezbędne. W kilka minut dostałem się z placu na stację i nie musiałem długo czekać na pociąg. Bóg jeden wie, co powie jutro Tina, jeśli wrócę do pracy. Mógłbym zadzwonić do niej z komórki i wyjaśnić, co się stało, ale nie chcę. Nie chcę z nikim rozmawiać. Po prostu chcę wracać do domu.

Pociąg ma tylko trzy wagony. W środku siedzi najwyżej dwadzieścia osób. Łapię się na tym, że siadam jak najdalej od wszystkich. Zajmuję ostatnie siedzenie w pociągu, na samym koniuszku

trzeciego wagonu. Siedzą tu ze mną dwie osoby. Obie bardziej z przodu, po drugiej stronie przejścia. Łapię się na tym, że cały czas obserwuję pasażerów, przerażony, że jeden z nich mógłby się zmienić, a póki pociąg jedzie, jestem tu z nimi uwięziony. Od czasu do czasu któryś z nich się rozgląda. Są równie niespokojni jak ja. Czuję skurcze w żołądku i robi mi się mdło. Nie wiem, czy to z powodu jazdy pociągiem, czy z nerwów.

Zbliżamy się do przedostatniej stacji. Chryste. Mam nadzieję, że nikt nie wsiądzie. Trzymam w ręku komórkę - i to odkąd wsiadłem. Chcę zadzwonić do Lizzie, powiedzieć, że wracam do domu, ale nie mogę się zebrać. To głupie, prawda? Nie chcę rozmawiać na głos, bo staram się nie zwracać na siebie uwagi. Nie chcę zrobić niczego, co dałoby powód pozostałym pasażerom, żeby choćby spojrzeć na mnie.

Pociąg zwalnia i się zatrzymuje. Wyglądam na peron (ale tak, żeby nie było widać, że się gapię) i patrzę, jak grupka ludzi w milczeniu podchodzi do drzwi. Jedna z osób z mojego wagonu wstaje i wysiada, pojawia się za to drugi podróżny. To mężczyzna w długim, szarym trenczu z torbą od laptopa na ramieniu. Staram się ze wszystkich sił, żeby nie nawiązać z nim kontaktu wzrokowego, ale muszę patrzeć, by widzieć, dokąd idzie. W moją stronę? Cholera, tak. Szybko spuszczam wzrok na podłogę, rozpaczliwie starając się, by nie zauważył, że patrzyłem. Nadal idzie w moją stronę? Zbliża się?

Stanął. Jestem pewny, że się zatrzymał, i ogarnia mnie ulga nie do opisania. Chryste, to głupota. Dostaję paranoi? Tylko ja tak się zachowuję? Nie wierzę w to. Bardzo, bardzo ostrożnie, poruszając się bardzo, bardzo powoli, znowu podnoszę wzrok. Pociąg z szarpnięciem rusza, a ja przezornie, łapiąc się oparcia siedzenia przede mną, unoszę się nieco. Nowo przybyły siedzi w połowie wagonu po drugiej stronie przejścia. Wygląda na to, że z rozmysłem usiadł jak najdalej ode mnie i trzeciego pasażera. Bogu dzięki.

Przyciskam czoło do szyby i obserwuję przesuujące się znajome widoki. Wyglądają tak samo, ale dzisiaj wieczorem inaczej je odbieram.

Już niedaleko. Już prawie w domu.

17

Dość tego. Jest dziewięta i dzieci wreszcie leżą w łózkach. Teraz możemy przestać udawać. Możemy zapomnieć o radosnym tonie i uśmiechach ze względu na dzieci. Teraz możemy z Liz usiąść razem i zastanowić się nad sytuacją. Nie ma sensu mieszać w to dzieci.

Co by to dało? Jeśli my nie możemy tego rozwiązać, to jaką one mają szansę? Lepiej, żeby trwały w błogiej nieświadomości. Ed zaczyna podejrzewać, że coś jest nie tak, ale dwoje młodszych niczego się nie domyśla. Też bym tak chciał.

Przez jakieś dwadzieścia minut siedzieliśmy, oglądając przewijające się w kółko nagłówki w wiadomościach.

- Dzisiaj jest inaczej - mówi Liz. - Zmieniły się.

- Co takiego?

- Wiadomości. Przestali mówić, co się stało. Popatrz dłużej, to sam zauważysz. Teraz tylko próbują nam powiedzieć, jak sobie radzić z sytuacją.

Ma rację. W wiadomościach telewizyjnych, które dzisiaj oglądamy, nastąpiła zdecydowana zmiana w podejściu do sprawy, ale nie zauważyłem tego, dopóki Liz nie zwróciła mi na to uwagi. Do tej pory puszczały niekończący się strumień relacji o pojedynczych aktach przemocy i poważniejszych wydarzeniach, ale teraz to się skończyło. Teraz nadają coś, co właściwie sprowadza się do serii instrukcji. Nie mówią niczego, czego już byśmy nie słyszeli: trzymać się z daleka od obcych ludzi, w miarę możliwości nie wychodzić z domu, uważać na przejawy dziwnego, irracjonalnego zachowania i zawiadamiać władze, gdy pojawią się kłopoty - tego typu rzeczy. Proste, zdroworozsądkowe rady.

- Pewnie nie ma co marnować czasu na relacjonowanie wszystkiego, co się dzieje - stwierdza. - Jedna bójka na ulicy nie różni się zbyt wiele od drugiej.



- Wiem - przytakuję. - Ale nadal czegoś tu brakuje, nie uważasz?
- To znaczy?
- Jeśli posłuchasz, co mówią, to zorientujesz się, że twierdzą, iż wszystko jest pod kontrolą i panują nad problemem, ale...
- Ale co?
- Nikt nie udziela żadnych wyjaśnień. Nikt nawet nie próbuje wyjaśnić tego, co się stało. To mi mówi, że albo coś przed nami ukrywają, albo...
- Nikt jeszcze nie wie, co się dzieje - przerywa mi, zanim zdążę skończyć zdanie.

18

Jest ciemno. W domu panuje cisza. Jestem zmęczony, ale nie mogę zasnąć. Jest prawie druga w nocy.

- Nie śpisz? - pytam cicho.
- Nic a nic - wzdycha Liz.

Przewracam się na bok i obejmuję ją delikatnie. Ona odpowiada tym samym. Przyciągam ją bliżej. Dobrze jest czuć ją tak blisko. Dawno tak nie było.

- Co zamierzasz zrobić rano? - pyta.
- Dotyka mnie policzkiem. Czuję jej oddech na skórze.

- Nie wiem - odpowiadam szybko.

Chcę zostać w domu, ale jakaś część mnie nadal uważa, że powinienem iść do pracy. Im dłużej leżę, nie śpiąc, tym skuteczniej wmawiam sobie, że mogę bezpiecznie iść jutro do biura. Cholerny idiota. Widziałem dzisiaj, jak w środku miasta strzelano do ludzi. Za żadne skarby tam nie wrócę.

- Zostań - mówi cicho. - Zostań z nami. Powinieneś być tutaj ze mną i dziećmi.
- Wiem, ale... - zaczynam.
- Żadnego ale. Potrzebujemy cię tutaj. Ja ciebie potrzebuję. Boję się.

Wiem, że ma rację. Obejmuję ją mocniej i przesuвам dłonią po jej kregosłupie. Ma na sobie krótką koszulkę nocną. Wsuwam dłoń pod spód i znowu dotykam jej pleców. Skóra Liz jest miękka i ciepła. Spodziewam się, że burknie i odsunie się ode mnie jak zwykle, ale nie porusza się. Teraz czuję jej dłonie na swojej skórze.

- Zostań ze mną - szepcze znowu, przesuując powoli ręką po moich plecach i niżej, wsuwając ją między moje nogi.

Zaczyna mnie głaskać i mimo strachu, zamieszania i niepewności, które oboje czujemy, w ciągu kilku sekund jestem twardy. Nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byliśmy tak blisko. Zawsze pojawiał się jakiś powód, żeby nie móc. Zawsze coś nam przeszkadzało.

- Jak to długo...? - pytam cicho.
- Zbyt długo - odpowiada.

Lizzie obraca się na plecy, a ja wchodzę na nią. Ostrożnie wsuwam się w nią, a ona obejmuje mnie mocno. Jej paznokcie wbijają mi się w skórę. Pragnie mnie równie mocno, jak ja jej. Dzisiaj oboje potrzebujemy siebie. Żadne z nas nie mówi słowa. Żadnego gadania. I tak nie mamy nic do powiedzenia.

Jest wpół do piątej. Nie pamiętam, co się stało. Musiałem zasnąć. Wciąż jeszcze jest ciemno, ale w łóżku obok mnie nikogo nie ma. Rozglądam się i widzę Lizzie przy drzwiach.

- Co się dzieje?
- Posłuchaj - szepcze.

Przecieram zaspane oczy i siadam. Słyszę hałasy nad nami. Dźwięki ciche i stłumione. Coś się dzieje w zajęтым mieszkaniu na górze. Słychać podniesione głosy, a potem brzęk tłuczonego szkła.

- Co się dzieje? - pytam zaspiany.
- To się zaczęło jakieś pięć minut temu - wyjaśnia, kiedy krzyki nad nami stają się głośniejsze. - Nie mogłam zasnąć. Pomyślałam...

Przerywa jej nagły łomot w mieszkaniu nad nami. Teraz w całym budynku jest cicho. Zapadła

długa, nieprzyjemna i złowróżbna cisza, która sprawia, że wstrzymuję oddech. W sypialni jest zimno. Z nerwów i od chłodu przechodzi mnie dreszcz. Lizzie odwraca się do mnie i już ma się odezwać, kiedy powstrzymuje ją kolejny dźwięk. To trzasnęły drzwi na górze. Chwilę potem słyszymy pospieszne, nierówne kroki na korytarzu i znajome skrzyknięcie frontowych drzwi. Zaczynam wstawać.

- Dokąd idziesz? - pyta.

- Tylko zobaczę... - zaczynam mówić, chociaż nie do końca wiem, co robię.

- Nie - prosi. - Nic nie rób. Zostań tutaj. Drzwi mamy zamknięte, okna też. Jesteśmy bezpieczni, dzieci także. Nieważne, co z innymi. Nie mieszaj się. Cokolwiek tam się dzieje, nie mieszaj się...

Nie zamierzam wychodzić, chcę tylko zobaczyć, co się dzieje. Idę do dużego pokoju. Słyszę, że ktoś zapala silnik samochodu.

Zerkam zza zasłony tak, żeby nikt mnie nie zauważył. Jeden z mężczyzn z góry - nie widzę, który - odjeżdża z wielką prędkością. Niewiele dostrzegłem, ale natychmiast zastanawiam się, kto został i co się stało na górze. Odwracam się i widzę, że Liz też weszła do pokoju.

- Może powinienem pójść na górę i sprawdzić...?

- Nigdzie nie pójdziesz - syczy. - Jak powiedziałam, mamy drzwi i okna pozamykane. Jesteśmy bezpieczni, a ty nigdzie nie idziesz.

- A jeśli tam coś się stało? Jeśli ktoś jest ranny?

- To jego problem. Mam to w nosie. Musimy teraz myśleć o dzieciach i o nas. Nigdzie nie pójdziesz.

Wiem, że ma rację. Z obowiązku biorę telefon - dzwonię na policję i na pogotowie. Chryste, nikt nie odbiera.

Lizzie wraca do łóżka. Po chwili idę za nią, ale już wiem, że teraz nie zasnę. Jestem przerażony, bo cokolwiek się dzieje na świecie, nagle znalazło się o wiele bliżej nas.

## CZWARTEK

19

Budzę się, zanim zadzwoni budzik, leżę nieruchomo i patrzę w sufit, próbując zrozumieć wszystko, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dni. To wydaje się nieprawdopodobne i niemożliwe. Czy w ogóle cokolwiek naprawdę się wydarzyło? Nic na to nie poradzę, że cały czas się zastanawiam, czy to nie efekt popieprzonej i nadmiernie ożywionej ludzkiej wyobraźni, czy też rzeczywiście dzieje się coś dziwnego i znacznie gorszego? W zimnym świetle poranka trudno pojąć wszystko, co widziałem i

o czym słyszałem. Próbuję przekonać siebie, żeby wziąć się w garść, wstać i przygotować do pracy. Ale wtedy przypominam sobie, co wczoraj widziałem na Millennium Square i natychmiast nerwy oraz niepewność dają znać o sobie.

Nie ma sensu tak leżeć. Lizzie i dzieci śpią. Na zewnątrz nadal jest ciemno, ale wstaję i kręcę się po dużym pokoju. Wyglądam przez okno. Samochód lokatorów z góry nie wrócił. Co tam się stało? Moje myśli zaczynają krążyć niespokojnie, a rozum płata mi sztuczki. Czy na górze był Wściekły? Przeraża mnie myśl, że moje dzieci mogły znaleźć się w pobliżu któregoś z nich. Usiłuję przypomnieć sobie słowa Lizzie, które wypowiedziała, kiedy obudziliśmy się poprzednim razem. Muszę ignorować to, co dzieje się na zewnątrz, i skupić na bezpieczeństwie osób po tej stronie drzwi.

Tego ranka w mieszkaniu jest zimniej niż zwykle i przez to czuję się starszej niż zwykle. Idę po śniadanie i siadam przed telewizorem. Oglądam kreskówki. Nie mam siły na nic poważniejszego. Jeszcze nie teraz.

Zjadłem pół miski płatków, więcej już nie mogę. Nie mam apetytu. Przez cały czas dręczy mnie niepokój, nie umiem przestać myśleć, co tam się wydarzyło. Do cholery, co się dzieje? Myślę o wszystkich oderwanych incydentach, których byłem świadkiem, i setkach - pewnie tysiącach - pozostałych, które wydarzyły się w innych miejscach. Nikt nie potrafi dostrzec żadnego powiązania, a jednak czy mogą nie być powiązane? Dochodzę do wniosku, że to najbardziej przerażający aspekt sytuacji. Jak tyłu różnych ludzi podążających różnymi ścieżkami życiowymi może zacząć zachowywać się tak irracjonalnie i gwałtownie w tak krótkim czasie?

Zerkam na zegar i zdaję sobie sprawę, że już powinienem szykować się do pracy. Żołądek mi się przewraca na myśl, że mam zadzwonić i rozmawiać z Tiną. Bóg jeden wie, co powie i co ja jej mam powiedzieć. Może po prostu lepiej w ogóle nie telefonować.

Ciekawość i obawy zwyciężają. W końcu ustępuję i włączam wiadomości. Jedna część mnie chce wiedzieć, co się dzisiaj stało, druga część woli wrócić do łóżka, schować głowę pod poduszkę i nie wstawać, dopóki wszystko nie ucichnie. To sprawia, że zadaję sobie jeszcze jedno pytanie, na które nie ma odpowiedzi: jak to wszystko się skończy? Czy fala przemocy i zniszczenia po prostu osłabnie i zniknie, czy też będzie narastać i narastać?

Wiadomości w telewizji wyglądają dzisiaj rano jakoś inaczej i przez chwilę nie mogę się zorientować, na czym polega różnica. Sceneria jest taka sama i prezenterka też wygląda znajomo. Nie poznaję mężczyzny, który siedzi obok niej. Pewnie zastępstwo. Prawdopodobnie dyżurny dziennikarz nie stawiał się dziś w pracy. Wczoraj w moim biurze nie pojawiła się połowa pracowników. Nie ma powodu, żeby inaczej było z ludźmi z telewizji, prawda? Może jedyna różnica polega na tym, że w porównaniu ze mną dostają o wiele więcej pieniędzy za znacznie mniej roboty.

Znowu puszczają w kółko te same wiadomości. Te same nagłówki komentowane przez dwójkę dziennikarzy. Nie ma informacji ze świata sportu, rozrywki czy biznesu, a relacje, które oglądam, przypominają te, które już widziałem wcześniej. Żadnych wyjaśnień, tylko podstawowe fakty. Od czasu do czasu cykl przerywa któryś z dziennikarzy, rozmawiając z jakimś przedstawicielem władz. Widziałem polityków, przywódców religijnych i inne osoby udzielające wywiadów w ciągu ostatnich dni. Potrafią nawijać i większość z nich wie, jak się zachować przed kamerą, ale żadne z nich nie zdoła ukryć faktu, że o tym, co się dzieje, wiedzą równie mało, jak reszta. I są jeszcze ludzie, których spodziewałbym się zobaczyć, a których nieobecność budzi podejrzenia. Co z premierem i innymi politykami wyższego szczebla? Dlaczego nie pokazują swoich twarzy? Są zbyt zajęci, osobiście walcząc z kryzysem (wątpię), czy już nie sprawują swoich funkcji? Możliwe, że szef rządu albo policji stał się Wściekłym?

Prezenter z wiadomości mówi o zamkniętych szkołach i zakładach, gdy przerywa mu nagle zamieszanie przed kamerą. Podnosi wzrok, kiedy zaniedbana postać z notatnikiem i słuchawkami na głowie, potykając się, pojawia się w polu widzenia kamery. Wysoka, smukła kobieta cofa się, aż staje tuż przed biurkiem dziennikarzy. To producentka, reżyserka czy ktoś taki... Przykuca nieco,

żeby na pewno mieścić się w obrazie.

- Nie słuchajcie tych bzdur - mówi, a na jej zmęczonej twarzy maluje się rozpacz i widać ślady łez.  
- Znacie tylko połowę historii. Nie słuchajcie niczego, co wam mówią...

I znika. Wokół niej robi się jakiś ruch, po czym obraz gaśnie i ekran czernieje. Po kilku długich i nieprzyjemnych sekundach wiadomości powracają. To ten sam program na temat osobistego bezpieczeństwa i ostrożności, który widziałem wcześniej już co najmniej pięć razy.

Czego nam nie mówią? Kobieta wyglądała na zdesperowaną, jakby od wielu dni szukała możliwości przemówienia do ludzi.

Dzwoniłem do biura kilka minut temu, ale nikt nie odebrał. Ulżyło mi, że nie musiałem z nikim rozmawiać, ale potem zaczynam znowu panikować, kiedy myślę, jak bardzo źle musi wyglądać sytuacja, skoro nikt nie pojawił się w pracy.

Nie mam nic innego do roboty, tylko wracać na sofę przed telewizor i patrzeć, jak świat się rozpada.

20

Potrzebujemy jedzenia. Ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, to wyjść z domu, ale nie mam wyboru. Dzieciaki i Lizzie siedzieli uwięzieni w mieszkaniu przez, ostatnich kilka dni i szafka praktycznie zioną pustką. Powinniśmy byli wcześniej o tym pomyśleć. Muszę zdobyć jakieś zapasy, nim sytuacja stanie się jeszcze bardziej niepewna.

Mam tyle gotówki, ile znalazłem w kieszeni; zobaczę, co za to dostanę. U mnie zawsze krucho z pieniędzmi. Nie mam żadnego kredytu, odkąd jakiś rok temu wpakowałem się w kłopoty z bankiem i skasowali mi wszystko na koncie. Teraz zaciągnąłem pożyczkę. W dniu wypłaty spłacam raty i zaległe rachunki, resztę odbieram w gotówce i z tego żyjemy do następnego miesiąca. Do wypłaty dwa tygodnie, więc już niewiele mi zostało.

Nie zastanawiałem się, dokąd pójdę, dopóki nie wyszedłem z mieszkania. Odruchowo pojechałem do supermarketu, w którym zwykle robimy cotygodniowe zakupy, ale zawróciłem, nim tam dotarłem. Chociaż było wcześniej, już ciągnęła się gigantyczna kolejka do samego wjazdu na parking. Nawet w dobre dni było to wredne, tłoczne miejsce, a postawienie tam nogi dzisiaj oznaczało proszenie się o kłopoty. Tuż przede mną dwa samochody zderzyły się w kolejce. Ktoś wepchnął się drugiej osobie w bagażnik. Obaj kierowcy wysiedli i zaczęli krzyczeć na siebie, a ja miałem wrażenie, że zamieszanie szybko się rozprzestrzeni. Nie zamierzałem ryzykować. Zawróciłem i ruszyłem w stronę domu zaskakująco spokojnymi drogami. Nadal panuje całkiem spory ruch, ale to nic w porównaniu z normalną liczbą pojazdów o tej porze dnia.

Stoję teraz przed sklepem wielobranżowym O'Shea. Znajduje się raptem kilka minut od naszego mieszkania, w bocznej uliczce odchodzącej od Rushall Road. Większość jego klientów to pracownicy huty za rogiem. Rozsądek mówi, że skoro ludzie nie idą dziś do pracy, huta będzie zamknięta i w sklepie powinno być pusto. W tym sklepie mają ułamek tego, co w supermarkecie, a ceny są dwa razy wyższe, ale nie mam wyboru. Moja rodzina potrzebuje jedzenia, a ja muszę je gdzieś zdobyć. Parkuję (dalej niż zwykle) i przechodzę ulicę.

Niech to szlag, kiedy zbliżam się do sklepu, zaczynam się zastanawiać, czy znowu nie zawrócić. Budynek wygląda, jakby go właśnie plądrowano. Ludzie tłoczą się w środku, podłoga zasypana jest śmieciami i resztkami. Zmuszam się, żeby wejść, przypominając sobie, że moja rodzina musi jeść. Połowa wystaw i zamrażarek jest już pusta, a na półkach więcej stoi śmiecia i pustych opakowań niż jedzenia. Łapię karton (największy, jaki znalazłem) i zaczynam zbierać, co się da. Wygląda na to, że dziś wszyscy wpadli na ten sam pomysł i kupują w panice. Biorę, co znajdę - puszki, torebki zjedzeniem, butelki z sosami, chipsy, słodczyce, pasty - właściwie wszystko, co się ostało i da się zjeść. Nie ma niczego świeżego - mleka, chleba, owoców ani warzyw.

Sklep jest niewielki, a w dusznym i zatłoczonym budynku panuje napięta atmosfera. Zakupy zawsze wyzwalały w ludziach to, co najgorsze. Dzisiaj czuję w powietrzu wrogość i zdenerwowanie, ale nikt ich nie okazuje. Wszyscy mają spuszczone głowy i tylko zgarniają towar z

półek. Nikt się nie odzywa. Nikt nie nawiązuje żadnego kontaktu z innymi. Starszy facet niechcący uderza mnie łokciem w żebra, kiedy obaj sięgamy po to samo. Normalnie naskoczyłbym na niego, a on odplaciłby się tym samym. Patrzymy tylko po sobie przez ułamek sekundy i w milczeniu bierzemy to, co możemy. Nie ośmielam się zacząć kłótni.

Wkrótce karton jest w dwóch trzecich pełen śmiecia. Skręcam w ostatnią alejkę i widzę przed sobą dwie puste kasy. Ludzie po prostu je mijają, a po obsłudze - żadne zaskoczenie - nie ma nawet śladu. Naiwnie spodziewałem się, że ludzie, którzy wychodzą ze sklepu, zapłacili za jedzenie, które niosą. Powinienem po prostu zabrać rzeczy, które zebrałem? Pomimo wszystkiego, co się wokół mnie dzieje, nadal czuję niepokój na myśl o wyjściu z tym wszystkim bez płacenia. Ale muszę zrobić, co należy. Gdzieś mam konsekwencje, muszę myśleć o rodzinie i zapomnieć o reszcie. To kompletne szaleństwo. Istny rabunek. Pokręcone jak cholera. Pakuję rzeczy do pudła i zmierzam do wyjścia.

Rozlega się krzyk. Chryste, przeraźliwy dźwięk, który tnie przestrzeń jak ostrze. Ludzie zamierają i rozglądają się za jego źródłem. Na podłodze tuż za mną widzę kobietę. Leży na środku alejki, zasłaniając twarz rękoma. Staram się nie gapić, ale nie mogę się powstrzymać. Ktoś odsłania mi widok i dostrzegam, że kobietę atakuje dziecko. Dziewczynka najwyżej dziewięcioletnia. Praktycznie siedzi na niej, okładają i szarpie za włosy. Jezu, w jednej ręce trzyma puszkę zjedzeniem i właśnie nią zadaje ciosy. Uderza w czoło, które natychmiast przekreśla krwistoczerwona pręga. Kobieta krzyczy, wrzeszczy i... Niech to diabli, wykrzykuje imię dziewczynki. Biję ją własna córka? Przez ułamek sekundy myślę, że powinienem pomóc, ale wiem, że nie mogę. Nikt nie może ryzykować i się mieszać. Najwyraźniej wszyscy doszli do tego samego wniosku. Są zszokowani tym, co widzą, ale nikt nie robi nic, żeby pomóc. Ludzie przesuwają się ostrożnie, omijając jatkę, żeby jak najszybciej wydostać się ze sklepu, a ja uciekam razem z nimi. Kobieta jest już martwa, ale dziecko nadal wali puszką w jej twarz. Jest całe we krwi matki...

Ludzie wychodzą ze sklepu coraz liczniej i coraz szybciej. Czuję wokół siebie narastającą panikę i przyspieszam kroku, rozpaczliwie chcąc wyjść, zanim wybuchnie. Zerkam na puste kasy i mijam je biegiem. Przez sekundę gryzą mnie wyrzuty sumienia, ale przepycham się do wyjścia i pędem ruszam do samochodu. Rzucam jedzenie na tylne siedzenie i zamykam drzwi.

Odpalam silnik i znowu zerkam na sklep. Zdesperowani ludzie wylewają się ze splądrowanego sklepu, potykając o siebie nawzajem; uciekają, zanim sytuacja jeszcze bardziej się pogorszy. Z niedowierzaniem gapię się na budynek, a w głowie mam obraz swojej rodziny i tego, co właśnie widziałem. Czy któreś z moich dzieci mogłoby zrobić coś takiego mnie albo Lizzie? Co gorsza, czy my moglibyśmy zrobić coś takiego im...

21

Lizzie pyta, czy nic mi nie jest, ale ja nie potrafię odpowiedzieć. Najpierw muszę wejść do mieszkania. Muszę wnieść do środka jedzenie, zatrzasnąć drzwi, zamknąć na wszystkie zamki i nigdy więcej ich nie otwierać.

- Nic ci nie jest? - znowu pyta. - Dlaczego nie było cię tak długo?

Biegnę do samochodu, biorę kilka ostatnich drobiazgów, które wypadły z pękniętego kartonu, i wrzucam do kuchni.

- Tato - jęczy Ed. - Możemy teraz coś zjeść? Umieram z głodu...

Ignoruję wszystkich i skupiam się na zamykaniu drzwi i upewnianiu się, że dom i moja rodzina są bezpieczni.

- Przesuń się - burczę na Ellis, która sterczy na środku przedpokoju, nie dając mi przejść.

- Co się stało? - dopytuje się Lizzie, stojąc za stołem kuchennym. Kiedy nie odpowiadam, zaczyna wypakowywać rzeczy. Patrzy, co przyniosłem, i się krzywi. - Po co to wzięłeś? - mówi, podnosząc słoik miodu. - Żadne z nas nie lubi miodu.

Całe napięcie i strach, które narastały we mnie od rana, nagle wyrrywają się na powierzchnię. To niczyja wina, po prostu nie mogę się opanować.

- Wiem, że nikt go nie lubi! - wrzeszczę. - Nikt nie lubi żadnej z tych cholernych rzeczy, ale tylko to mogłem znaleźć. Szkoda, że tam nie pojechałaś i nie zobaczyłaś, co się dzieje. To szaleństwo. Cały zwariowany świat się rozpada, więc nie naskakuj na mnie i nie mów mi, że tu nikt, do cholery, nie lubi miodu!

Liz patrzy, jakbym ją uderzył w twarz. Z zaskoczenia aż pobladła. Dzieci są teraz w kuchni i patrzą na nas szeroko otwartymi, przerażonymi oczami.

- Ja tylko... - zaczyna mówić Liz.

- Robię dla nas, co tylko mogę! - krzyczę. - Na ulicach ludzie walczą ze sobą. Właśnie widziałem, jak dzieciak zatłukł na śmierć kobietę, i nikt, łącznie ze mną, nawet nie kiwnął palcem, żeby jej pomóc. Niech to szlag, to czyste szaleństwo i już nie wiem, co robić. Ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba, to marudzenie i czepianie się tego, co zrobiłem, kiedy czuję, że nadstawiam dla was wszystkich karku. Nie proszę o wiele, tylko o trochę przestrzeni, odrobinę wdzięczności, zrozumienia i...

Przestaję krzyczeć. Liz drży. Stoi przyciśnięta do kuchenki i trzęsie się ze strachu. Co się z nią, do cholery, dzieje? Obchodzę stół, zbliżam się do niej, a ona się wzdryga. Przesuwa się po trochu do drzwi. Wtedy dociera do mnie, co się dzieje. Jezu, ona myśli, że się zmieniłem. Myśli, że jestem jednym z nich. Myśli, że jestem Wściekłym.

- Nie, proszę... - zaczynam, znowu próbując podejść. - Proszę, Lizzie...

Zaczyna szlochać. Nogi prawie się pod nią uginają. Tylko mi nie mdlej, Liz, proszę...

- Odsuń się - syczy ledwo słyszalnym głosem. - Nie podchodź bliżej.

Próbuję się odezwać, ale nie mogę niczego z siebie wykrztusić. Nie rób mi tego. Przysuwam się.

- Nie podchodź! - znowu krzyczy i odsuwa się przylgnięta plecami do ściany.

Dociera do drzwi i zaczyna wypychać dzieci z kuchni. Nie odrywa ode mnie oczu.

- Nie, Liz - mówię, desperacko pragnąc, żeby zrozumiała. - Proszę. Nie zmieniłem się. Proszę, uwierz mi. Przepraszam, że krzychałem. Nie chciałem...

Przestaje się odsuwać, ale nadal nie ma pewności. Widzę to w jej oczach.

- Jeśli jesteś jednym z nich, to...

- Nie jestem, Lizzie. Nie jestem. Gdybym był jednym z nich, już bym się na ciebie rzucił, prawda?! - wrzeszczę.

Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć. Zaczynam panikować, ale nie chcę, żeby to zauważyła.

- Proszę, nie jestem chory. Nie jestem jak oni. Jestem spokojny. Byłem zły, ale teraz jestem spokojny. Proszę...

Widzę, że mocno się zastanawia nad tym, co właśnie powiedziałem. Dzieci zerkają przez drzwi, próbując zobaczyć, co się dzieje. W głębi duszy wrzeszczę, ale zmuszam się, by zachować spokój i mówić cicho. W mojej głowie kłębią się mroczne, przerażające myśli. Tylko się wściekłem, to wszystko. Nie jestem Wściekłym, prawda?

- W porządku - szepcze wreszcie Liz. - Ale jeśli raz jeszcze tak na mnie rykniesz...

- Nie ryknę - przerywam jej. - Zapomniałem się. Nie pomyślałem.

Nadal nie wiem, czy mi wierzy. Zerka na mnie kątem oka, jakby czekała, czy zaatakuję. Nawet jej palcem nie tknąłem. Ogarnia mnie ulga, kiedy wraca do pudła z jedzeniem i znowu je rozpakowuje. Co kilka sekund zerka na mnie. Za każdym razem, gdy się poruszę, widzę, że wstrzymuje oddech i zamiera.

- Więc... co się tam stało? - pyta, w końcu uspokoiwszy się na tyle, żeby móc ze mną rozmawiać.

Nie wiem, od czego zacząć. Próbuje nakarmić dzieci, ja opowiadam Liz o kolejkach w supermarkecie i o tym, co zobaczyłem w sklepie O'Shea. Mówię jej o grabieży i dziewczynce, która zaatakowała kobietę i... Po raz kolejny dociera do mnie, że sprawy naprawdę przybrały parszywy obrót.

Ellis kręci mi się pod nogami. Nie zdaje sobie sprawy, że coś się dzieje. To dobrze, myślę sobie. Cieszę się. Teraz, gdy już coś zjadła, męczy mnie, żebym dał jej pooglądać DVD. Idę za nią do

dużego pokoju. Przynosi z regału film, który wybrała. Włączam telewizję i zatrzymuję się, nim włączę odtwarzacz DVD.

- Wyłączyłam jakąś godzinę temu - mówi Liz. - Nie mogłam już tego oglądać. Cały czas pokazują w kółko to samo, raz za razem.

Siedzę po turecku przed telewizorem i gapię się na migające przede mną obrazy. Chryste, naprawdę jest źle. Widziałem mnóstwo dziwnych rzeczy w ostatnich dniach, ale to, co teraz oglądam, śmiertelnie mnie przeraża. Teraz w pełni zdaję sobie sprawę, jak potworna i poważna stała się sytuacja. W dodatku tak szybko. Wiadomości się skończyły. Nie ma już dziennikarzy i relacji. Został tylko

powtarzany w kółko film informacyjny. Żołądek znowu kurczy mi się z nerwów.

- Zostańcie w domach - oznajmia niski, dodający otuchy męski głos na tle filmu z uproszczonymi obrazkami, który znowu leci od początku. - Zostańcie z rodziną. Trzymajcie się z dala od ludzi, których nie znacie...

Zerkam na Lizzie, a ona odpowiada spojrzeniem i wzrusza ramionami.

- To po prostu zdroworoządkowe rady. Nic, czego już byśmy nie słyszeli.

- Zachowajcie spokój i nie wpadajcie w panikę - ciągnie głos.

- Co? - protestuję. - Zachowajcie spokój i nie wpadajcie w panikę?! Niech to szlag. Nie widzą, co tam się dzieje?

- Potem jest jeszcze lepiej - rzuca sarkastycznie Liz. - Posłuchaj następnego kawałka.

- Władze pracują nad przywróceniem porządku. Wasza pomoc i współpraca jest niezbędna, aby odbyło się to szybko i bez najmniejszych zakłóceń. Niezbędne są do tego chwilowe środki kontroli. Po pierwsze, jeśli musicie opuścić dom, zawsze miejcie ze sobą coś, co pozwala ustalić waszą tożsamość. Po drugie, w trybie natychmiastowym wprowadzamy godzinę policyjną. Każdy, kto zostanie znaleziony na ulicy po zmierzchu, zostanie stosownie potraktowany...

„Stosownie potraktowany”? Chryste, co to właściwie ma znaczyć? Zaczną zamykać ludzi za wychodzenie wieczorem?

- Upewnijcie się, że wasz dom jest zabezpieczony. Przygotujecie bezpieczne pomieszczenie dla siebie i rodziny. Zadbajcie, aby drzwi do tego pomieszczenia oraz wszelkie inne możliwe wejścia zostały zabezpieczone i zamykały się od środka.

- Co to jest, do cholery? - mruczę pod nosem.

- Możemy już włączyć mój film? Proszę, tatusiu... - marudzi zniecierpliwiona Ellis.

- Jeśli którakolwiek z przebywających z wami osób zacznie się zachowywać agresywnie albo nietypowo, musicie natychmiast odizolować się od niej. Zamknijcie się z resztą osób w przygotowanym

bezpiecznym pomieszczeniu. Usuńcie agresywną osobę z domu lub mieszkania, o ile możecie to zrobić, nie narażając siebie. Pamiętajcie, że ta osoba może być członkiem rodziny, osobą kochaną albo bliskim przyjacielem. Nie będzie w stanie kontrolować swoich czynów ani emocji. Będzie niebezpieczna i nie okaże ani skruchy, ani zrozumienia. To kluczowe, abyście chronili siebie i tych, którzy z wami pozostają.

- Widzisz, dlaczego to wyłączyłam? - pyta Lizzie. - Takie rzeczy tylko pogarszają sytuację.

- Nie mogę w to uwierzyć... - jąkam. - Po prostu nie mogę uwierzyć...

- Myślisz, że wiedzą, co się dzieje?

- Jestem pewny. Musieli to rozgryźć, skoro puszczają coś takiego. Ktoś musi wiedzieć, co się dzieje, a to sprawia, że wszystko prezentuje się jeszcze gorzej...

- Tak? Czemu?

Wzruszam ramionami.

- Bo sytuacja musi być nieźle popieprzona, skoro nadal nic nam nie mówią. Moim zdaniem chcą, żeby ludzie pozamykali się w domach, i w ten sposób próbują nad wszystkim zapanować. Ale sądząc po tym, co widziałem rano, nad niczym nie panują.

Lizzie marszczy brwi, bo klnę przy Ellis. Odwracam się do telewizora.

- .. pierwszym objawem będzie nagły napad wściekłości i gniewu - mówi beznamiętny głos.  
- Zwykle wściekłość będzie skierowana na konkretną osobę. Pamiętajcie, że ci, których to dotknie, mogą znowu wydawać się spokojni, gdy pierwszy wybuch gniewu i przemocy minie. Nadal trzymajcie się z dala od nich. Niezależnie od tego, kim są ani co mówią, ci ludzie nie panują nad własnymi czynami. Nadal będą stanowić zagrożenie dla was i waszej rodziny...

Lizzie mija mnie i bierze od Ellis DVD. Wkłada płytę do odtwarzacza i puszcza film.

- Dość tego - warczy.

- Oglądałem...

- Pojedziesz po tatę?

Serce mi się ściska. Nie chcę opuszczać mieszkania, ale wiem, że nie mam wyjścia.

- Kiedy mam... - zaczynam, ale Liz mi przerywa.

- Teraz - odpowiada, obgryzając paznokcie. - Jeśli ty nie pojedziesz, ja to zrobię.

Myśl, że Lizzie mogłaby znaleźć się na zewnątrz sama, jest jeszcze gorsza niż myśl o własnym wyjściu. Muszę jechać.

22

W korytarzu panuje cisza. Zamykam za sobą drzwi do mieszkania, przekręcam klucz w zamku i rozglądam się ostrożnie. Powiedziałem Liz, żeby przygotowała bezpieczne pomieszczenie, jak powiedzieli w telewizji. Potem ma się zamknąć w nim z dziećmi. Duży pokój to oczywisty wybór. Zaciągnęła zasłony, ściszyła telewizor. Z zewnątrz wygląda, jakby nikogo tam nie było.

Otwieram drzwi frontowe i krzywię się, słysząc głośnie skrzypienie rozlegające się echem w pustym budynku.

- Jest tu kto? - syczy głos z mroku na górze.

Zamieram i staram się nie panikować. Co robić? Chcę iść dalej i udawać, że niczego nie słyszałem, ale nie potrafię. W tym budynku jest moja rodzina i nie mogę zostawić ich, wiedząc, że ktoś tu jest razem z nimi. To może być ktokolwiek. Może czekać, aż wyjdę, żeby dostać się do Lizzie i dzieci. Ale w takim razie dlaczego wołał? Puszczam drzwi, które zamykając się, znowu skrzypią. Powoli robię kilka kroków z powrotem w stronę ciemności i przez sekundę zastanawiam się, czy nie wrócić do mieszkania. Wiem, że w ten sposób niczego nie osiągnę. Kiedyś w końcu muszę wyjść i przywieźć Harry'ego.

- Kto tam? - rzucam przez zęby, przeklinając w myślach własną głupotę.

Zachowuję się jak bohater kiepskiego horroru. Powinno się uciekać od potwora, a nie iść w jego stronę, mówię sobie.

- Tu, na górze - odpowiada głos.

Patrzę w górę na pierwsze półpiętro. Spomiędzy prętów balustrady schodów wygląda do mnie twarz. To jeden z mężczyzn z mieszkania na ostatnim piętrze. Nie wiem, czy to Gary, czy Chris. Zaczynam ostrożnie wchodzić po schodach. Jestem już prawie na półpiętrze, kiedy stopy zaczynają mi się kleić do stopni. Są zalane kałużami krzepnącej krwi. Lokator z góry leży przede mną na ziemi, trzymając się za pierś. Jęcząc, przewraca się na plecy. Dzinsy i T-shirt ma przesiąknięte krwią. Obraca głowę i udaje mu się skinąć do mnie. Odpręża się, pewnie wiedząc, że wreszcie ktoś znalazł się przy nim. Jest naprawdę w fatalnym stanie i nawet nie wiem, od czego zacząć. Mogę coś jeszcze dla niego zrobić czy już jest za późno?

- Dzięki, stary - mówi z trudem, unosząc się na łokciach.

- Leż tu od paru godzin. Słyszałem, jak ktoś wchodził jakiś czas temu i próbowałem... - Urywa, opada i znowu nieruchomieje, leżąc na plecach.

To był zbyt duży wysiłek. Oddech ma świszczący i jakby mu coś bulgotało w płucach. Pewnie ma krew w gardle. Co powinienem zrobić? Chryste, nie mam pojęcia, jak mu pomóc.

- Mam ci pomóc dostać się na górę? - pytam bezmyślnie.

Kręci głową i przetyka, żeby oczyścić gardło.

- Nie ma sensu - jęczy, próbując znowu się unieść. Kładę mu rękę na ramieniu, żeby się nie



ruszał. - Chce mi się pić - stęka.

- Możesz pójść do mnie na górę przynieść mi piwo?

Powieki mu trzepoczą przez chwilę i już myślę, że zaraz umrze. Prostuję się szybko i wbiegam po schodach do mieszkania, które dzieli z drugim facetem. Idę wzdłuż wyschniętej strużki krwi korytarzem do dużego pokoju mieszkania, które poza tym jest zaskakująco czyste i zadbane. Nie wiem, dlaczego spodziewałem się czegoś innego. Na środku pokoju leży przewrócony stół, a obok stłuczona lampa. Obok komputera stoją kamera na statywie i telewizor z panoramicznym ekranem. Wygląda na to, że lubili się filmować. Stoi tu droga skórzana sofa i... i łapię się na tym, że sobie stoję i oglądam mieszkanie, podczas gdy jego lokator leży na schodach i umiera.

Z trudem ruszam z miejsca i idę do kuchni; zabieram butelkę piwa z dobrze zaopatrzonej lodówki. Otwieram piwo i zbiegam do mężczyzny na półpiętrze.

- Proszę - mówię, przysuwając mu butelkę do ust.

Nie jestem pewien, czy uda mu się przełknąć. Chyba większość piwa ścieka mu po brodzie. Kiedy odsuwam butelkę, widzę, że szyjka jest we krwi. Co mam teraz zrobić? Próbuję go przysunąć, ale to kiepski pomysł. Jęczy z bólu za każdym razem, gdy go dotykam. Biedny skurczysyn umiera na moich oczach, a ja nie mogę zrobić nic, żeby mu pomóc. Nie ma sensu pytać, kto mu to zrobił ani czy mam się z kimś skontaktować - nagłe wyjście jego kochanka-przyjaciela-wspólnika dzisiejszego ranka dość jasno wskazuje winnego. Czuję się strasznie, gdy stojąc obok niego, próbuję wymyślić powód, żeby odejść, podczas gdy on umiera u mych stóp. Ale co mogę zrobić?

- Pójdę po pomoc - oznajmiam cicho, kucając koło niego i starając się nie pobrudzić krwią. - Pójdę i znajdę kogoś, kto będzie w stanie ci pomóc.

Oblizuje zakrwawione usta, przełyka i kręci głową.

- Już za późno - sapie ze świstem.

Każdy najmniejszy ruch kosztuje go potwornie dużo i powoduje ogromny ból. Wołałbym, żeby po prostu się zamknął i nie ruszał, ale skąd. Ma mi coś jeszcze do powiedzenia. Wyczerpany obraca znowu głowę w moją stronę i patrzy mi prosto w twarz.

- Po prostu nie ruszaj się... - zaczynam mówić.

- Próbowałem go dorwać - dyszy. - Sukinsyn miał przy sobie nóż, na wszelki wypadek. Pierwszy mnie dostał.

- Co?

- Próbowałem go dorwać, ale już był gotów...

- Co chcesz powiedzieć? Zaatakował cię? Był Wściekłym?

Kręci głową.

- To wszystko staje się takie jasne, kiedy ci się przytrafi. Musiałem go zabić. Albo on, albo ja. Musiałem go zabić, zanim...

Wstaję i zaczynam odchodzić. Jezu Chryste, to Wściekły? To on zaczął bójkę, którą słyszeliśmy w nocy. To on stracił panowanie. Chryste, stoję tu i tracę czas na cholernego Wściekłego.

Znowu oblizuje zakrwawione usta i przełyka.

- To oni, stary - mamrocze. - Nie my. To oni są Wściekłymi. Przygotuj się...

Teraz nie wiem, o czym mówi, i nie chcę tego więcej słuchać. Muszę uciec od tego chorego śmiecia. Odwracam się i zbiegam po schodach, uspokojony świadomością, że w obecnym stanie w żaden sposób nie zagrozi mojej rodzinie. Zastanawiam się, czy go nie dobić, ale wtedy byłbym równie zły, jak oni, a poza tym wątpię, czy-bym potrafił. Zerkam za siebie i po raz ostatni patrzę na szumowinę na półpiętrze. Niewiele mu już życia zostało. Nim wrócę, będzie martwy. I bardzo dobrze.

Wbiegam do samochodu i włączam silnik.

Zwykle dojeżdżam z mieszkania do domu Harry'ego w jakieś piętnaście minut, ale dzisiaj potrzebovałem na to prawie godziny. Ruch nadal jest niewielki, ale niektóre drogi są

nieprzejezdne. Jedne zapchane powoli przesuwającymi się autami, inne po prostu zablokowane. Harry jest niezłe roztrzęsiony, jak my wszyscy, ale nie chce się do tego przyznać. Jest zgaszony i o wiele cichszy niż zwykle. Liz dzwoniła do niego i powiedziała mu, że jadę po niego, ale niczego nie przygotował. Jestem teraz u niego na piętrze, pomagając spakować rzeczy do przenocowania. Wydaje się zagubiony i bezradny jak dziecko. Cały czas zadaje mi pytania, wiedząc, że nie znam odpowiedzi. Jak długo zostanę u was? Co powinienem wziąć? Będę u was bezpieczny?

Dom Harry'ego jest cichy i mroczny. Rzadko kiedy wchodziłem na piętro. To niewielki dom, ale i tak za duży dla jednej osoby. Pokoje, w których spały kiedyś Liz i jej siostra, stoją nietknięte, odkąd dziewczyny się wyprowadziły, a połowa sypialni Harry'ego to kapliczka poświęcona pamięci Sheili, jego zmarłej żony. Nie żyje od trzech lat, ale w sypialni nadal więcej jest jej rzeczy niż Harry'ego. Cały dom pełen szpargałów. Ten stary przyk niczego nie wyrzuca. Po prostu nie potrafi sobie odpuścić.

Chciałem wpaść i wypaść w ciągu kilku minut, ale Harry się ociąga. Muszę wracać do Lizzie i dzieciaków, a stoję tu, patrząc, jak sprawdza, czy wszystko powyłączała, a potem sprawdza to, co już sprawdziła. Mam ochotę mu powiedzieć, że takie rzeczy nie mają już szczególnego znaczenia, ale to tylko pogorszy sytuację, więc ustępuję i tylko go popędzam. Mam mętlik w głowie. Naprawdę potrzebuję pogadać o tym, co się dzieje, ale Harry nie jest osobą, z którą chciałbym rozmawiać. Nie wiem, z kim bym chciał. Muszę pogadać o na wpół żywym facecie na półpiętrze i o tym, co widziałem w sklepie dziś rano. Nie mogę usunąć z myśli obrazu dziecka bijącego matkę. Czy któreś z naszych dzieci mogłoby zaatakować Lizzie? A może to dzieje się właśnie w tej chwili, podczas gdy ja stoję tu i tracę czas z tym głupim starcem? Zagryzam usta i staram się zachować spokój. Nie mogę okazywać emocji. Nie chcę, żeby Harry pomyślał, że jestem Wściekłym.

- Chodźmy - mówię, przerywając jego spacer po parterze i sprawdzanie po raz trzeci, czy okna i drzwi są pozamykane. - Musimy jechać.

Spodziewam się drwiny w odpowiedzi, bo to zwykle dostaję od Harry'ego. Ten hałaśliwy i przekonany o własnej racji stary przyk nie ma o mnie dobrego zdania. Zakłada, że na każdy temat wie więcej ode mnie, i nigdy nie reaguje uprzejmie, gdy ktoś go ponagla czy w ogóle mówi, co ma zrobić. Jestem zaskoczony, kiedy kiwa głową, bierze torbę i powoli idzie w stronę drzwi. Biorę od niego torbę i wkładam ją do samochodu, zostawiając mu zamknięcie domu.

- Jest spokojnie, prawda? - zagaja, kiedy jedziemy do naszego mieszkania.

Ale chyba żałuje swoich słów, kiedy zjeżdżamy na główną drogę zapchaną samochodami. Dołączamy do ogonka. Jedziemy wolno, ale nieprzerwanie, a ja nie mam lepszego pomysłu na powrót do domu. Postanawiam cierpliwie siedzieć.

- W porządku, Harry?

- Pewnie - mamrocze. - Trochę jestem zmęczony, ale nic poza tym.

- Kłopoty ze snem?

Kiwa głową.

- Zeszłej nocy coś się stało na tyłach domu - wyjaśnia cicho. - Jakaś bójka, wypadek albo coś takiego... krzyki, straszny hałas...

Ruch zwolnił tak, że praktycznie stoimy. Ledwo ruszymy, już się zatrzymujemy.

- Nie wiem, co tu się dzieje - mruczę pod nosem.

Droga, którą pełzniemy, biegnie wzdłuż rzędu domów, po czym wspina się w górę i skręca w lewo na most przewieszony nad autostradą poniżej. Kiedy jedziemy zakrętem drogi, przyczyna korka staje się jasna. Równy strumień samochodów zjeżdża z autostrady i dołącza się do miejskiego ruchu. Znowu stajemy na środku mostu.

- Skąd ten zator? - pyta Harry, rozglądając się z ciekawością.

- Nie mam pojęcia. Pewnie jakiś wypadek albo coś takiego...

- To nie wypadek - mówi, wyglądając przez swoje okno i stukając palcem w szybę.

Unoszę się na siedzeniu i pochylam nad Harrym, żeby zobaczyć to, na co patrzy. Przez autostradę ciągnie się coś jak blokada. Ciemnozielone wojskowe wozy pancerne stoją po obu stronach drogi.

Uzbrojeni strażnicy obsługują barierkę w czerwono-białe pasy, podczas gdy inni żołnierze kierują nadjeżdżającymi samochodami. Co, do diabła, wyrabiają? O ile się nie mylę, samochody, które próbują opuścić miasto, są zatrzymywane. Nikogo nawet nie przeszukują. Auta albo są odsyłane na zjazd prosto z autostrady, albo przejeżdżają przez dziurę wyciętą w barierze, gdzie są zmuszane do zawrócenia tą samą drogą, którą przyjechały. Wojsko cały ruch kieruje z powrotem do miasta.

- Nie chcą, żebyśmy odjechali gdzieś dalej, co? - burczy Harry, patrząc na samochody poniżej nas, kiedy znowu ruszamy przed siebie.

- Słyszałem, jak mówili, że panują nad sytuacją.

- Co?

- Oglądałem coś w telewizji tuż przed wyjściem po ciebie. Powiedzieli, że opanowali sytuację.

- To pewnie część planu, prawda? Muszą wiedzieć, gdzie wszyscy są...

- Czyżby?

- Jak władze mają nas chronić, jeśli nie wiedzą, gdzie jesteśmy?

Nie zawracam sobie głowy odpowiedzią. Fakt, że właśnie widziałem tyle wojska na ulicach, nie pociesza mnie ani nie napełnia wiarą. Sprawia, że czuję się gorzej - o ile to jeszcze możliwe.

Kiedy odjeżdżamy dalej od zjazdu z autostrady, ruch zaczyna znowu rzędnać. Daję gaz do dechy i jedziemy do domu.

Z każdą sekundą robię się coraz bardziej nerwowy i paranoiczny. Muszę wrócić do domu.

Ulice, którymi pędzimy, są nieprzyjemnie ciche i wyludnione. Robi to chore wrażenie. Przemoc na niespotykaną skalę rozrywa kraj na strzępy, więc czemu tu jest tak cicho? Normalnie na takie zagrożenie, jakim są Wściekli, ludzie reagowaliby, stając do walki, ale dziś nie potrafimy. Wściekli są chorzy. Kieruje nimi pragnienie zabijania i niszczenia. I z tego, co widziałem, nie przestaną, dopóki nie spełnią swojego pragnienia. Stanąc do walki z nimi znaczyłoby okazać te same emocje, co oni. To prowadziłoby do samozniszczenia. Odpowiedzieć walką to zaryzykować, że ciebie też uznają za Wściekłego. Możemy tylko trzymać się na uboczu i z nikim się nie komunikować. Ludzie odsuwają się od siebie ze strachu. Boją się innych, boją się o siebie.

W końcu zatrzymujemy się przed blokiem. Prowadzę Harry'ego do środka. Już mam wrócić, żeby zabrać torbę z samochodu, kiedy dostrzegam pojedynczą postać idącą ulicą. Odruchowo czekam w cieniu, póki się nie upewnię, że zniknęła, i dopiero wtedy wychodzę z ukrycia. Chryste, tak się boję, że nie chcę, aby zobaczył mnie ktoś, kogo nie znam.

24

Tato... - mówi Ed.

- Co? - warczę, zdenerwowany, że mi przeszkadza. Czytałem stos czasopism muzycznych, które znalazłem pod

łóżkiem. Myślałem, że je wyrzuciłem lata temu. Pomogły mi przetrwać pełną niepokoju nudę popołudnia ciągnącego się w nieskończoność.

- Co on robi?

- Kto? - pytam, nie podnosząc głowy.

- Człowiek z domu na końcu ulicy. Co on robi?

- Jaki człowiek?

- Jezu Chryste! - krzyczy Lizzie, wchodząc do pokoju. Panika w jej głosie sprawia, że upuszczam czasopisma i podnoszę wzrok. Niech to jasna cholera. Mężczyzna, który mieszka w jednym z domów przylegających do naszego bloku, wywleka swoją żonę na środek ulicy. To ogromna kobieta o szerokim tyłku i tłustych rękach, którymi młóci jak oszalała. Mężczyzna - chyba nazywa się Woods - ciągnie ją za stopy. Jej wrzaski słychać aż tutaj. Przeciąga ją przez krawężnik, a jej głowa uderza o nawierzchnię ulicy. Niesie ze sobą coś jeszcze. Nie widzę, co to...

- Co on robi? - znowu włącza się Ed.

- Nie patrz! - wrzeszczy na niego Liz.

Pędzi przez pokój i próbuje obrócić Eda, pchnąć go ku drzwiom. Josh jej przeszkadza. Staje w progu, pogryzając ciastko, i Lizzie nie może przejść.

- Nie patrzeć na co? - pyta Ellis.

Nie widziałem, kiedy weszła. Stoi za mną, wspina się na palce i wygląda za okno.

- Rób, co mama każe - mówię, próbując ją odciągnąć. Wczepia się w parapet i nie chce puścić. Dzieci uwięzione

w domu wariują. Desperacko szukają czegoś, co je zajmie.

Na zewnątrz Woods się zatrzymał. Jego żona nadal leży na ziemi, a on stoi na jej szyi. Niech to diabli, postawił but i całym ciężarem stanął na jej gardle. Kobieta twarz ma czerwoną jak krew i jeszcze bardziej się szarpie, ale jakoś udało mu się przytrzymać ją w miejscu, chociaż jest od niej o połowę mniejszy.

- Ellis, puść! - krzyczę i w końcu udaje mi się oderwać ją od okna.

Ed nadal patrzy i ja też nie potrafię oderwać wzroku. Nie potrafię się odwrócić. To, co Woods niesie, to butelka. Odkręca ją teraz i wylewa zawartość na żonę. Do cholery, co on robi?

- Co się dzieje? - pyta Harry.

Teraz wszyscy jesteśmy w dużym pokoju. Harry stoi między mną a drzwiami i muszę go obejść, żeby wyprowadzić Ellis. Próbuję z powrotem zaciągnąć zasłony, ale nie mogę sięgnąć. Harry mi przeszkadza.

- Wyprowadź stąd dzieci! - drze się Lizzie.

- Ruszysz się, Harry? - warczę. - Nie mogę przejść...

Kiedy znowu wyglądam przez okno, Woods podpala żonę. Bóg jeden wie, czym ją przed chwilą oblał, ale wybucha kulą ognia i on sam też się zajmuje. Ona nadal się rusza. Niech to cholera. Kładę dłoń na oczach Ellis, ale za wolno reaguję i dziewczynka już za dużo widziała. Woods, potykając się, odsuwa się od płonącego ciała. Po nogawkach jego spodni pełza ogień. Zataczając się, idzie Calder Grove, ale dochodzi tylko do połowy ulicy, bo pochłaniają go płomienie.

Wspólnie wyprowadzamy dzieci do przedpokoju. Wracam do dużego pokoju.

Na zewnątrz nikt nie reaguje. Nikt się nie poruszył. Nie ma żadnego ruchu na ulicy, nawet kiedy ogień z ciała żony Woodsa roz-pełza się i zajmuje stos plastikowych worków ze śmieciami, które leżały przy ulicy ponad tydzień. Gęsty, czarny dym bije z worków i ciała, wypełniając powietrze obrzydliwym smrodem.

Lizzie, szlochając, zaciąga zasłony.

Mężczyzna na półpiętrze nie żyje. Wyślizgnąłem się z mieszkania kilka minut temu i poszedłem sprawdzić. Co za okropna śmierć - skończyć, wykrwawiając się powoli, samotnie na mrocznych, betonowych schodach. Mogłem coś dla niego zrobić? Być może.

A powinienem? Zdecydowanie nie. Był Wściekłym, a za to wszystko są odpowiedzialne właśnie takie szumowiny jak on. To przez nich świat się rozpada. To przez nich musiałem zamknąć siebie i rodzinę w mieszkaniu. To przez nich jestem śmiertelnie przerażony.

A najbardziej w ciele na schodach i w tym, co widzieliśmy na ulicy, przeraża mnie bliskość. Mogłem radzić sobie z kryzysem, kiedy to było coś w wiadomościach. Mogłem radzić sobie z nim na koncercie, kiedy zobaczyłem walkę w pubie i gdy widziałem dzieciaka pod samochodem. Dzisiaj coś się zmieniło - kłopoty są znacznie bliżej domu i dzieci. Aż do dzisiaj mieszkanie wydawało się bezpieczne.

25

Dzieci zdecydowanie już wyczuwają zmianę. Może dlatego, że ostatnimi dniami siedzą uwięzione w mieszkaniu bez kontaktu z kimkolwiek. Oczywiście to, co dziś zobaczyły, tylko pogorszyło sytuację. Cały czas zadają pytania, a ja nie wiem, jak im odpowiadać. Już nie wiem, co im mówić. Zdjąłem zasuwkę, którą w niedzielę rano założyłem na drzwiach w łazience, i przymocowałem ją od środka na drzwiach do dużego pokoju („azyłu", jak go teraz mamy nazywać), żeby wszyscy poczuli się nieco bezpieczniej. Nie wiem, czy to cokolwiek pomoże.

Siedzimy tam od wielu godzin i już nie mogę tego znieść. Wstaję i kręcę się bez celu po mieszkaniu. Nie mogę siedzieć i nic nie robić, ale z drugiej strony, nie ma nic, czym mógłbym się zająć. Nie chcę już rozmawiać. Jest mi zimno i jestem przerażony. Wchodzę do pokoiku synów i wspinam się na górne łóżko Eda. Jego mały telewizor stoi w nogach łóżka. Włączam go i przerzucam programy. Nic wartego oglądania. Kilka kanałów pokazuje stare programy, pozostałe po prostu puszczają film instruktażowy, który widzieliśmy wcześniej. Na wszystkich głównych państwowych programach leci dokładnie to samo. Film musiał być zrobiony i nadawany przez władze. A przynajmniej zakładałam, że to władze. Bo kto inny?

Nie znalazłem nic w telewizji ani żadnego innego zajęcia i teraz łapię się na tym, że wyglądam przez okno przy łóżku. Leżę na brzuchu na wąskim piętrowym łóżku i wyglądam przez firankę na zewnątrz. Stąd widzę Calder Grove na całej długości - od nadal dymiącego ciała Woodsa i jego żony, aż do skrzyżowania z Gregory Street. Poza unoszącym się dymem panuje całkowity bezruch. Świat jest cichy i opustoszały, jakbyśmy wszyscy siedzieli odizolowani od siebie, pod kwarantanną. Od czasu do czasu dostrzegam samotną postać w oddali. Ludzie trzymają się cienia i znikają równie szybko, jak się pojawiają. Rzadko kiedy cokolwiek się porusza. Czasem przejedzie samochód, ale poza tym właściwie nic się nie dzieje. Zupełnie jakbym patrzył na stop-klatkę ze światem.

Dlaczego nikt nie zrobił niczego z ciałami? Mamy zaciągnięte zasłony w dużym pokoju, żeby dzieci ich nie widziały. Jeśli ciało żony Woodsa rano nadal tam będzie, może pójdę i rzucę na nie koc albo coś takiego, żeby nie leżało na widoku. Nadal widzę poczerwiałe resztki jej rąk. Jej kościste dłonie są uniesione, a palce splecione, jakby się modliła albo błagała o pomoc.

Nie wiem, co zrobimy. Staram się nie panikować. Nie sądzę, żebyśmy mieli wybór - możemy tylko zamknąć się tu i siedzieć tak długo, jak będzie trzeba. Nie chcę...

- Na co patrzysz? - odzywa się nagle obok mnie głos i aż podskakuję.

Rozglądam się i widzę Ellis. Zakradła się do sypialni i zdołała wspiąć się po drabince przy łóżku Eda. Zerka sponad szczebelka oczami okrągłymi jak spodki.

- Na nic - odpowiadam, przewracając się na bok i robiąc jej miejsce.

Sapiąc i dysząc, wciąga się na łóżko.

- Co tu robisz?

Trudno powiedzieć. Sam nie bardzo wiem.

- Nic - odpowiadam.

- Patrzysz na martwą panią? - pyta niewinnie niezwykle rzeczowym tonem.

- Nie, po prostu leżałem tu sobie chwilę. Jestem zmęczony.

- Dlaczego leżysz na łóżku Eda? Dlaczego nie leżysz na swoim i mamy łóżku?

Jej pytaniom nigdy nie ma końca. A szkoda. Nie jestem w nastroju do odpowiadania.

- Chciałem pooglądać telewizję - mówię jej, nie do końca szczerze. - Nie mam swojego telewizora w sypialni.

- A dlaczego nie oglądasz telewizji z nami?

- Ellis - stękam, tłumiąc ziewnięcie i ją przytulając. - Przymknij się, dobrze?

- To ty się przymknij - mruczy pod nosem.

Ziewa i przysuwa się do mnie.

Przez chwilę w pokoju znowu panuje cisza i zaczynam się zastanawiać, czy Ellis zasnęła. Ale to nie tylko w pokoju jest cicho - w całym mieszkaniu zapadła złowróżbne milczenie. W oddali słyszę zduszone dźwięki telewizji w dużym pokoju. Wszyscy są tak cicho, bo z kimś dzieje się coś złego? A może coś się stało na zewnątrz? Albo może izolacja i niepewność zaczynają wpływać na resztę mojej rodziny? Czy jedno z nich zaczęło się zmieniać, a może wszyscy już się zmienili...? Łapię się na tym, że znowu się zastanawiam, co się dzieje na zewnątrz. Przygnębia mnie nieustający strumień mrocznych i nieprzyjemnych myśli. Przecież to nie może trwać w nieskończoność, prawda? Kiedyś musi nadejść chwila, kiedy coś się załame albo sytuacja sama się rozwiąże, prawda? Nie mam żadnych odpowiedzi i właściwie ogarnia mnie ulga, gdy Ellis postanawia mnie

zaatakować kolejną serią o wiele prostszych pytań.

- Pójdziemy jutro do szkoły? - naiwnie pyta.
- Nie sądzę.
- A pojutrze?
- Nie wiem.
- A popojutrze?
- Nie wiem. Słuchaj, Ellis, nie wiemy, kiedy znowu otworzą szkołę. Miejmy nadzieję, że niedługo.
- W przyszłym tygodniu jadę na wycieczkę.
- Wiem.
- Moja klasa jedzie na farmę.
- Wiem.
- Pojedziemy autokarem.
- Wiem.
- Będziemy mogli jechać?
- Mam nadzieję.
- Zabierzesz mnie na wycieczkę, jeśli szkoła będzie nadal zamknięta?
- Zabiorę.

Uszczęśliwiona odpowiedzią znowu milknie. Wyciągam się na plecach i zamykam oczy. Dzień był długi i emocjonalnie wyczerpujący, co zaczyna się na mnie mścić. Powieki mi ciążyą. Po krótkiej chwili czuję, jak ciało Ellis rozluźnia się w moich ramionach. Jej oddech się zmienia - staje się płytszy i równiejszy. Patrząc na nią. Drzemie całkowicie odprężona. W świecie, który nagle stał się całkowicie irracjonalny, nieprzewidywalny i pokręcony, ona pozostała idealna i niezmienną. Ta mała dziewczynka znaczy dla mnie wszystko.

Jestem zmęczony. Zamykam oczy.

Prawie zasypiam, gdy powraca obraz dziewczynki, którą widziałem w sklepie tego ranka. Przez potworną chwilę wyobrażam sobie, że to była Ellis, że zaatakowała leżącą na ziemi Lizzie. Jestem przerażony. Sparaliżowany świadomością, że cokolwiek dzieje się tam na zewnątrz, w końcu dotrze do mojego domu i zagrozi mojej rodzinie.

Próbuję sobie wyobrazić, jak ta prześliczna dziewczynka atakuje mnie.

Próbuję sobie wyobrazić, jak ja ją atakuję.

26

Jest tuż po północy. Dzieci śpią. Siedzimy w dużym pokoju w milczeniu i niemal całkowitej ciemności. Harry, Liz i ja nie mogliśmy już usiąść dalej od siebie. Harry jest pod oknem, zerkając przez na wpół za-

ciągnięte zasłony. Liz przy drzwiach gapi się w przestrzeń. Telewizor był wyłączony cały wieczór. Nikt nie mówił niczego nowego, więc nie ma sensu dłużej tego oglądać. Brak informacji pogarsza sytuację.

- Ktoś się czegoś napije? - proponuję.

Ta cisza jest nie do zniesienia.

- Ja dziękuję - mówi Harry.

Zerkam na Lizzie. Kręci głową i spuszcza wzrok. Nie odzywała się od wielu godzin. Zaraz po tym, jak dzieci poszły spać, rozmawialiśmy na ich temat, ale od tego czasu praktycznie bez przerwy milczała.

Pokój wypełnia stłumione dudnienie i nagły rozbłysk światła, a z pobliskiego budynku unosi się w niebo ogromny płomienny grzyb.

- Do cholery, co to było? - mamrocze Harry, wstając z krzesła i chwiejnie podchodząc do okna.

Odsuwa zasłony, a ja staję za nim i patrzę mu przez ramię. Nie widzę, co płonie. To chyba centrum

medyczne przy Colville Way. Jakieś pół kilometra od nas, ale za blisko, żeby czuć się bezpiecznie. Kiedy początkowy hałas i huk płomieni cichną, słyszę inny, równie przerażający dźwięk. Zdesperowana kobieta krzyczy o pomoc. Głos ma ochryple i pełen strachu. Błaga kogoś, krzyczy, żeby odsunął się, zostawił ją w spokoju... i nagle jej krzyk się urywa. Teraz słyszę ruszający samochód. Silnik wyje i gwałtownie przyspiesza. Samochód odjeżdża gwałtownie, ale jego podróż kończy się w ciągu kilku sekund. Hamulce piszcza, opony ślizgają się na drodze, po czym słyszę charakterystyczny huk i trzask zderzenia.

Cisza, która zapada zaraz po tym nagłym ataku, jest tysiąc razy gorsza niż płomienie i wrzaski. Stoję i czekam, aż rozlegną się syreny policji, straży pożarnej, kogokolwiek, kto może pomóc, ale nic się nie dzieje; trwa tylko zimna, martwa cisza. Wiem, że gdyby coś tu się stało, reakcja byłaby taka sama. Jesteśmy zdani na samych siebie.

Obracam się. Pokój wciąż jeszcze oświetlają przygasające płomienie pożaru, więc widzę, że Lizzie płacze. Siadam obok niej, zostawiając przy oknie Harry'ego, który patrzy na piekło w oddali. Obejmuję ją i przyciągam do siebie.

- No już - uspokajam ją bezsensownie.

Nie reaguje. Biorę ją za rękę, ale jej dłoń leży w mojej bezwładnie.

- Coś takiego nie miało prawa się wydarzyć - mruczy Harry, zwrócony plecami do nas. Stoi przy oknie jak generał oglądający pole bitwy. - Nigdy nie powinni byli dopuścić, żeby doszło do czegoś podobnego.

Obraca się i patrzy na nas oboje, jakby niemal żądał odpowiedzi. Liz tylko patrzy na niego. Twarz ma zalaną łzami.

- Daj sobie spokój, Harry - ostrzegam go. - To nie jest właściwy moment...

- A kiedy będzie? - warczy. - Kiedy chcesz zacząć o tym rozmawiać? Kiedy kłopoty zapukają do naszych drzwi?

- Na ulicy dziesięć metrów od nas leży ciało. Powiedziałbym, że kłopoty już dotarły pod nasze drzwi - odgryzam się ze złością.

- Więc co z tym zrobimy? - dopytuje się. W jego podniesionym głosie pobrzmiewa nieprzyjemna nutka paniki i desperacji. - Będziemy tu tylko siedzieć? Będziemy tylko...

- A co możemy zrobić? - przerywam, mocniej chwytając drobną dłoń Lizzie. - Jakie mamy możliwości? Mamy tu siedzieć i zadbać o bezpieczeństwo własne i dzieci czy wolisz, żebyśmy wyszli i przyłączyli się do walki?

- Właśnie od tego zaczęły się problemy - sprzeciwia się.

- Więc co właściwie powinniśmy zrobić?

Harry macha w moją stronę palcem i mówi coraz głośniejsze. Mówi od rzeczy, a ja zagryzam usta, żeby nie wpaść w panikę. Po raz kolejny zastanawiam się, czy zaraz się zmieni.

- Na to właśnie ludzie czekali - ciągnie nieprzyjemnie podniesionym głosem. - Na pretekst do bójk. Nie żeby wcześniej tak bardzo potrzebowali wymówki, ale teraz to już nie ma znaczenia. Ludzie mogą robić, co im się żywnie podoba, nie obawiając się żadnych konsekwencji. Wszystkie te szumowiny mają teraz szansę pokazać prawdziwą twarz i...

- Zamknij się! - krzyczy ze złością Lizzie. - Po prostu zamknij się, tato. Nie pomagasz.

- Ci ludzie potrzebują silnej ręki - gędzi dalej, na nic nie zważając. Wskazuje oskarżycielsko na telewizor. - A gdyby ci idioci z telewizji nie zrobili z tego sensacji, nie pokazywali coraz więcej przemocy, to może nie byłoby całego zamieszania. Gdyby tylko okazali trochę szacunku władzom, to wszyscy byśmy...

- Nie ma już władz! - krzyknąłem. - Wczoraj widziałem, jak policjant z zimną krwią strzelał do ludzi, a potem widziałem, jak inni policjanci rzucili się na niego i go zastrzelili. Władze siedzą w tym samym szambie co reszta.

- Ale gdyby ludzie po prostu przestali...

- Na miłość boską, zamknij się! - znowu wrzeszczy Liz.

Wrywa rękę z mojej dłoni i wybiega z pokoju. Patrząc, jak znika w korytarzu i niemal natychmiast

dopada mnie paranoja. Harry siedzi teraz cicho. Czy to Liz się zmieni? Czy pobiegła do pokoju dzieci? Zrobi im krzywdę? Wstaję i biegnę za nią. Czuję ulgę, gdy widzę, że zamknęła się w łazience. Jest mi głupio i gryzą mnie wyrzuty sumienia, bo myślałam, że mogłaby zrobić coś innego. Powoli wlokę się do dużego pokoju, gdzie Harry wreszcie się uspokoił

' - Nic jej nie jest? - pyta ponuro.

Kiwam głową, ale nie mogę się zmusić, żeby się do niego odezwać. Odwraca się ode mnie i znowu obserwuje dym unoszący się z budynku płonącego przy Colville Way.

## PIĄTEK

27

Nie jestem pewien, o której w końcu poszedłem spać. Leżę na łóżku od wielu godzin, próbując (bez skutku) ogarnąć wszystko, co się dzieje. W nocy zerkałem na budzik ze sto razy. Patrzę, jak mija godzina za godziną...

- Tato...

Jestem w półśnie, budzi mnie Ed. Natychmiast siadam. Coś nie tak? Co się stało? Przycieram oczy, żeby skupić wzrok na twarzy syna. W pokoju jest ciemno, ale widzę, że Edowi chyba nic nie jest. Zerkam na łóżko i orientuję się, że Lizzie śpi obok mnie. Wygląda na to, że jej też nic nie jest.



- Tato - powtarza Ed, poirytowany brakiem reakcji.
- Co się stało? - mamrocze. - Nikomu nic nie jest?

Kiwa głową. Najwyraźniej to, co chce mi powiedzieć, nie ma nic wspólnego z Ellis albo Joshem.

- Telewizor padł - marudzi.

Z ulgą opadam na poduszkę. Tylko tyle? Bogu dzięki.

- A co z nim? - pytam, udając zainteresowanie.
- Nie mogę złapać obrazu.
- A jest podłączony?
- Pewnie - burczy. - Masz mnie za głupka?

Jestem zbyt zmęczony, żeby objechać go za niegrzeczną odzywkę.

- Sprawdziłeś kable z tyłu?
- Nie dotykałem ich. Wczoraj działał, prawda?
- A telewizor w twoim pokoju?
- Na moim nie mogę złapać programu, który chcę oglądać. No, tato, wstawaj.
- Zaraz przyjdę i zerknę. - Ziewam. - Daj mi poleżeć jeszcze kilka minut...
- Ale mój program już się zaczął - protestuje. - Proszę, tato. Zamykam oczy na kilka sekund, ignorując fakt, że Ed nie da mi

spokoju, dopóki nie naprawię telewizora. Potem, klnąc pod nosem, wstaję i idę przez zimną sypialnię i przedpokój, w drzwiach kuchni mijając Harry'ego. Ed drepcze za mną. Przepycha się przede mną, kiedy dochodzimy do pokoju. Bierze pilota, włącza telewizor.

- Widzisz... - mówi, przełączając programy. Siedzę i gapię się w ekran.
- Co się stało? - pyta Harry, wlokąc się za nami do pokoju.
- Telewizor się popsuł - tłumaczy mu Ed.
- Nie popsuł się - odpowiadam, przełączając kanały.
- Sprawdzaliście antenę? - sugeruje Harry.
- Nic się nie popsulo - odpowiadam obydwóm. - Patrzcie. Harry podchodzi bliżej, żeby zobaczyć ekran. Teraz i on widzi,

na co się gapiłem. Na każdym programie jest to samo. Czarny ekran i napis bijący w oczy bielą:

ZACHOWAJCIE SPOKÓJ  
NIE WPADAJCIE W PANIKĘ  
POZOSTAŃCIE W BEZPIECZNYM MIEJSCU  
CZEKAJCIE NA DALSZE INSTRUKCJE  
SYTUACJA ZOSTAŁA OPANOWANA

28

Zrobiła się jedenasta. Lizzie, Harry i dzieciaki siedzą w dużym pokoju. Na zewnątrz coś się dzieje. Oni jeszcze tego nie zauważyli. Nie chcę, żeby dzieci i Liz denerwowali się, więc nikomu nic nie powiedziałem. To się zaczęło jakieś pół godziny temu. Usłyszałem ciężkie wozy w oddali i od czasu do czasu jakieś krzyki albo nawoływania. Słyszałem też strzały.

Wyglądam kolejno przez wszystkie okna, ale nie widzę, co się dzieje. Muszę wiedzieć. Upewniam się, że pozostali są czymś zajęci, i wymykam się z mieszkania. Zatrzymuję się w połowie korytarza. Wszystko wygląda dokładnie tak samo jak wczoraj, ale dziś korytarz robi inne wrażenie, bo wiem, co jest na górze. Staję przy schodach i przez sekundę zastanawiam się, czy nie zawrócić do mieszkania. Z mieszkań na innych piętrach miałbym lepszy widok, ale boję się iść na górę. Nie

sądę, żeby ktoś tam był - samochodu należącego do lokatorów z ostatniego piętra nadal nie ma, a ja niczego nie słyszałem. Ale co z ciałem? Wiem, że człowiek na półpiętrze jest martwy, ale czy się odważyć przejść obok niego? W myślach wciąż widzę koszmarny obraz z jego martwą ręką wyciągającą się, żeby mnie złapać. Odgłos strzału w oddali budzi mnie z zamyślenia. Biorę głęboki wdech i biegnę na górę; zatrzymuję się dopiero na ostatnim piętrze. Przed wejściem do środka zerkam przez uchylone drzwi, żeby mieć pewność, że nikogo tam nie ma.

Między moim mieszkaniem a tym lokalem są raptem dwa piętra różnicy, ale widok z okien jest zupełnie inny. Znajduję się teraz kilka metrów wyżej, więc stąd widzę sytuację w promieniu kilku kilometrów. Ogarniam prawie całe nasze osiedle, a w oddali dostrzegam centrum miasta. Tęgo ranka świat wygląda jak w wojennych korespondencjach w telewizji. Horyzont ciemny i szary. Brudny, gęsty dym unosi się z poczerniałych skorup wypalonych domów. Niewiele zostało z centrum medycznego przy Colville Way. Ulice opustoszały.

Jak mam chronić rodzinę? Wyczuwam niebezpieczeństwo narastające z każdą sekundą i niczemu nie mogę zaradzić. Myślę o dzieciach na dole i czuję się przerażony i bezradny. Polegają na mnie, a nie wiem, co mam zrobić, aby zapewnić im bezpieczeństwo.

W oddali widzę ruch. Z takiej odległości nie mogę rozpoznać, co to jest. Odwracam się po kamerę wideo, którą zauważyłem tu wczoraj. Bóg jeden wie, do czego używali jej mieszkający tu mężczyźni.

Idę z kamerą do okna i włączam. Bateria jest niemal rozładowana. Znajduję zoom i staram się zogniskować kamerę na maksymalną odległość. Po kilku sekundach udaje mi się wycelować tak, aby móc obserwować ruch, który wcześniej dostrzegłem.

Wydaje mi się, że patrzę w okolice Marsh Way, ale nie jestem pewny. Nieważne, jak nazywa się droga, na którą patrzę. Widzę jadące nią dwie wielkie zielonoszare ciężarówki. Po obu stronach idą ludzie w mundurach, żołnierze w pełnym rynsztunku. Niech to szlag. Mają helmy i osłony na twarzach. Ciężarówki zatrzymują się w połowie ulicy, a strażnicy po obu ich stronach rozdzielają się na mniejsze grupki. Część zostaje przy wozach, a reszta rozbiega się po obu stronach ulicy. Stąd dobrze widzę tylko jedną grupkę, ale chyba wszystkie robią to samo. Wygląda na to, że sprawdzają dom po domu.

Żołnierz na czele grupy wali pięścią w drzwi. Chryste, nie czekają na zaproszenie. Czterech żołnierzy z pięciu wpada do domu, gdy tylko drzwi się otworzą. Piąta postać w mundurze idzie za nimi, coś niosąc. Przy takiej odległości trudno utrzymać ostrość w kamerze, więc nie umiem powiedzieć, czy to notatnik, czy tablet. Wszyscy znikają w budynku. Czekam, aż wyjdą. I czekam. I czekam.

Dalej przy ulicy jest podobnie. Grupy żołnierzy oddzielają się od ciężarówki i kolejno sprawdzają wszystkie domy. Odrywam się na chwilę od kamery i dostrzegam ruch na ulicy w pobliżu. I tam dzieje się podobnie. Słońce, po raz pierwszy dzisiaj, przedziera się przez ciężkie chmury. Mrużę oczy i widzę co najmniej jeszcze dwie takie ekipy z ciężarówkami i żołnierzami idącymi ulicami, wszystkie w promieniu kilkuset metrów od siebie. Skupiam się z powrotem na domu przy Marsh Way, który obserwowałem z początku. Właśnie wychodzi z niego pięciu żołnierzy. Natychmiast przenoszę uwagę na drzwi sąsiedniego budynku, gdzie oszołomiona i zaszokowana para w średnim wieku bojaźliwie zamyka za sobą drzwi.

Nad miastem latają śmigłowce. Dziwne. Może koordynują ruchy żołnierzy?

Żołnierze, których obserwowałem, wpadli teraz do następnego domu. Pojawiają się z powrotem po niecałej minucie, tym razem ciągnąc kogoś ze sobą. Nie widzę, czy to mężczyzna, czy kobieta, ale kopie, szarpie się, za wszelką cenę starając się uwolnić. Teraz już widzę, że to kobieta. Na pół naga. Prowadzą ją do najbliższej ciężarówki. Nadal walczy. Kiedy wpychają ją na tył ciężarówki, jakoś udaje jej się wyrwać, zaczyna biec ulicą... I nie mogę uwierzyć własnym oczom. Jeden z żołnierzy unosi karabin. Zamiast za nią biec, po prostu strzela jej w plecy. Dwaj inni podnoszą ciało i bezceremonialnie wrzucają na pakę.

Pewnie wreszcie zgarniają Wściekłych. Bogu dzięki.

Najwyższy czas. Mam nadzieję, że sukinsyny dostaną to, na co zasłużyły.

29

Co za ulga, że ktoś wreszcie panuje nad sytuacją. Żołnierze na ulicach to pierwszy sygnał, że władze coś robią, żeby nam pomóc. Cieszę się, ale byłbym szczęśliwszy, gdyby już stąd zniknęli. Nikomu nic nie mówię. Nie chcę znowu denerwować dzieci i Lizzie.

W głowie mam mętlik. Coraz trudniej znoszę uwięzienie w „azylu” z resztą rodziny. Klaustrofobia mnie zabija. Siedzieliśmy w pokoju od wielu godzin i mało kto się odzywał, jeśli nie liczyć nieustannie klóących się dzieciaków. Wiem, że nie mogą się opanować, ale to naprawdę zaczyna mnie denerwować. Lizzie i Harry w ogóle nie zwracają na nie uwagi. Może tylko mnie one drażnią. A może to przez żołnierzy na zewnątrz. Robię się coraz bardziej niespokojny, czekając na nieunikniony łomot do drzwi.

Idę do toalety, to pretekst, żeby wstać i uciec z pokoju. Zamykam za sobą drzwi do dużego pokoju i z ulgą się o nie opieram. W pokoju panuje ciężka atmosfera, tu powietrze jest chłodniejsze i świeższe. Wlokę się przedpokojem i zatrzymuję przy drzwiach wyjściowych. Powinienem iść na górę i znowu sprawdzić ulice? A jeśli wojsko już tu jest? Jak to będzie wyglądało, jeśli otworzę drzwi i wypadnę prosto na patrol? Mogą pomyśleć, że jestem Wściekły. Zdam się wytłumaczyć, zanim wycelują we mnie karabin?

Korzystam z toalety i zachodzę do pokoju synów. Tak jak wczoraj wspinam się na łóżko Eda i chwilę wyglądam przez okno. Nic nie widzę. Jeśli nie zwracać uwagi na ciała, to okolica wygląda spokojnie i względnie normalnie. To zwodnicze. Pod tymi pozorami świat jest rozrywany na strzępy.

Głowa mnie boli. Jestem zmęczony nieustannym myśleniem o wszystkim, co się wydarzyło. Chcę się chociaż na moment wyłączyć.

Kładę się na plecach, zamykam oczy i czekam na pukanie do drzwi.

30

Słyszę ruch w mieszkaniu, poza dużym pokojem. Nie wiem, jak długo tu leżałem. Pewnie zasnąłem. Niedobrze mi. Muszę się napić. Siadam, zwieszam nogi przez krawędź łóżka i schodzę. Cały jestem obolały. Przeciagam się i drepczę do kuchni.

Ktoś tam jest. Podchodzę i przez uchylone drzwi widzę, że to Harry. Stoi przy zlewie plecami do mnie, robi sobie coś do picia, zmywa albo coś w tym rodzaju. Wchodzę do kuchni i się zatrzymuję. Nie wiem czemu. Coś jest nie tak. Nie chcę podchodzić. Wyczuwam w powietrzu coś, co budzi mój niepokój. Gorzej: nie czuję się tu bezpiecznie. Mam wrażenie, że mija wieczność, nim któryś z nas się poruszy. I wtedy Harry powoli się odwraca. Czy on...?

Jezu Chryste. Patrzą głęboko w oczy staruszka i paraliżuje mnie strach. Czy to ten sam człowiek? Piorunuje mnie zimnym, stalowym spojrzeniem. Jego oczy wypełniają nienawiść i odraza. Czuję wstręt, jaki żywi do mnie, zupełnie jakby bił od niego smród, i wiem, że z jakiegoś niewyjaśnionego, ale niepodważalnego powodu pragnie mojej śmierci. Chce mnie zniszczyć. Nogi się pode mną uginają i dociera do mnie, że nienawiść w końcu pojawiła się w moim domu.

Harry rusza nagle, a ja reaguję gwałtownie. Robi tylko jeden krok, ale to wystarcza i wiem, że jeśli nie będę działał natychmiast,

stracę życie. Przemodne, instynktowne pragnienie przetrwania bierze górę. Odsuwam się od niego. Zerkam w prawo. Na blacie kuchennym stoi drewniany blok z nożami. Chwytam nóż do chleba o czarnej ręczce, wrywam go ze stojaka, jakbym wyciągał miecz z pochwy. Szarżuję na Harry'ego i głęboko zanurzam ostrze w jego ciele, tuż nad talią. Drugą ręką przyciskam go do siebie, wbijając nóż coraz głębiej i głębiej. Czuję, jak ząbkowana stal rozcina skórę i mięśnie, żyły i tętnice, a ja wpycham nóż jeszcze mocniej, aż cały znika w jego ciele. Nagły strumień gorącej krwi tryska z mojej ręki. Puszczam nóż i odpycham Harry'ego. Potyka się, lecąc do tyłu. Nogi uginają się pod nim, pada na podłogę, uderzając potylicą o drzwi piekarnika. Staję nad nim. Jeszcze oddycha, ale

długo już nie wytrzyma. Muszę mieć pewność, że nie żyje.

W progu rozlega się krzyk - przeszywający, rozdzierający bębni wrzask. Odwracam się i widzę Lizzie z dziećmi. Patrzy na mnie zimno, tak jak jej ojciec, i znowu wyczuwam nienawiść. Wyciągam nóż z umierającego i rzucam się na nią, wiedząc, że ona też musi umrzeć. Cofa się, ciągnąc dzieci ze sobą do pokoju. Edward i Josh patrzą na mnie wściekli, z taką samą nienawiścią, jak ich matka.

- Tato! - woła Ellis.

Patrzę mojej córeczce głęboko w oczy i natychmiast wiem, że ona nie jest taka jak reszta. Ona jest taka jak ja. Nie zmieniła się. Obiegam stół i sięgam po nią, ale się spóźniam. Matka już złapała ją za kark i odciąga ode mnie. Jej drobniutka, zalana łzami twarz jest pełna strachu i szoku, a oczy niemal wychodzą jej z orbit, gdy Liz szarpie ją za ubranie, zabierając ją ode mnie. Ed piorunuje mnie wzrokiem. Nawet Josh mną gardzi. Moi synowie gardzą mną i wiem, że ich też muszę zniszczyć.

Znowu rzucam się na Lizzie, wiedząc, że muszę ją zabić, zanim skrzywdzi Ellis. Krzyczy na dzieci, żeby się ruszyły, i wszyscy biegną do dużego pokoju. Edward szarpie wózek Josha, tak że staje w poprzek przedpokoju, a ja potykam się o niego, lądując na czworakach. Nim zdążę wstać i dopaść dużego pokoju, zatrząskują drzwi. Słyszę chrzęst zamykanej zasuwki.

Do cholery, co mam teraz zrobić? Jak to się stało? Jak to możliwe, żeby moja rodzina tak szybko zwróciła się przeciwko mnie? Muszę o nich zapomnieć i dostać się do Ellis. Nie zmieniła się i wiem, że mnie potrzebuje. Rozpędzam się i rzucam na drzwi. Walę z całej siły ramieniem, ale nawet nie drgną. Odbiegam i znowu szarżuję. I znowu, i jeszcze raz, kiedy za piątym razem uderzam, czuję, że zasuwka zaczyna puszczać. Próbuję wyważyć drzwi, ale przesuwają się tylko kilka centymetrów. Ustawili barykadę z mebli, żeby nie wszedł do środka. Dlaczego mi to robią? Walę do drzwi.

- Ellis! - krzyczę. - Ellis!

Słyszę ją. Jest tam uwięziona. Słyszę, jak do mnie woła. Jest taka jak ja, nie jak oni, musi być ze mną. Tam nie jest bezpieczna. Jestem zrozpaczony. Nie mogę jej zostawić. Rzucam się znowu na drzwi i siła uderzenia wstrząsa mną aż do szpiku kości.

- Ellis! - wrzeszczę.

Musi być jakaś inna droga, żeby dostać się do niej. Okno. Wejdę przez okno w dużym pokoju. Odwracam się i biegnę przedpokojem, mijam ciało w kuchni i wybiegam na korytarz. Otwieram frontowe drzwi i wybiegam do zimnego, mokrego od deszczu świata na zewnątrz. Teraz, kiedy wyszedłem, zdaję sobie sprawę z hałasu, jaki panuje wokół. Słyszę helikoptery, wojskowe ciężarówki, strzały i odgłosy ludzi walczących, by przeżyć. Jakbym wylądował w środku strefy wojennej. Ale to nie są odgłosy jednej wojny, ale setek pojedynczych bitew. Setek, a prawdopodobnie tysiąca bitew prowadzonych przez takich ludzi jak ja, od których odwrócono się i których zdradzono.

Stoję teraz przy oknie dużego pokoju. Zaglądam do środka. Lizzie wciąż barykaduje meblami drzwi. Edward natychmiast mnie zauważa i Lizzie popycha dzieci do kąta w pokoju. Ellis jest uwięziona między Edwardem a Joshem, ale ją widzę. Cały czas widzę jej twarz. Z płaczem powtarza moje imię.

Rozglądam się za czymś, czym mógłbym wybić szybę. Na ścieżce prowadzącej do drzwi leży połamana płyta chodnikowa. Podnoszę ją i rzucam nią w okno. Szyba roztrzaskuje się z przykrym brzękiem. Znowu słyszę ich głosy. Słyszę, jak Lizzie krzyczy na dzieci, żeby trzymały się z tyłu i z dala ode mnie. Podciągam się i wspinam przez framugę okienną, czując, jak odłamki szkła wbijają mi się w ciało i rozcinają skórę. Ból nie ma znaczenia.

Wciążam się przez okno głową naprzód i padam na dywan. Szybko wstaję, ale krok mam niepewny i nie mogę złapać równowagi. Lizzie pędzi na mnie. Ma coś w rękach - metalową rurę od odkurzacza. Robi zamach. Próbuję się uchylić, ale robię to za wolno, więc obrywam.

Nagły, palący ból.

Krew leje się z mojego nosa i ust.  
Padam twarzą na dywan. Nie mogę...

31

Duży pokój jest zimny i cichy. Powoli otwieram oczy. Nie sędzę, żeby ktoś tu jeszcze był. Stos mebli odsunięty, drzwi otwarte. Deszcz wpada przez stłuczoną szybę i spodnie z tyłu mam przemoczone. Próbuje usiąść, ale ból jest zbyt wielki, więc znowu padam.

Jak długo tu leżałem?

Zaczynam sobie przypominać, co się stało. Cofam się w czasie. Przypominam sobie, jak Lizzie mnie uderzyła. Jej twarz pełną nienawiści i takie same buzie Edwarda i Josha. Zamykam oczy i staram się zebrać w sobie. Patrzenie, jak moja żona i dzieci uciekają ode mnie, i świadomość, że tak mnie nienawidzą, boli bardziej niż fizyczne cierpienie, jakie odczuwam. Czuję się pusty, zdradzony i przerażony. Nie potrafię wyjaśnić tego, co się wydarzyło. Nie wiem, czemu zabiłem Harry'ego, wiem tylko, że musiałem to zrobić. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego niemal cała moja rodzina obróciła się przeciwko mnie tak szybko i tak całkowicie. Nie potrafię też wyjaśnić, dlaczego Ellis się nie zmieniła. Chryste, muszę ją znaleźć.

Zmuszam się, by wstać. Cały jestem obolały i każdy ruch sprawia mi trudność. Bardzo powoli, chwytając się sofy, udaje mi się stanąć. Widzę swoje odbicie w lustrze wiszącym nad kominkiem gazowym. Prawe oko mam fioletowe i opuchnięte. Jeden z przednich zębów rusza mi się i czuję krew w gardle. Kiedy widzę stan mojej twarzy, zaczyna mnie naprawdę boleć. Wlokę się do kuchni, przechodzę nad ciałem na podłodze, żeby wziąć sobie trochę wody.

Tak lepiej.

Woda jest zimna jak lód i odświeżająca, pomaga mojej obolałej głowie trochę oprzytomnieć. Staję nad zlewem i płuczę usta, wypluwając krew. Gapię się na różowawoczerwoną wodę, próbując nie patrzeć na zwłoki Harry'ego leżące u moich stóp. Co się stało, do cholery? Podłoga w kuchni cała jest ciemnoszkarłatna od krwi. Martwe oczy gapią się na sufit i czuję, jak wypalają we mnie dziurę. Nie żałuję tego, co zrobiłem - musiałem zabić go, zanim on zabije mnie - po prostu muszę zrozumieć czemu...

Zakręcam kran i jeśli nie liczyć miarowego kapania wody, to w mieszkaniu panuje zupełna cisza. Lizzie zabrała dzieci i ukryła się gdzieś na górze w jednym z mieszkań? Powoli podchodzę do drzwi kuchni, nasłuchuję uważnie. W głębi serca wiem, że uciekli.

Szlag by to.

Nagle zrozumienie uderza mnie jak obuchem, bardziej bolesne nawet od fizycznych i emocjonalnych ciosów, jakie do tej pory otrzymałem. Gdy pomyślałem o mieszkaniach na wyższych kondygnacjach, przypomniałem sobie ciało na półpiętrze i słowa wypowiedziane do mnie przez Wściekłego, kiedy leżał i umierał. „Bądź gotów - powiedział. - To oni, nie my. Wszystko widzisz jasno, kiedy ci się to przytrafia”. Jezu Chryste, spojrzał na mnie i zobaczył kolejnego Wściekłego. Jestem jednym z nich. To jedyne logiczne wyjaśnienie. Jak Harry, Lizzie, Edward i Josh mogli nagle się zmienić? Rozsądniej twierdzić, że tylko ja się zmieniłem. Nie potrafię wyjaśnić jak i dlaczego, ale kiedy spojrzałem im w oczy, natychmiast wiedziałem, że nie są tacy jak ja i stanowią zagrożenie. Wyczułem bijącą od nich odrazę. Spojrzałem na moją rodzinę i przeraziłem się ich, a to tłumaczy, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem, i dlaczego tak wielu przede mną zabiło. Musiałem zaatakować, nim zaatakowaliby mnie. Wszyscy z wyjątkiem Ellis...

Spokojnie, powtarzam sobie, biegnąc przedpokojem i korytarzem. Wyglądam przez frontowe drzwi. Cholera, nie ma mojego samochodu. Niech to szlag, zabrali wóz i teraz mogą być gdziekolwiek. Staram się myśleć przytomnie, ale wracają mdłości wywołane paniką. Spokojnie, powtarzam. Myśl logicznie. Dokąd mogli pojechać? Mają niewiele możliwości. Mogli pojechać do domu Harry'ego, ale to mało prawdopodobne, tu w kuchni leży jego ciało. Najprawdopodobniej Lizzie zabierze ich do siostry. Tam ich poszukam.

Marznę. Ubranie mam mokre i poplamione krwią Harry'ego oraz własną. Muszę się przebrać,

wziąć kilka rzeczy, a potem pojechać szukać Ellis. Nie wiem, dokąd pójdziemy, kiedy już ją odzyskam. Nie możemy tu wrócić. To miejsce nie jest już bezpieczne.

32

Umyłem się, przebrałem i jestem gotowy do wyjścia, ale nie mogę się zmusić. W końcu dociera do mnie, co się wydarzyło. Adrenalina i nerwowy strach zniknęły. Teraz czuję tylko pustkę i lęk.

Zdałem sobie sprawę, że wszystko straciłem.

Stoję w pokoju Edwarda i Josha. Rozglądam się. To zbyt bolesne... Nie potrafię wyrazić słowami, jak się czuję. Wiem, że moi chłopcy są w zasięgu ręki, ale wiem też, że odeszli i nigdy już z nimi nie będę. Podnoszę zabawkę - śmieć, kawałek taniego plastiku dodawany do hamburgera - i to napętnia mnie bólem. Josh dostał ją jakieś trzy tygodnie temu. Harry dał nam trochę pieniędzy. Wyszliśmy dość późno z domu i napchaliśmy dzieci niezdrowym żarciem. Po raz pierwszy Josh jadł sam. Taki był z tego dumny. Więcej czasu bawił się tą cholerną zabawką, niż jadł hamburgera. Muszę o nich zapomnieć.

Idę do sypialni, którą dzieliłem z Lizzie. Biorę z łóżka torbę, którą spakowałem. Drzwi od szafy są otwarte. Patrząc na ubrania Lizzie na wieszakach i te różne rzeczy przypominają mi tyle rozmaitych się, przebrałem i jestem gotowy do wyjścia, ale nie mogę wydarzeń. To mnie napętnia rozdzierającym smutkiem. Wszystkie wspomnienia - każda sekunda życia, jakie prowadziłem, odkąd ją poznałem - nagle przestały cokolwiek znaczyć.

Łatwiej by mi było, gdyby nie żyli. Wiem, czym teraz jestem, wiem, że Lizzie, Edward i Josh są inni. Nie rozumiem różnicy między nami, ale wiem bez najmniejszych wątpliwości, że jest nie do przezwyciężenia. Wiem, że nigdy już nie będę z moją żoną i dziećmi. A co do Ellis... ona jest jak ja i będę walczyć do ostatniego tchu, aby ją odzyskać.

Próbuję przesunąć ciało leżące w kuchni. Mimo nienawiści, jaką widziałem w oczach Harry'ego, nie chcę go tak zostawić - na wpół ubranego, powykręcanego i leżącego w kącie. Ciągnę go za stopy, próbując ułożyć prosto, ale jego kończyny zeszytwniały i nie reagują. Przynoszę z sypialni kołdrę i przykrywam ciało.

Kiedy próbuję przesunąć zwłoki, słyszę hałas. Prostuję się i biegnę do dużego pokoju, by wyjrzeć przez stłuczone okno. Dwie wojskowe ciężarówki jadą drogą i wiem, że muszę się stąd szybko wydostać. Nie jestem pewny, czy ci żołnierze pomogą mi, czy zwrócą się przeciwko mnie, nie mogę ryzykować. Co z tą kobietą, którą widziałem, jak ją zastrzelili na ulicy dziś rano? Była jak ja czy jak reszta? Też była Wściekła?

Ruchy! Uciekaj i nie zatrzymuj się. Ale dokąd mam iść? Ciężarówki są coraz bliżej. Zarzucam torbę na ramię i wybiegam z mieszkania. Gdzie teraz? Będą sprawdzali mieszkania wyżej? Zaryzykować i schować się tam? Wiem, że muszę się stąd wynieść, więc pędzę do tylnego wyjścia. Próbuję otworzyć drzwi przeciwpożarowe, ale są zamknięte na kłódkę. Chryste, od jak dawna są tak zamknięte? Co by się stało z Lizzie i dziećmi, gdyby wybuchł pożar? To już nie ma znaczenia. Oglądam się i widzę ruch przed blokiem. Nadchodzą. Ruszaj się. Uciekaj.

Drzwi do drugiego mieszkania na parterze są otwarte. Wchodzę tam. Śmierdzi. Oficjalnie od pół roku nikt tu nie mieszka, ale regularnie nocowali w tym lokalu włóczędzy, pijackowie, ćpuny i Bóg wie kto jeszcze. Rozkład ma lustrzany w porównaniu z moim mieszkaniem. Biegnę do kuchni i siłuję się z oknem na zlewem. Słyszę, że żołnierze są już w budynku. Słyszę ciężkie kroki nóg w wojskowych buciorach. Gramolę się przez okno i wyskakuję do zarośniętego ogródka. Wyszedłem. Nie zastanawiając się, biegnę przez wysoką trawę do końca ogródka, potem szybko wspina się na błotnistą skarpe oddzielającą nasz blok od ogrodów przy prywatnych domach za nami. Biegnę tyłami ogrodów, docieram do wysokiego, drewnianego płotu. Muszę spróbować przeleźć górą. Podciągam się, mięśnie rąk aż mnie pieką z wysiłku, udaje mi się przerzucić jedną nogę. Przetaczam się i spadam na chodnik po drugiej stronie. Łąduję boleśnie wśród psich kup, śmieci i chwastów. Wstaję, otrzepuję się i biegnę dalej.

Biegnać, dochodzę do wniosku, że najbezpieczniejszą kryjówką będzie miejsce, w którym żołnierze już byli. Zawracam i ruszam drogą, która biegnie równoległe do Calder Grove. Przecinam kilka ulic i docieram do Marsh Way. Kiedy tego ranka oglądałem teren z okna na górze, w tej okolicy widziałem żołnierzy na patrolu.

Ulica jest pusta. Nigdzie śladu wojska. Stoję w cieniu pod drzewem na końcu ulicy i się rozglądam. Nigdzie nikogo nie widać. Wszystko jest kompletnie nieruchome. Nikogo tu nie ma prócz mnie.

Zauważam, że frontowe drzwi jednego z domów po drugiej stronie ulicy są lekko uchylone. Biegnę do nich i wpadam do środka. Wpadam na właściciela domu, który ciągnie worek ze śmieciami korytarzem, zamierzając je wyrzucić. Patrzy na mnie i natychmiast wiem, że nie jest taki jak ja. Muszę go zabić.

- Kim do cholery jesteś...? - zaczyna.

Rzucam się na niego, chwytam go za kark i wpycham głębiej do domu. Nie zatrzymuję się. Czuję się silny i wiem, że panuję nad sytuacją, chociaż nie mam pojęcia, dokąd zmierzam ani co robię. Potykamy

się w brudnej kuchni. Walę facetem o szafkę na ścianie. Jego ciało się odbija. Facet próbuje walczyć, ale wiem, że dam radę go zabić. Mam po swojej stronie siłę, szybkość i zaskoczenie. Kładę dłoń na jego twarzy, zaciskam ją i roztrzaskuję mu głowę o drzwi szafki. Jeszcze walczy. Odchylam jego głowę i walę nią znowu, jeszcze mocniej. I jeszcze. Jeszcze raz i jeszcze mocniej, tak mocno, że czuję jak coś pęka - nie wiem, drzwi czy czaszka. Raz jeszcze i facet przestaje walczyć. Jeszcze raz i osuwa się. Jeszcze raz i już po wszystkim.

Odciągam jego ciało po podłodze i zostawiam je w kącie kuchni. Zamykam drzwi na zamek i wreszcie zatrzymuję się, żeby złapać oddech i zaplanować następny ruch.

Nigdy wcześniej tak się nie czułem. Jakaś część mnie jest zrozpaczona i zdruzgotana z powodu tego, co się dziś wydarzyło. Ale inna część mnie nagle poczuła się silniejsza i żywsza niż kiedykolwiek w życiu. Sposób, w jaki zabiłem właściciela domu, całkiem do mnie nie pasuje, a jednak czuję, że zrobiłem co należy, i to było dobre. Czułem, że mógłbym załatwić setki tysięcy takich jak on, jeśli byłoby trzeba.

Jestem Wściekłym.

Siedząc w pokoju w brudnym, zaniedbanym domku, w końcu pogodziłem się z faktem, że jestem Wściekłym. Teraz ta nazwa zupełnie mi nie pasuje, ale rozumiem, dlaczego taką wymyślono. Tym z zewnątrz - tym, którzy nie poczuli tego, co ja teraz czuję - nasze działania łatwo mylnie zinterpretować jako napędzane nienawiścią i wściekłością. Ale to nie tak. Wszystko, co dziś zrobiłem, to była samoobrona. Zabiłem, żeby nie dać się zabić. Ci ludzie - ci „normalni” ludzie - to oni właśnie są pełni nienawiści. Nie potrafię tego wyjaśnić. Widzę ją w ich oczach i niemal wyczuwam w powietrzu wokół nich. To jak szósty zmysł, jak instynkt. Czułem, jak to promieniowało z Harry'ego, i dlatego go zabiłem. To samo było z człowiekiem na dole i będzie tak samo z następnym, którego spotkam. Będę uciekał i zabijał, jak długo będzie trzeba.

Teraz wreszcie widzę, dokąd to zmierza. Nareszcie zaczynam rozumieć, dlaczego ten kryzys wydawał się nie mieć końca ani kie-

runku, w którym by zmierzał. To my przeciwko nim. Nie będzie remisu, zawieszenia broni ani żadnych politycznych negocjacji, które załatwiłyby sprawę. Nie będzie końca walkom, dopóki jedna ze stron nie zwycięży, a wróg nie padnie martwy.

Albo zabijasz, albo ciebie zabiją.

Albo ty znienawidzisz, albo ciebie znienawidzą.

Dzień zaczyna przygasać, więc mogę ruszać. Czekałem aż do tej chwili w nadziei, że ciemność pomoże mi się ukryć i zapewni pewną osłonę. Biorę z kuchni trochę jedzenia (z trudem znajduję tam cokolwiek wartego ratowania) i jestem gotów wyjść znowu na ulicę.

W krótkim czasie, jaki spędziłem w tym domu, mój nastrój i emocje wahały się i nieustannie zmieniały. Część mnie czuje się podekscytowana i żywa z powodu tego, kim się stałem. Część

mnie po raz pierwszy w życiu czuje się wolna i nieskrępowana. Ulżyło mi, że wreszcie odszedłem od tego, czym pogardzałem w swoim świecie. Czuję się silny, zdeterminowany i pełen energii, ale jednak to wszystko nic w porównaniu z chwilami, kiedy myślę o przeszłości. W przyszłym roku minęłoby dziesięć lat, odkąd jesteśmy z Lizzie razem. Wspólnie wychowywaliśmy dzieci i chociaż zdarzały się trudne chwile, zawsze byliśmy blisko. Teraz to wszystko odeszło, i to boli. Może i jestem Wściekłym, ale nadal czuję ból. Żałuję, że Liz, Edward i Josh też się nie zmienili. Muszę przestać o nich myśleć. Męczą mnie te uczucia. Nadal ich kocham, ale jednocześnie wiem, że jeśli będę musiał, zabiję ich bez wahania.

Kiedy wychodzę z domu, coś przyciąga mój wzrok.

W salonie na małym, okrągłym stoliku obok brudnego, wytartego i mocno zużytego fotela leży broszurka. Wydrukowana przez władze. Jest czysta, nowiutka, a jednocześnie wydaje się dziwnie znajoma. Podnoszę ją i kartkuję. Przypominam sobie, że dostałem pod drzwi coś podobnego kilka miesięcy temu, kiedy pojawiło się zagrożenie atakiem terrorystycznym czy czymś w tym stylu. Broszurka jest ogólnikowa, mówi obywatelom, co robić w razie nagłych wypadków. Omawia atak bombowy, katastrofy naturalne i tego typu rzeczy. Mówi ludziom, żeby zostali w domu i włączyli telewizor lub radio, aby znać bieżące informacje. Informuje też, jak udzielać pierwszej pomocy, co należy mieć w domu i kogo powiadamiać w razie potrzeby. Na końcu jest kilka stron propagandy i innych bzdur - że kraj jest przygotowany na wszelkie ewentualności i że organizacje ratunkowe w okamgnieniu ruszą do działania - takie tam gadanie. Do broszurki dodano kilka luźnych stron i kiedy przeglądałem je, dociera do mnie, że pewnie dali ją właścicielowi domu żołnierze, podczas wizytacji-inspekcji-czystki dziś rano. Brak jakichkolwiek konkretów nie zaskakuje i natychmiast śmierdzi mi to politycznym gadulstwem. Ale mimo wszystko to ciekawe czytać, co mówią reszcie społeczeństwa o takich, jak ja.

Stronice mówią o tym, co z nami się dzieje, jak o zaburzeniu. Sugerują, że jakiegoś rodzaju infekcja lub choroba prowadzi do pewnej formy demencji, ale mówią o tym oględnie i nie wprost. Nie przedstawiają też żadnych konkretnych faktów. Napisano, że mały ułamek populacji - sugerują, że nie więcej niż setka - jest podatny i może znaleźć się w „takim stanie”. Piszą o objawach, twierdząc, że zmienieni ludzie mającą i atakują na chybił trafił, gwałtownie i irracjonalnie. Cholerni idioci. W tym, co dziś zrobiłem, nie ma nic przypadkowego ani irracjonalnego.

Najbardziej zmartwiło mnie to, co przeczytałem na ostatniej z dodatkowych stron. W broszurce wyjaśniano, że dotkniętych zmianami ludzi gromadzi się i zabiera na „leczenie”. Nie trzeba geniusza, żeby się zorientować, iż z tego powodu żołnierze i ciężarówki wędrowali przez miasto. Więc na czym ma polegać rzekome leczenie? Z tego, co widziałem, ogranicza się do kulki w potylicę.

Tracę czas. Dość czytania. Wrzucam broszurkę do torby i upewniwszy się, że ulica jest pusta, zostawiam za sobą dom i martwego właściciela. Pójdę przez miasto do domu siostry Liz i zabiorę Ellis.

Czuję się mocniejszy. Lepszy od wszystkich, którzy się nie zmienili. Cieszę się, że jestem jednym z tych stu. Wolę to, niż być jak reszta.

34

Mam wrażenie, że przebiegłem wiele kilometrów. Teraz zwolniłem. Dotarłem do obrzeży miasta i mniej tu budynków, w których cieniu mógłbym się chować. Nie chcę być widziany. Wziąłbym jakiś samochód, ale teraz nic nie jeździ, więc przyciągałbym zbyt uwagę. Straciłem poczucie czasu. Jest wczesny wieczór, poszarzało. Zmarzłem i przemokłem podczas ulewy, która trwała przez ostatnią godzinę, ale mimo tych drobnych uciążliwości czuję się zaskakująco silny.

Nie wiem, jak długo jestem już na zewnątrz, ale dotąd widziałem zaledwie kilka osób. Hałas nadal wypełnia powietrze - wojsko próbuje nas odnaleźć i wykurzyć, ale ulice są puste. Wiem, że zaczęła się godzina policyjna, ale nie sądzę, żeby tylko z tego powodu nie było nikogo widać.



Wychodzenie z domu stało się niebezpieczne. Od nielicznych, których widziałem - od czasu do czasu migła mi pojedyncza postać skradająca się ostrożnie w cieniu tak jak ja - trzymałem się z dala. Wolałem nie nawiązywać kontaktu wzrokowego. Okazałoby się podobni do mnie? Może tak, ale nie mogę ryzykować. Mogliby być tacy jak reszta. Zabiję znowu, jeśli będzie trzeba, ale nie szukam kłopotów. Ważniejsze jest odnalezienie Ellis. Dziś mam wrażenie, że „normalna” część populacji ukryła się ze strachu przed nami.

Myślę, że chyba jestem w połowie drogi do domu siostry Liz. Planowałem iść całą noc, ale rozsądniej będzie wkrótce zatrzymać się i poszukać schronienia. Nad miastem znowu latają helikoptery i czuję się odsłonięty. Instynkt podpowiada mi, że niedługo, kiedy żołnierze kręcą się po ulicach i po niebie, samotna wędrówka po nocy stanie się zbyt ryzykowna. Gdybym uważał, że bezpiecznie mogę iść dalej, szedłbym. A tak skorzystam z tej okazji, żeby chwilę odpocząć i coś zjeść.

Nie mogę przestać myśleć o Ellis. Moja biedna dziewczynka ugrzęzła wśród ludzi, którzy w każdej chwili i bez żadnego ostrzeżenia mogą zwrócić się przeciwko niej. Grozi jej niebezpieczeństwo, a ja nie mogę jej pomóc. Wprawdzie może być za późno, ale nie pozwalam sobie na takie myśli. Świadomie starałem się je zablokować, ale wciąż łapię się na tym, że zastanawiam się nad Lizzie, Edwardem i Joshem. Wspominanie ich napęłnia mnie przytłaczającym smutkiem i żalem. Zastanawiam się, czy i oni kiedyś mogą się zmienić? Czy to, co mnie odmieniło, może się gdzieś w nich ukrywać? Chciałbym w to wierzyć, ale nie żywię zbyt wielkiej nadziei. Informator rządowy, który wcześniej czytałem (o ile napisano tam prawdę), mówi, że tylko mały ułamek populacji może się zmienić. I od razu wyczułem różnicę między Ellis i resztą. Ona i ja jesteśmy tacy sami. Różnimy się od nich, wyczuwam to. Muszę pogodzić się z faktem, że reszta rodziny jest stracona.

Teraz opuszczam miasto. Zerkam przez ramię i widzę, że chociaż w wielu budynkach nadal palą się światła, widać też ogromne połacie tonące w ciemnościach. Pewnie nie ma prądu. To nieuniknione, jak przypuszczam. Ta „zmiana” (cokolwiek to jest) może i dotknęła mniejszość, ale reperkusje daje się odczuć wszędzie. Dzieli społeczeństwo równie szybko, jak zniszczyła moją rodzinę.

Skrećam za róg i wpadam na człowieka idącego z naprzeciwka. Pierwsza osoba, na jaką napatoczyłem się od dłuższego czasu. Natychmiast spinam się, gotów zabić. Odpycham ciemną postać i zaciskam pięści gotów uderzyć. Patrzę poprzez mrok w twarz drugiej osoby i... jest w porządku. Nie widzę gniewu, nienawiści ani zagrożenia. Niewypowiedziana, obopólna ulga jest ogromna. Ten człowiek jest taki jak ja i obaj wiemy, że żaden nie musi niczego się obawiać ze strony drugiego.

- Wszystko w porządku? - pytam cicho.

Tamten kiwa głową i odchodzi.

W oddali słyszę silniki. Wojsko nadal posuwa się przez mroczne miasto i teraz jest bliżej. Na niebie pojawiło się więcej helikopterów. Widzę cztery krążące złowroźnie, latające nad ulicami i od czasu do czasu oświetlające ziemię pod sobą przeraźliwie jasnymi reflektorami. Zdecydowanie najwyższy czas znaleźć kryjówkę.

Przechodzę niski, kamienny most z torami. Przedemną rysuje się ciemna sylweta ogromnej fabryki albo magazynu, po drugiej stronie ulicy widać budowę. Kiedy się zbliżam, widzę, że budują tu nowe osiedle mieszkaniowe. Tuż przy głównej drodze stoi już kilka prawie gotowych domów, otoczonych skorupami stawianych dopiero budynków. Niedokończone ściany i drewniane framugi sterczą na tle nieba. To ciche, odludne miejsce. Sądzę, że to dobry punkt, aby zatrzymać się, znaleźć na jakiś czas schronienie.

Płyty chodnikowe i asfalt kończą się, czuję pod stopami żwir. Idę nierówną, błotnistą ścieżką głębiej między budynki i wkrótce maszeruję wzdłuż rzędu domów różnych kształtów, rozmiarów i na różnych etapach budowy. Ziemia jest tak zryta przez maszyny, że dopiero po chwili orientuję się, że w gruncie rzeczy idę przez przyszłe ogrody na tyłach tych budynków. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek zostaną zamieszkałe... Trzy najdalsze wydają się w najlepszym stanie. Ruszam w

tamtą stronę. Okna i drzwi tych domów zakryto metalową kratą. Wszystkie, poza drzwiami środkowego domu. Kratę, która zabezpieczała miejsce, gdzie miały się pojawić tylne drzwi, zdjęto. Leży na ziemi w kałuży, powyginana i bezużyteczna. Stoję przed wejściem i zaglądam do środka. Ktoś tam już był? Dociera do mnie, że mogą być tam jacyś ludzie, ale muszę się gdzieś zatrzymać. Powinienem wejść? Czy to bezpieczne? Wiedząc, że już nigdzie nie jest bezpiecznie, ostrożnie wchodzę po schodkach do wnętrza. Jeśli ktoś tu jest i nie jest taki jak ja, zabiję go.

Kroki w ciemnościach. Nagły ruch.

Próbuję się cofnąć, ale nim zdążę zareagować, ktoś na mnie łąduje. Kopniak w nogi i padam plecami na twardą, betonową podłogę. Nic nie widzę. Próbuję kopać, uwolnić się i wstać, ale nim zdążę się ruszyć, znowu dostaję. Ktoś przy szpila mi nogi za kostki, a ktoś inny trzyma mnie za ramiona, tak że nie mogę wstać z ziemi. Jest tu trzecia osoba. Na tle drzwi widzę poruszający się cień.

- Myślisz, że jest bezpieczny? - ktoś pyta.

Zapalają latarkę i niespodziewana jasność razi mój wzrok.

- Wyłącz - słyszę, jak mówi ktoś inny głośno i z wyraźną ulgą. - Jest w porządku.

Ręce puszczają mnie równie szybko, jak mnie złapały. Przesuwam się po podłodze, starając się jak najbardziej oddalić od ludzi, którzy

tu są. W na wpół wykończonym domu jest niewiele światła i ledwo widzę. Ktoś porusza się przede mną. Wiem, że są tu co najmniej trzy osoby, ale może jest ich więcej? Latarka znowu się zapala.

- Spokojnie, bracie - mówi jeden z nich. - Nie zrobimy ci krzywdy.

Nie wiem, czy mogę im wierzyć. Nie wiem, czy jeszcze wierzyć komukolwiek.

Postać trzymająca latarkę świeci sobie w twarz. To mężczyzna, po dwudziestce, może pod trzydziestkę. Natychmiast wiem, że jest taki jak ja i że nic mi z jego strony nie grozi. A jeśli ten człowiek nie stanowi zagrożenia, to jego towarzysze też nie.

- Jak się nazywasz? - pyta.

- Danny - odpowiadam. - Danny McCoyne.

- Długo już tak masz, kotku? - pyta kobięcy głos.

- Co? - mamrocę.

- Ile czasu upłynęło, odkąd to się stało? - próbuje jeszcze raz, inaczej formułując pytanie.

Zakładam, że mówi o tym, co się stało w domu, kiedy zabiłem Harry'ego i straciłem rodzinę.

- Kilka godzin - mamrocę. Mam sucho w gardle. - Nie jestem pewien...

- Jestem Patrick - mówi mężczyzna trzymający latarkę i wyciąga rękę.

Nie bardzo wiem, czy chce uścisnąć moją dłoń, czy pomóc mi wstać. Podaję mu rękę, a on ciągnie mnie w górę.

- Mnie to przydarzyło się trzy dni temu - mówi dalej. - Tak samo Nancy. A to Craig - dodaje, wskazując latarką na trzecią osobę w pomieszczeniu. - Ty wczoraj po południu, prawda, Craig?

- Tuż po obiedzie - odpowiada tamten.

Patrick oświetla go latarką, ale widać tylko niewielki skrawek ogromnego brzucha. Craig jest potężny.

- Więc co się stało? - pyta Nancy. - Ktoś bliski?

- Ojciec mojej żony - wyjaśniam z pewnym smutkiem, ale bez żalu czy poczucia winy z powodu czynku. - Zwrócił się przeciwko mnie. Myślałem, że zamierza mnie zabić, więc...

- Musiałeś go dopaść pierwszy? - przerywa, kończąc za mnie zdanie.

Moje oczy przyzwyczajają się do panujących tu ciemności. Widzę Nancy kiwającą głową i natychmiast wiem, że ona w pełni rozumie, co musiałem zrobić i dlaczego, nawet jeśli ja nadal nie bardzo to pojmuję.

- Wszystko zacznie nabierać większego sensu. Wkrótce - mówi mi. - Tak samo było, kiedy mnie się to przydarzyło. Nie cierpiałam siebie za to, co robię, ale nie miałam wyboru. Byłam z Johnem przez niemal trzydzieści lat i rzadko kiedy przez cały ten czas spędziłyśmy osobno choćby dzień. I nagle zupełnie jakby ktoś przełączył jakiś pstryczek. Wiedziałam, że muszę to zrobić.

To się zaraz może zamienić w komedię omyłek. Czy oni wszyscy zabijali? Zadaję to pytanie, nie zdając sobie sprawy, że wypowiadam je na głos.

- Chyba zależy, w jakich okolicznościach to się dzieje - odpowiada Patrick. - Craig jeszcze nikogo nie zabił, co jest sporą niespodzianką, biorąc pod uwagę rozmiary gościa!

Nancy, wzdychając, podejmuje historię Craiga.

- Ale próbowałeś, prawda, kotku?

W kręgu światła latarni widzę, jak Craig kiwa głową.

- Banda tamtych zapędziła cię w kozi róg w pracy, prawda?

- Właśnie odbierałem zamówienia w magazynie z czterema innymi facetami - wyjaśnia olbrzym cichym głosem. - Nie wiedziałem, co się dzieje. Rzuciłem się na jednego, ale było ich zbyt wielu. Zamknęli mnie w jednym z biur, ale udało mi się uciec przez okno. Mogłem tylko uciekać.

Ta rozmowa była dziwna i nieprzyjemnie surrealistyczna. Mogłem w to uwierzyć tylko wtedy, gdy przypomniałem sobie, że sam zabiłem dziś dwa razy. Jak to możliwe? Chryste, do tego ranka nigdy nikogo nie uderzyłem w złości, już nie mówiąc o zabijaniu. Patrick podaje mi butelkę z wodą, którą gaszę pragnienie.

- A ty? - pytam go.

- Zabiłem - odpowiada. - Nie wiem, kim ten facet był, po prostu musiałem zrobić to jak my wszyscy. Stał i gapił się na mnie, kiedy wsiadałem do samochodu...

- I...?

- Skosiłem go. Włączyłem silnik, ścigałem go ulicą i go przejechałem. Przy okazji skasowałem też wóz. Po prostu jechałem dalej z gościem pod kołami. Nie wiedziałem, co robić. Pomyślałem, żeby wrócić do domu, ale kiedy tam dojechałem, zobaczyłem, że moja dziewczyna jest jak reszta i...

- ...znasz koniec tej historii - burczy Craig. - Człowiek musi to zrobić, prawda?

- To jak druga natura - mówi cicho Patrick. - Jak instynkt. Zwierzęcy instynkt.

W pokoju zapadła cisza.

- Więc co teraz? - pytam.

- Kto wie? - odpowiada Nancy. - Podejrzewam, że będziemy się zabijać, aż albo my znikniemy, albo oni. Szaleństwo, co?

Trudno mi ogarnąć myślą, że ta kobieta (wyglądająca jak typowa żona-matka-córka-siostra-ciotka) mówi tak rzeczowo o zabijaniu. W ciągu kilku dni od zmiany najwyraźniej zrzekła się wszystkiego, co składało się na jej dawne życie i teraz była gotowa zabijać, żeby zostać przy życiu. W takich chwilach to wydawało się nie do uwierzenia. Nancy wyglądała bardziej na kogoś, kto prędzej upiecze ciasto, niż zabije. Kręcę głową z niedowierzaniem, kiedy Craig wstaje i zastawia wejście drewnianą tablicą, odcinając nas od resztek światła padającego z zewnątrz.

35

Więc... ile z tego rozpracowałeś? - pyta Patrick.

Obaj jesteśmy na piętrze nieskończonego budynku, w pomieszczeniu, które pewnie zostało pomyślane jako główna sypialnia; siedzimy plecami do świeżo wytynkowanej ściany. Niebo rozchmurzyło się i księżyc daje trochę przyjemnego światła, które wpada przez zakratowane okno. Jestem zmęczony i nie chcę rozmawiać, ale nie mogę unikać odpowiadania na pytania.

- Nie mam zielonego pojęcia, co się dzieje - mówię szczerze.

- Wiem tyle, co wyczytałem tutaj. - Wyjmuję złożoną broszurkę z torby i mu podaję.

Kartkuje ją w świetle latarki i uśmiecha się do siebie cierpko.

- Dobrze! - Śmieje się sarkastycznie.

- Wziąłem to z domu, w którym się ukryłem - wyjaśniam. - Niewiele tu piszą.

- A kiedy ostatnim razem znalazłeś rządową broszurkę, w której byłyby jakieś konkrety?

Zamyka ją i rzuca na goły parkiet.

- Nie ma się kogo zapytać, nie? - mówię. - Nadal nie wiem, czy ktokolwiek naprawdę wie, co

się dzieje.

- Ktoś wie - mruczy. - Ktoś musi. Założę się, że w chwili, gdy pierwsza osoba się zmieniła, jakiś wydział rządowy zaczął nas analizować i kroić takich jak ty czy ja na kawałki, i...

- Kroić?

- Przesadzam, ale wiesz, o co mi chodzi, prawda? Zbiorą grupę najlepszych naukowców w jakimś laboratorium, żeby rozgryźli, co się z nami stało. Będą pracować nad lekarstwem.

- Tak myślisz?

Wzrusza ramionami.

- Może. Cokolwiek się stanie, będą próbowali znaleźć sposób, żeby nas powstrzymać.

Wiem, że ma rację. Jesteśmy dla nich zagrożeniem. O wiele większym niż wrogowie, z którymi walczyli wcześniej.

- Nie chcę być wyleczony - rzucam, zaskakując tym stwierdzeniem samego siebie. - Chcę taki zostać. Nie chcę być znowu jednym z nich.

Patrick kiwa głową i wyłącza latarkę. W ciemnościach łapię się na tym, że znowu myślę o Ellis. Wiem, to kwestia czasu, nim się zmieni, o ile to już się nie stało. Próbowałem przekonać siebie, że nic jej nie jest, ale wiem, że póki jest z tamtymi, grozi jej niebezpieczeństwo. Najtrudniejsza rzecz, z jaką muszę się dziś pogodzić

- trudniejsza nawet od świadomości dzisiejszej straty - to fakt, że Lizzie, kobieta, która nosiła pod sercem moją małą dziewczynkę i która dbała o jej bezpieczeństwo bardziej niż ktokolwiek inny na świecie, teraz stanowi dla niej największe zagrożenie. Ból, jaki czuję, kiedy myślę dziś wieczór o Ellis, jest nie do opisania. Może powinienem iść po nią teraz. Biedactwo nie wie nawet, że coś się stanie. Nie ma zielonego pojęcia...

- Nie jesteś rozmowny, co? - przyciska mnie Patrick.

Zaczyna mi działać na nerwy, ale wyczuwam, że potrzebuje sobie pogadać. Jest zdenerwowany, przestraszony i pomieszany tak samo jak ja, więc się nie odgryzam.

- Niewiele jest do powiedzenia, co? - mruczę.

- Więc o kim myślisz?

Bardzo spostrzegawczy. Milczę chwilę, nim w końcu decyduję się odpowiedzieć. Może to coś pomoże.

- O mojej córeczce. Jest taka jak my.

- Więc dlaczego nie jest z tobą?

- Z powodu matki. Byłem w domu z całą rodziną, kiedy to się stało. Wiedziałem, że Ellis jest taka jak ja, i próbowałem ją zabrać, ale...

- Ale co?

- Lizzie pierwsza ją dorwała. Uderzyła mnie w twarz cholerną rurą. Jak oprzytomniałem, już jej nie było. Zniknęła razem z dziećmi.

Patrick kręci głową.

- Fatalnie - mamrocze. - Boli, kiedy się ich traci, nie?

Kiwam głową, ale nie wiem, czy zauważył moją odpowiedź.

- A co z tobą? - pytam. - Mówiłeś coś wcześniej o swojej dziewczynie...

Nie odpowiada przez kilka długich sekund.

- Jak powiedziałem, udało mi się wrócić do domu po tym, jak to się stało. Jeszcze zanim ich zobaczysz, już wiesz, że się nie zmienili, nie? Zrobiłem to, co musiałem.

Nie wiem, co ma na myśli. Zabił ją? Szybko dochodzę do wniosku, że lepiej nie pytać. Przez chwilę zastanawiam się, czy to koniec rozmowy, ale wtedy Patrick znowu się odzywa.

- Kompletnie pomieszali fakty, co? - rzuca.

- Co?

- Gazety, telewizja i tak dalej - wyjaśnia. - Zrobili z nas głównych winowajców, prawda?

- Oni tak to widzą.

- Że niby to my ich nienawidzimy...
- Nigdy nikogo nie nienawidziłem - mówię mu. - A przynajmniej nie tak, jak to pokazywali w wiadomościach.

W świetle księżycy widzę, że Patrick kiwa głową ze zrozumieniem. Nie jest głupi. Spędził ostatnie trzy dni, zastanawiając się nad tym, na czego ogarnięcie ja miałem raptem kilka godzin.

- Wiesz, co myślę?
- Co? - odpowiadam, ziewając.
- Nazwali nas Wściekłymi, bo z ich perspektywy po prostu atakujemy i zabijamy. Tak to wyglądało dla mnie, zanim się zmieniłem. Zgadzasz się?

- Chyba tak.
- Ale tak naprawdę, to wszyscy są pełni nienawiści. Tamci są równie źli jak my. Chcą naszej śmierci równie mocno, jak my chcemy się pozbyć ich. Czuje się nienawiść płynącą od nich, nie? Nawet jeśli nie potrafią tego okazać ani poradzić sobie z tym jak my, to pragną naszej śmierci. Więc to, co robimy, to jedynie obrona. Po prostu wiesz, co trzeba robić, nie? Musisz ich zabić, zanim dopadną ciebie.

- Jesteśmy równie źli jak każdy z nich - dodaję.
- Możliwe. Jak powiedziałem, wszyscy są pełni nienawiści, my po prostu lepiej sobie z nią radzimy. Musimy zadbać o własne bezpieczeństwo, a jeśli to oznacza zniszczenie ich, nie mamy wyboru.

- Kłopot w tym, że oni uważają to samo...
- Wiem. Ale oni nie są ani tak silni, ani tak agresywni jak my, i to jest nasza przewaga. Nie poruszają się wystarczająco szybko. W końcu za to zapłacą.

- Więc właściwie co się zmieniło? I dlaczego teraz? Dlaczego to przytrafiło się niektórym z nas, a nie pozostałym? Dlaczego to w ogóle się dzieje?

- To najważniejsze pytanie, co? Nie potrafię znaleźć na nie odpowiedzi i możesz być pewny, że nie znajdziemy jej też w tej rządowej broszurce.

- Ale jak myślisz, co to powoduje?
- Nie wiem. Jak na razie znalazłem co najmniej setkę możliwych odpowiedzi. - Śmieje się. - Ale to wszystko chrzanienie!

- To choroba? Złapaliśmy coś?

Kręci głową.

- Może tak. Moim zdaniem, możliwe są dwie odpowiedzi. Albo to wirus, albo coś takiego, co przydarzyło się wszystkim. Na ludzi takich jak ty i ja to podziałało, reszty w ogóle nie zmieniło.

- Na przykład co?
- Nie wiem... może ktoś dodał coś do wody? Może planeta przeszła przez chmurę cholernego kosmicznego gazu czy czegoś takiego?! Może to po prostu ewolucja? Natura bierze górę...

Patrick znowu śmieje się do siebie. W pokoju zapada cisza, więc mam okazję zastanowić się nad wszystkim, co powiedział. Może mieć rację. Gdyby to były wirus lub choroba, na pewno więcej ludzi by to złapało, prawda? Dziś wieczór wszystko jest tak pochrzanione, że jego niepoparte i niepoparte niczym teorie wydają się prawdopodobne.

- Więc jak myślisz, ilu jest takich jak my? - pytam, wiedząc, że on także może tylko zgadywać.

- Nie mam pojęcia. Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to jak mówili, że sprawa dotyczy niewielkiej mniejszości. To samo piszą w tej broszurce. Ale myślę, że jest nas więcej, niż chcą przyznać. Możliwe, że nikt nie wie, jak wielu.

- I jak bardzo to się rozprzestrzeniło? Przecież to nie może dziać się tylko tutaj?
- Dość szybko rozeszło się po całym kraju, nie? Więc jeśli jeden kraj został tym dotknięty...

- ...to dlaczego nie reszta świata?

- Właśnie.

- Więc gdzie to się skończy?

Znowu cisza.

- Nie wiem. Nawet nie wiem, co o tym myśleć. Musimy walczyć, żeby przeżyć, i tamci na pewno zrobią to samo. Możemy tylko uciekać i zabijać - odpowiada Patrick. - Bo jeśli nie dorwiemy ich, oni dorwą nas.

36

Patrick wreszcie się zamyka. Leżę na zimnej podłodze i próbuję zasnąć, dać odpocząć umysłowi i ciału. Nie mogę przestać myśleć o Ellis. Dochodzę do wniosku, że rano ruszę znowu do domu siostry Liz i poszukam tam córki. Modłę się tylko, żeby nic się nie stało, zanim do niej dotrę.

Rankiem może zaryzykuję i wezmę samochód, żeby szybciej dotrzeć na miejsce. Czuję się silny, spokojny i jestem gotowy iść dalej, ale jadąc, dotrę szybciej, chociaż będę o wiele bardziej odsłonięty i narażony na atak. Ale to nie ma teraz znaczenia. Czuję, że postępuję właściwie. Życie, które zostawiłem za sobą, z każdą mijającą minutą wydaje się coraz bardziej obce i nienaturalne. Nie wróciłbym do niego, nawet gdybym miał wybór. Żałuję tylko, że Lizzie, Edward i Josh nie mogą być tacy, jak Ellis i ja.

Na zewnątrz rozlegają się hałasy. Jest wczesny ranek - druga, trzecia nad ranem, jak mi się wydaje - a z miasta płyną nieustannie jakieś odgłosy. Słyszę więcej ciężarówek i helikopterów. Jeszcze więcej patroli przepłasza ludzi. Cokolwiek stanie się jutro, wiem, że będę musiał opuścić to miejsce. Nie chcę zatrzymywać się nigdzie na zbyt długo. Będę wędrował, aż znajdę Ellis, i wtedy, gdy już ją odzyskam, razem uciekniemy. Znajdziemy jakieś bezpieczne miejsce, gdzie jest więcej takich ludzi jak my, z dala od tych, którzy nas nienawidzą. A jeśli nie znajdziemy bezpiecznego miejsca, to zabijemy tylu, ilu będzie trzeba. Jak to powiedział Patrick, musimy zabijać, zanim nas zabiją.

Teraz zasnę, a zaraz po świcie wykonam pierwszy ruch.

## SOBOTA

37

Uciekać! - przerażony głos przekrzykuje potworne dźwięki. - Na miłość boską, uciekajcie stąd! Zrywam się. Ciało mam obolałe od spania na gołej podłodze. W nieukończonym budynku rozlega się ogłuszające dudnienie. Biegnę do okna, desperacko przyciskam twarz do metalowej kraty, chcąc zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. W pobliżu krąży helikopter. Nie dokładnie nad budynkiem, ale wystarczająco blisko. Wiem, że szukają takich jak my. Rozglądam się i widzę, że jestem sam. Patrick zniknął, ale zostały jego rzeczy.

Cholera. Na końcu żwirowej drogi zatrzymała się ciężarówka, a żołnierze już wysypują się z niej i biegną w stronę naszych domów. Muszę uciekać. Chwytam torbę i ruszam do drzwi. Słyszę na zewnątrz megafon, ktoś wykrzykuje ostrzeżenie, żeby się nie ruszać.. a potem strzał. Biegnę znowu do okna i widzę Craiga z twarzą w błocie i żołnierza z karabinem stojącego nad ciałem z dymiącą lufą wycelowaną w potylicę olbrzyma. Widzę też Patricka i Nancy, próbujących uciec. Pojawia się kolejna ciężarówka. Szybko otaczają ich żołnierze; odcinają im drogę ucieczki.

Muszę się stąd wynosić. Może mógłbym dostać się na strych i tam schować? Czy raczej powinienem próbować ucieczki? Czy to za wysoko, by wyskoczyć z któregoś okna? Nie mogę pozwolić, żeby mnie złapali. Muszę się wydostać i znaleźć Ellis. Teraz słyszę kroki na dole. Głośne, ciężkie kroki. Chryste, pewnie już wiedzą, że tu jestem. Biegnę do jednego z mniejszych

pokojów i wpadam

na zamaskowanego żołnierza idącego z naprzeciwka. Próbuję się przepchnąć obok niego, ale ten świr uderza mnie w twarz i zanim zdążę zareagować, leżę na plecach i gapię się w sufit. Próbuję wstać, ale ręce brutalnie łapią mnie za ramiona i ściągają na dół. Myślę, że nie ma sensu się opierać, staram się nie panikować. Teraz muszę poczekać, aż znajdę się na zewnątrz, i uciekać. Ale wtedy myślę o tym biednym łajdaku Craigu, naszpikowanym ołowiem, leżącym twarzą w błocie. Trzeba z nimi współpracować, decyduję, chociaż każdy nerw w moim ciele, każde ścięgno i włókno pragnie walczyć z tymi zwierzętami i ich zniszczyć.

Wloką mnie przez korytarz i kuchnię, a potem wyciągają z budynku. Pchają mnie w stronę ciężarówki, gdzie stoją roztrzęsieni Nancy i Patrick. Potykam się i padam na kolana w błoto u stóp Patricka.

- Wstawaj! - krzyczy mi do ucha jeden z żołnierzy.

Czyjaś ręka chwyta mnie za kark i ciągnie w górę. Patrick patrzy na mnie. W jego oczach widzę desperację, przerażenie i frustrację.

Co teraz, myślę sobie? Dajcie spokój, jeśli zamierzacie nas zabić, zróbcie to po prostu. Miejmy to już za sobą. Trzymają nas na muszce, ale pewnie już by nas powystrzelali, gdyby mieli taki zamiar... Zerkam na najbliższego żołnierza. Ciemna osłona zasłania mu oczy, ale wyczuwam nienawiść bijącą od niego jak odór rozkładu. Dwie kolejne postaci w mundurach wysiadają z pierwszej ciężarówki i podchodzą do nas. Jeden z nich ma taki płaski komputer, jaki widziałem u nich już wcześniej. Drugi ma w dłoni jakieś mniejsze elektroniczne urządzenie. Nie widzę, co to jest. Poruszają się szybko. Jeden z nich przypiera mnie do ciężarówki, podczas gdy drugi przyciska urządzenie do mojego gardła. Na ułamek sekundy rozlega się syczenie; czuję piekący ból w szyi jak ukąszenie owada. Puszczają mnie i skupiają się na Patricku i Nancy. Robią obojgu dokładnie to samo. Co dziwniejsze, tak samo traktują martwe ciało Craiga.

Milcząc, stoimy rzędem obok ciężarówki; nie onieśmielamy się drgnąć. Żołnierz podłącza małe urządzenie do komputera i przygląda się monitorowi.

- No i? - pyta drugi stojących niedaleko.

- Wszyscy - odpowiada obsługujący komputer.

- Tożsamość?

- Tylko jeden. Patrick Crilley - odpowiada tamten, wskazując na Patricka, który rozgląda się niespokojnie na boki. - Nie potrafię zidentyfikować pozostałych.

Pierwszy żołnierz odwraca się i macha na pozostałych, którzy nadal otaczają nas z uniesioną bronią. Zagryzam wargi, z trudem zachowując spokój, kiedy jeden z nich łapie mnie za ramię i pcha na tył ciężarówki.

- Wskakuj - warczy.

Stoję i patrzę mu w twarz za osłoną. Dwaj inni podchodzą do mnie z boków, łapią za nogi, unoszą i wrzucają przez brudną klapę plandeki do ciężarówki. Łąduję na płask w ciemności i nim zdążę się przesunąć, Patrick i Nancy lądują ciężko na mnie. Twarz mam przyciśniętą do brudnej podłogi, a tamci dwoje jeszcze bardziej mnie w nią wciskają, kiedy próbują się z siebie wyplątać.

- Nic ci nie jest - odzywa się szeptem ktoś koło miejsca, gdzie wylądowałem. Nie poznaję głosu. - Jesteś wśród przyjaciół.

Tamci wreszcie złączą ze mnie i w końcu mogę się podnieść. Próbuję stanąć, ale nagle zapala się silnik ciężarówki i szarpnięcie sprawia, że znowu się przewracam. Ktoś pomaga mi wstać i po raz pierwszy mogę się rozejrzeć. Liczę ciemne kształty - siedemnaście osób łącznie z Patrickiem i Nancy. Jest tu niewiele światła, ale natychmiast wiem, że są tacy jak ja. Mężczyźni, kobiety i dzieci

- wszyscy tacy jak ja.

Mam wrażenie, że jechaliśmy wiele godzin, ale wiem, że to nie trwało tak długo. Zatrzymaliśmy się jeszcze pięć, może sześć razy, żeby zabrać jeszcze innych ludzi, ale teraz już od dłuższego

czasu nie stawaliśmy. O ile się nie mylę, zebrało się nas dwadzieścia osiem osób. To duża ulga znaleźć się wśród takich jak ja, ale mamy mało miejsca i jest tu cholernie gorąco i niewygodnie. Zakładam, że ciężarówka jest już pełna, więc dokąd nas zabierają? Mój dom, rodzina i wszystko, co straciłem, wydają się tysiące kilometrów ode mnie. Wiem, że odległość między mną a Ellis rośnie z każdą minutą spędzoną w tej cholernej ciężarówce.

Plandeka nad nami odcina większość światła, więc w środku niewiele widać. Udało mi się dowlec do boku ciężarówki, gdzie ktoś zdołał nieco unieść materiał. Niewiele widzę przez szparę, tylko brzeg drogi, którą pędzimy. Od dłuższego czasu nie zwalniamy przed zakrętami. Musimy być na jakiejś głównej drodze i to najwyraźniej pustej. Jestem praktycznie ślepy, a niczego nie słyszę przez łomot silnika i huk kół na asfalcie. Świat wydaje się obcy i opustoszały, a dezorientacja wynikająca z jazdy jeszcze pogłębia to niemiłe wrażenie.

Twarze, które ledwie widzę, są poobijane, puste i pozbawione wyrazu. Nikt nie rozumie, co mu się przytrafiło ani dlaczego. Ludzie są zbyt przerażeni, żeby rozmawiać, więc siedzą milcząco i zgaszeni. Czasem tylko ktoś szepnie jakieś słowo. Szkoda, że nie ma niczego, co by mogło mnie oderwać od tych myśli. Nie mam czym się zająć, więc zadrezczam się Ellis i tym, co może mnie czekać na końcu podróży. Dokąd nas zabierają i co się stanie, kiedy tam dotrzemy? Ktoś bez przekonania próbuje otworzyć tył ciężarówki. Przez kilka sekund ucieczka wydaje się możliwa, dopóki nie orientujemy się, że plandekę przymocowano od zewnątrz. Jesteśmy tu uwięzieni.

Obok mnie siedzi dziewczyna, która staje się coraz bardziej niespokojna. Świadomie staram się nie gapić na nikogo w panującym półmroku, ale zauważyłem dość, żeby wiedzieć, że jest młoda i ładna, chociaż ma twarz zmęczoną, brudną i poznaczoną śladami łez. Sadzę, że jest jeszcze nastolatką, co najwyżej dobiega dwudziestki. Opiera się o mnie i czuję, że cała drży. Chwilami płacze. Chryste, sam jestem przestraszony, więc jak ona musi się czuć... Zerka na mnie, po raz pierwszy patrząc mi w oczy.

- Żle się czuję - łka. - Chyba się pochoruję.

Nie najlepiej radzę sobie w wymiotami. Proszę, nie rzygaj, myślę sobie.

- Oddychaj głęboko - proponuję. - To pewnie nerwy. Weź kilka głębokich wdechów.

- To nie nerwy. To choroba lokomocyjna.

Cudownie. Bez zastanowienia biorę ją za rękę i zaczynam głaskać. To bardziej uspokaja mnie niż ją.

- Jak się nazywasz? - pytam, mając nadzieję, że może odwrócić jej uwagę i oderwę jej myśli od mdłości.

- Karin.

I skończyły mi się tematy. O czym mogę z nią rozmawiać? Jeśli jest taka jak ja, to właśnie odkryła, że stała się bezdomnym, pozbawionym rodziny i przyjaciół mordercą. Nie ma sensu bawić się w pogaduszki. Ty cholerny idioto, szkoda, że się odzywałeś.

- Myślisz, że długo tu jeszcze będziemy? - pyta, nagle oddychając bardzo płytko.

- Nie mam pojęcia - odpowiadam zgodnie z prawdą.

- Dokąd nas zabierają?

- Nie wiem. Słuchaj, najlepiej jeśli przestaniesz o tym myśleć. Spróbuj się na czymś skupić i...

Za późno, już zaczęła wymiotować. Łapie konwulsyjnie moją rękę. Staram się obrócić ją tak, żeby mogła wymiotować przez szparę w brezencie, ale nie ma na to ani dość miejsca, ani dość czasu. Wymiotuje na podłogę, obryzguje mi buty i spodnie.

- Przepraszam-jęczy.

Czuję odór wymiocin. Teraz sam walczę, żeby zapanować nad żołądkiem. Mam gulę w gardle i słyszę, jak ludzie wokół mnie krztuszą się i jęczą z obrzydzeniem.

- Nieważne - mruczę.

Wnętrze ciężarówki, w której już było gorąco i duszno z powodu liczby ludzi uwięzionych w środku, teraz na dodatek cuchnie. Nie sposób uciec przed fetorem, ale muszę spróbować, bo inaczej



sam się dołożę do smrodu. Wstaję, opierając się o bok plandeki i teraz, kiedy jestem wyprostowany, w brezencie na wysokości oczu widzę drobne rozdarcie. Przyglądam się bliżej i widzę, że zaczął puszczać szew. Wsuwam palce w szparę i próbuję ją rozszerzyć. Kiedy rozkładam palce, szew trzymający materiał rozchodzi się. W końcu trochę światła dziennego wpada razem z bardzo potrzebnym chłodnym, świeżym powietrzem. Mam w nosie konsekwencje

- wpycham obie ręce w rozdarcie i ciągnę w dwie strony, rozrywając szew. Rozdarcie rozszerza się na pół metra i słyszę, jak ludzie wokół mnie oddychają z ulgą.

- Widzisz, dokąd jedziemy? - pyta ktoś po drugiej stronie ciężarówki.

Widzę tylko drzewa.

- Nie mam pojęcia. Niewiele widać.

- Widzisz więcej niż ja - warczy tamten. - Patrz dalej.

Przepycham głowę przez brezent, usiłując spojrzeć w kierunku jazdy. To chyba autostrada. Długa i dość nijaka droga stopniowo skręcająca w lewo. Po raz pierwszy widzę, że nie jedziemy sami. Przed nami jest ciężarówka. Chwileczkę, więcej niż jedna. Trudno mieć pewność, ale chyba widzę co najmniej pięć innych wozów przed nami - wszystko to ciężarówki podobnej wielkości jak nasza, jadące w równych odstępach. Uważając, żeby nie poślizgnąć się na obrzydliwej kałuży, przesuwam się, by zobaczyć, co jest za nami. Doliczam się co najmniej tylu samo ciężarówek za nami, jeśli nie więcej.

- No i? - odzywa się tamten głos, kiedy wyciągam głowę z rozdarcia.

- Nie wiem, gdzie jesteśmy - odpowiadam głośno, żeby wszyscy słyszeli. - Ale nie jesteśmy sami.

- Co?

- Jedzie mnóstwo takich ciężarówek. Z tego, co widziałem, co najmniej dziesięć.

- Więc dokąd nas wiozą? - dopytuje się kolejny przestraszony głos, nie do końca licząc na odpowiedź. - Co z nami zrobią?

- Nie wiem - odzywa się Patrick zrezygnowanym głosem. - Ale możecie być pewni, że cokolwiek to będzie, okaże się cholernie nieprzyjemne.

Znowu wysuwam głowę przez rozdarcie, żeby uciec od smrodu wymiocin i nerwowych, pełnych strachu rozmów, które właśnie wywołał słuszny, acz niezbyt subtelny komentarz.

39

Nareszcie zwalniamy i ciężarówka niespodziewanie ostro skręca w lewo. Zakręt jest zbyt gwałtowny jak na zwykły zjazd z autostrady. Droga, która teraz jedziemy, staje się nierówna. Suniemy zygzakiem przez jakieś dwa-trzy kilometry. A potem bez żadnego ostrzeżenia jazda się kończy. Zatrzymujemy się. Żołądek znowu burzy mi się z nerwów, kiedy ciężarówka nagle staje, a silnik gaśnie. Na zewnątrz leje i uderzenia kropel o dach są prawie ogłuszające.

- Gdzie teraz jesteśmy? - pyta ktoś niespokojnie.

Posłusznie wysuwam głowę przez rozdarcie w plandecę i szybko się cofam, widząc zbliżających się żołnierzy. Czekam, aż nas miną, po czym znów ostrożnie wyglądam. Ciężarówka (i jakieś dziesięć innych wozów jadących z nami w konwoju) zatrzymała się na wąskiej drodze biegnącej skrajem czegoś, co wygląda na gęsty las. Nie widzę, gdzie prowadzi dalej. Nie chcę ryzykować, odsłaniając się na dłużej niż to konieczne, więc szybko zamykam rozdarcie w ciężkim brezencie. Jestem pewien, że już wkrótce zobaczymy, gdzie się znaleźliśmy.

- Niewiele jest tu do oglądania - mówię reszcie współpasażerów. Obracam się i przykucam znowu. - Po tej stronie widać tylko drzewa.

Leje jak z cebra i muszę krzyżeć, żeby mnie słyszano. Bębnienie kropel uderzających w grubą plandekę rozbrzmiewa nieprzerwanie. Hałas w połączeniu z półmrokiem pogłębia dezorientację. Nie mogę tego znieść. Znowu zastanawiam się, czy powinienem zaryzykować i uciekać... Co mam do stracenia, skoro już właściwie wszystko straciłem? Nie wiem, jakie zostały mi możliwości. Sprawy wyglądają coraz smętniej. Siedzieć i czekać na to, co nam zaplanowali, czy przejąć

kontrolę nad własnym przeznaczeniem i spróbować ucieczki? Ten kawałek lasu, który udało mi się zobaczyć, wygląda na dość głęboki i nieprzyjazny. Najwyraźniej znaleźliśmy się na pustkowiu. Nie ma siły, żeby zdołali wjechać za mną między drzewa ciężarówkami. Albo strzelą mi w plecy, gdy będę biegł, albo uda mi się uciec. Chyba warto zaryzykować. W moim umyśle pojawiają się obrazy, jak wracam do domu i odnajduję Ellis - i decyzja zapada. Spróbuję przy pierwszej okazji. Bóg jeden wie, dokąd pobiegnę, ale wszędzie lepiej niż tu. Powiedzieć innym, co planuję? Będę miał większe szanse, biegnąc z nimi czy samemu? Instynkt podpowiada mi, żeby zostawić ich i zadbać o własną skórę. Ale co z resztą? Co z Karin, Nancy i Patrickiem? Na pewno im więcej ludzi pobiegnie, tym większe mamy szanse uciec, prawda...?

Z mojego głupiego planu nic nie zostaje, kiedy dwóch przemoczonych żołnierzy podnosi klapę plandeki na tyle ciężarówki. Jeden z nich podwiązuje brezent, a drugi celuje do nas z karabinu. Nagle wracam do rzeczywistości, patrząc w lufę broni. Plan, który jeszcze kilka sekund temu rozważałem całkiem poważnie, teraz wydaje mi się idiotyczny. Chcę walczyć jak nigdy w życiu, ale ucieczka teraz byłaby samobójstwem.

- Wychodzić! - warczy na nas żołnierz z bronią. - Wyłazić! Ruchy!

Ci bliżej końca natychmiast zaczynają wyskakiwać. Spadają z wysokości półtora metra na błotnistą drogę; tracą równowagę, przewracają się. Biedne skurczybyki - są na zewnątrz od kilku sekund, a już zmarzli i przemokli. Jeden z mężczyzn, z którymi zostałem w środku - młody, szczupły, o długich, ciemnych włosach

- ładując na ziemi, natychmiast atakuje żołnierza. Pojawia się trzech innych żołnierzy i odciągają chłopaka od kolegi. Dwaj rzucają złapanego na ziemię, twarzą w trawę na poboczu. Trzeci unosi pistolet i ładuje chłopakowi kulkę w potylicę. Szaleńczy atak i spokojna reakcja - wszystko rozgrywa się w kilka sekund i już ktoś odciąga trupa na bok. Rozlegają się szlochy i jęki pełne strachu oraz niedowierzania ze strony ludzi stojących już na zewnątrz.

Opuszczam ciężarówkę jako jeden z ostatnich. Wychodzę tyłem i też się ślizgam, ale jakoś udaje mi się zachować równowagę. Pozostałych ustawiono rzędem między ciężarówką a skrajem lasu. Jeden z żołnierzy pcha mnie w ich kierunku. Przez sekundę opieram się i patrzę na niego. Jego oczy są skryte za matową osłoną, w której widzę odbicie mojej posiniaczonej twarzy. Powinienem go teraz zabić, myślę w duchu. Wiem, że dałbym radę. Mógłbym złamać mu kark gołymi rękoma. Ten śmieć nie zasługuje na nic więcej jak na gwałtowną, bolesną i bardzo krwawą śmierć za swój udział w tym, co z nami się dzieje. Ale wtedy patrzę za niego i widzę pozostałych odciągających martwe ciało chłopaka, któremu właśnie strzelili w głowę. Porzucają je na widoku, bezceremonialnie zostawiając trupa po drugiej stronie drogi, a ja niechętnie zajmuję miejsce w kolejce.

Z miejsca, w którym wcześniej stałem, widziałem tylko ludzi jadących ze mną w tej samej ciężarówce. Teraz, gdy się przesunąłem, widzę, że ludzi z pozostałych wozów też wyciągnięto. Kolejka przede mną ciągnie się daleko. Staję za Karin, dziewczyną, która wcześniej wymiotowała.

- Dobrze się czujesz? - pytam szeptem.

Zerkam na najbliższych żołnierzy, ale nie reagują, więc ryzykuję i odzywam się znowu.

- Karin, nic ci nie jest?

Odwraca się na chwilę i kiwa głową, ale nic nie mówi. Twarz ma bladą, z zimna szczęka zębami. Leje tak mocno, że to aż boli. Jestem na zewnątrz kilka minut, a już przemokłem do suchej nitki. Ale przynajmniej mam na sobie kilka warstw ubrania. Przed sobą widzę ludzi, którzy mają na sobie tylko T-shirty. Niektórzy są w piżamach. Jeden starszy gość ma na sobie tylko szlafrok. Biedacy, pewnie zostali zgarnięci w nocy, kiedy jeszcze spali. Nie mogli pozwolić im się przebrać albo dać im coś ciepłego do ubrania? To tylko ukazuje, jak głęboko zakorzeniona jest ich nienawiść do nas, i nagle rzucona mimochodem w ciężarówce uwaga Patricka wydaje mi się bardziej słuszna. Cokolwiek nas czeka, będzie to cholernie nieprzyjemne. W najlepszym wypadku przywieźli nas tutaj, żeby trzymać w izolacji od reszty. A najgorszy scenariusz? Wiem, że istnieje bardzo wysokie prawdopodobieństwo, że przywieźli nas tu, aby zniszczyć. Mogą próbować mnie zabić, ale kiedy

nadejdzie ten czas, będę walczył. Jestem to winien Ellis - zabiorę ze sobą tylu, ilu zdołam.

Chryste, a co z Ellis? Jak mogłem być tak głupi? Byłem tak zaprzętnięty tym, co dzieje się ze mną, że nie pomyślałem, że i moją dziewczynkę mogli tu przywieźć. A jeśli zmieniła się tak jak ja i została zabrana przez jeden z patroli? Wiem, że szanse na odnalezienie jej tutaj są nikłe, ale muszę spróbować. W kolejce przed nami widzę kilkoro dzieci, ale nawet z tej odległości wiem, że nie ma wśród nich mojej córki. Odwracam się i patrzę za siebie. Niech to szlag, kolejka ciągnie się daleko. Nie widać końca. Wyszedłem z kolejki, ale mam to w nosie. Znalezienie Ellis jest ważniejsze od mojego bezpieczeństwa. Zaczynam się przesuwać na tył kolejki, ale zatrzymuję się, bo jakaś dłoń łapie mnie za ramię i szarpnięciem ustawia na poprzedniej pozycji. Spodziewam się, że zobaczę strażnika, ale to Karin.

- Nie bądź głupi - szepcze, rozglądając się niespokojnie. - Proszę, zabijają cię bez mrugnięcia okiem. Kiwam głową, ale nic nie mówię. Wiem, że ma rację. Wracam na swoje miejsce w kolejce i próbuję pogodzić się z rzeczywistością. Zabrano mnie wiele godzin po tym, jak Liz odebrała mi Ellis i znajdowałem się w zupełnie innej części miasta niż - jak uważam - znalazły się one. Szanse, że Ellis wylądowała tutaj, są niewielkie. A jeśli zabiorą nas stąd do jakiejś centrali, pewnie tam będę miał większe szanse odnalezienia córki.

Muszę panować nad sobą i czekać na właściwy moment, ale to trudne. Chcę biec, walczyć i zabijać otaczających nas żołnierzy. Chciałbym się ruszyć i coś zrobić, ale nie mogę. Stanie tu i czekanie jest nieznośne. Warunki są naprawdę potworne. Tak zmokłem, że moje ubranie stało się ciężkie i jego waga przytłacza mnie do ziemi. Wszyscy jesteśmy przemoczeni, odrętwiali z zimna, ale możemy tylko nieruchomo stać i czekać.

Nagle coś się dzieje. Minęło trochę czasu, odkąd nas wyrzucili z ciężarówek, ale nie mam pojęcia ile. Nadal jakoś trzymam się na nogach, ale widziałem, że parę osób w kolejce padło. Nikt nie śmie się ruszyć, żeby im pomóc. Każdy wie, że poruszyć się to obeiwać kulkę od pilnujących nas szumowin. W rzędzie stoją setki ludzi, a żołnierze cały czas patrolują z wymierzoną bronią, w każdej chwili gotowi strzelać. Muszę mocno się skupić, żeby nie wyrwać się z szeregu i nie rzucić na nich. To tortura. Tak zamierzają pozbyć się wszystkich? Każą nam stać na pustkowiu, aż ostatni z nas padnie?

Przed chwilą słyszałem wybuch zakłóceń radiowych. Połowa żołnierzy nagle wróciła do ciężarówek, zostawiając drugą połowę na stanowiskach przy kolejce z wymierzoną w nas bronią. Teraz silniki ciężarówek uruchomiono i konwój rusza. Wozy śmigają obok nas, obryzgując błotem i wodą z kałuż oraz dziur w drodze.

Po raz pierwszy dobrze widzę, co jest po drugiej stronie drogi.

Poprzez ścianę deszczu dostrzegam ogromną połąć ziemi, pustą, jeśli nie liczyć pojedynczych szarobiałych budynków po prawej. Wyglądają jak fabryka, a może jakieś magazyny rolnicze. Po lewej stoją dwa ogromne silosy. Wszystko jest dziwnie zdewastowane i niechlujne. Pusty, asfaltowy pas prowadzi od jednego z budynków przez pole do drogi, przy której stoimy. Teraz widzę, że kolejka ciągnie się wzdłuż drogi aż do wejścia na pole. Chryste, muszą być nas tysiące.

W oddali przy budynkach widać jakiś ruch. Stąd nie sposób jasno stwierdzić, co się dzieje. Widzę żołnierzy i inne postaci w ciemnych kurtkach poruszające się bez przerwy. Niektóre usuwają sprzęt z budynków, inne coś wnoszą. Nie mam pojęcia, co to za rzeczy. I podejrzewam, że nie chciałbym wiedzieć.

Nagle poruszenie przede mną sprawiło, że komuś puściły nerwy. W kolejce wybucha panika i przez sekundę staram się zobaczyć, kto to i co się dzieje. Wygląda na to, że ktoś wyskoczył z rzędu i rzucił się na żołnierzy. Wykorzystać to zamieszanie i próbować uciec? Inni myślą tak samo. Dwie osoby już biegną do drzew. A teraz pięć, sześć, siedem... może nawet z dziesięć osób pędzi do lasu. Jeśli mam to zrobić, muszę się ruszyć. Żołnierz najbliżej mnie patrzy gdzie indziej, więc jeśli będę naprawdę szybki...

Cholera. Zamieszanie uspokoiło się równie szybko, jak zaczęło. Dwaj żołnierze występują naprzód i strzelają z broni automatycznej między drzewa. Uciekający dostają bez ostrzeżenia - strzał w

plecy i po wszystkim. Znacznie więcej ludzi, którzy stali w kolejce z przodu dostało się w ogień krzyżowy i też nie żyją. Wiem, że jeśli będę czegoś próbował, spotka mnie to samo.

Żołnierze przegrupowują się i zajmują pozycje. Jeden z nich wywołuje kogoś przez radio, a potem, po krótkiej przerwie pojawia się furgonetka koło budynków i jedzie wzdłuż nich w stronę drogi. Zatrzymuje się po drugiej stronie w miejscu, gdzie była strzelanina. Ludzie z kolejki trzymani na muszce muszą zebrać ciała i zapakować je do furgonetki. Bezradnie patrzę, jak dwie kobiety, szlochając, ciągną trupy z lasu i przenoszą je przez drogę. Starszy facet i nastolatka zostają odesłani, żeby zabrać ciało mężczyzny z ciężarówki, którego zastrzelono wcześniej.

40

Nadal leje jak z cebra i nie wygląda, żeby miało przestać. Szare chmury w górze są jeszcze ciemniejsze, a światło szybko gaśnie. Nie sądzę, żebym dużo dłużej wytrzymał to stanie. Nie czuję już stóp i rąk. Cały dzień nie piłem, ale pęcherz mam pełny i ból jest potworny.

Boję się. Za każdym razem, gdy żołnierze obok mnie drgną, wstrzymuję oddech - nie dlatego, że się ich boję, ale dlatego, że w głębi duszy wrzeszczę z frustracji, rozpaczliwie pragnąc walczyć i zabić każde ścierwo, które nas tu trzyma. Ale wiem, że nie mogę. Jest ich zbyt wielu i są zbyt ciężko uzbrojeni. Gdybym ośmielił się zdradzić z moimi intencjami, zabiliby mnie natychmiast. Nie mogę do tego dopuścić, ale coraz trudniej panować nad uczuciami. Widziałem, jak inni ludzie w kolejce, którzy nie zdołali się powstrzymać, zapłacili za to życiem. Właśnie kilka minut temu w półmroku za mną słyszałem pojedynczy krzyk wściekłości, po którym rozległ się świst pocisków. Obecna cisza wokół nas w jakiś przedziwny sposób jest jeszcze bardziej przerażająca od odgłosów walki i śmierci, które ją poprzedzały.

Zmierzcha się i nie sposób już dojrzeć końca kolejki. Widzę tylko ze trzydzieści osób przed sobą i mniej więcej tyle samo za sobą. Jestem pewien, że wydłużyła się o setki ludzi. W ciągu ostatniej godziny dwa razy mijał nas konwój pustych ciężarówek. Logika podpowiada, że przywieźli kolejny transport i że teraz jadą z powrotem na ulice szukać następnych.

Dziewczyna przede mną znowu siania się na nogach. Nie mogę pozwolić, żeby upadła. Przesuwam się lekko do przodu i podtrzymuję ją ręką.

- Ej, nie teraz - mruczę pod nosem. - Staraj się trzymać...

Nawet nie wiem, czy mnie słyszy w tej ulewie.

Coś się dzieje przed nami. Nic nie widzę, ale zdecydowanie coś słyszę. Wpatruję się w półmrok, rozpaczliwie usiłując zobaczyć, co się dzieje. Ludzie wreszcie zaczęli iść? Przez kilka kolejnych sekund nie jestem pewien, ale wtedy niespodziewanie fala poruszenia przebiega po rzędzie do miejsca, gdzie wreszcie widzę, co się dzieje. Zaczynam dreptać przed siebie. Nagła fala ruchu, niezręcznego, pełnego potknięć, dociera do mnie i po raz pierwszy od wielu godzin zaczynam iść. Nogi mam potwornie sztywne, każdy krok wymaga ogromnego wysiłku i koordynacji. Przez chwilę czuję idiotyczną ulgę, kiedy ból w nogach zaczyna nieco słabnąć, ale zaraz myślę o tym, dokąd być może zmierzamy, i powraca panika. Wiem, że teraz ucieczka nie wchodzi w rachubę. Już samo stawianie nogi za nogą jest wystarczająco trudne. Nie mam ani siły, ani energii, żeby poruszać się szybciej.

Żołnierze nadal maszerują wzdłuż naszej kolejki, przez większość czasu zachowując dystans, czasem tylko bijąc albo popychając kogoś, kto porusza się zbyt wolno albo wyłamuje z szeregu. Przede mną kolejny człowiek, który jechał ze mną ciężarówką, pada na ziemię. Jest stary i zmęczony; leży na żwirze, łkając. Idę dalej - nie mam wyboru - i słucham, jak jeden z żołnierzy wrzeszczy, żeby wstawał i szedł dalej. Żałuję, że nie mogę pomóc. Nie śmiem się rozejrzeć. Słyszę pojedynczy wystrzał tuż za plecami i wiem, że cierpienia tamtego już się zakończyły. Ledwie panuję nad rosnącą furią. Pomimo wyczerpania czuję przymus, żeby rzucić się na tych żołnierzy i walczyć z nimi - zabijać ich - rosnący z każdą minutą, niedający się stłumić. Jedyne prosty fakt, że każda reakcja nieodmiennie będzie ostatnią rzeczą, jaką zrobię, każe mi dalej iść w rzędzie.

Znowu się zatrzymaliśmy.

Ruch teraz zamarł równie szybko, jak się zaczął. Nie mam pojęcia, jak daleko się przesunęliśmy. Nie wiem, o ile bliżej jestem, ale zakładam, że ludzie na przodzie kolejki wreszcie zostali poprowadzeni drogą do wejścia do budynku.

41

Chryste, jak zimno.

Pokrywa chmur uniosła się nieco i na chwilę deszcz nieco osłabł. Stojący przed nami budynek oświetlono mocnymi reflektorami, w ich blasku wygląda jak gotycka katedra albo forteca. Chociaż teraz już widzę go lepiej, nadal nie mam zielonego pojęcia, do czego służy. To jakieś centrum kwarantanny? To wszystko jest bez sensu. Jeśli nas tu przywieźli, żeby zabić, to czemu po prostu tego nie zrobią? Po co marnować tyle czasu i ludzi, trzymając nas ustawionych rzędem i zbierając ciała? Dla niektórych biednych sukinkotów, którzy stoją ze mną w tej upiornej kolejce, kulka w głowę byłaby dobrodziejstwem. Ale może właśnie o to chodzi? Może oni chcą, żebyśmy cierpieli? Po wielu godzinach stania trzy razy ruszaliśmy i zatrzymywaliśmy się. Tym razem liczyłem kroki. Myślę, że przesunęliśmy się o jakieś sto kroków. Logika podpowiada, że mniej więcej tylu ludzi zniknęło w budynku przed nami.

Kolejny konwój świeżo opróżnionych ciężarówek mija nas z hukiem.

Klekot wozów szybko się oddala, ale teraz słyszę coś jeszcze. Słyszę samolot - dźwięk jego potężnych silników wiele kilometrów nad nami uświadamia mi, jaka cisza panuje wokół nas. Samolot porusza się z niezwykłą prędkością. To musi być odrzutowiec albo coś takiego. Obawiam się wykonać jakiś gwałtowny ruch i spojrzeć w niebo, ale nie mogę się powstrzymać. Usiłuję trzymać głowę nieruchomo, unoszę tylko oczy i rozglądam się po niebie. Widzę go. Ciemny, metalowy, rozmażany kształt pędzi z fenomenalną prędkością nad horyzontem z prawej do lewej. Nawet kilku żołnierzy spojrzęło w tę stronę.

Znowu hałas. Ryk wprawiający żołądek w dygot, czuję, jak ziemia drży pod moimi stopami. Huk płynie z innego kierunku. Zdaje się wirować i szybować z wiatrem, staje się coraz głośniejszy i bardziej określony. Dobiega zza naszych pleców. Podnoszę wzrok i widzę, jak pojedyncza rozświetlona iskra mknie przez mrok wiele kilometrów nad nami w stronę odrzutowca w oddali. To kolejny odrzutowiec? Pocisk?

To mogło trwać zaledwie kilka sekund, ale mam wrażenie, że minęła wieczność. Patrzę na białe światło na niebie, które pędzi w stronę samolotu, wpada nań z niesamowitą precyzją. Na fioletowym niebie rozkwita ogromna pomarańczowa kula. Ale znika, nim dosięgnie nas huk grzmotu.

Znowu przesuwamy się do przodu.

Teraz znajduję się kilka metrów bliżej budynku, ale już nie zastanawiam się nad tym, co nas tam czeka. Próbuje pojąć, co właśnie się stało. Niezależnie od tego, kto leciał samolotem i kto wystrzelił pocisk, był to celowy i jasno określony atak, a to budzi we mnie iskierkę nadziei. Ktoś gdzieś nadal walczy.

42

Strach i panika w tej części kolejki stają się nie do wytrzymania. Nadal się przesuwamy w stronę budynku w polu - niekończące się dreptanie i zatrzymywanie. Żołnierze też są bardziej podenerwowani.

Czy to rzeźnia? Wykastrowują nas? Stworzyli „lek”, który zrobi z nas takich jak oni? W miarę jak zbliżam się do budynku, różne straszne myśli przebiegają mi przez głowę z prędkością błyskawicy. Cokolwiek się stanie, wiem, że prawie dotarliśmy do nieuniknionego końca podróży. Ostatni dzień był piekłem, ale przeszedłbym przez to wszystko raz jeszcze, byleby zamienić się miejscami z osobą na samym końcu kolejki. Dałbym wszystko, żeby odłożyć to, co mnie czeka za ciemnymi drzwiami, które są już tak niedaleko. Chociaż otaczają mnie setki, może nawet tysiące ludzi takich

jak ja, czuję się samotny jak palec. Za ledwie kilka dni temu wszystko było względnie normalne i taka sytuacja wydawałaby się po prostu niemożliwa. Tydzień temu siedziałem z rodziną w pubie, nieświadomy wszystkiego, co ma nam się przytrafić. Myślę o utracie Liz Harry'ego, Eda i Josha, i trudno mi poradzić sobie z uczuciami. Myślę o Ellis i czuję, jakby ktoś wbijał mi nóż w serce.

Idziemy wzdłuż drogi, jakbyśmy byli skazańcami, brakuje nam tylko łańcuchów przy kostkach. Mimo hałasu setek szurających stóp wydaje mi się, że coś słyszę. Jakiś dźwięk w oddali. Cichy i nijaki, ale niewątpliwie coś słyszę. Głębokie, odległe dudnienie. Grzmot czy coś innego? Deszcz nadal siecze, a półmrok sprawia, że nie sposób zobaczyć, co się dzieje za budynkiem.

Posuwamy się powoli, ale wolałbym, żebyśmy szli jeszcze wolniej. Już jestem w połowie asfaltowego pasa, który biegnie od frontu budynku do drogi i po raz pierwszy znajduję się wystarczająco blisko, żeby zobaczyć, co się dzieje przy wejściu. Na pasie tłoczą się ludzie w kolejce przed jakąś przesłoniętą płótnem silnie strzeżoną bramką. Trudno dojrzeć szczegóły, ale z daleko to wygląda jak punkt odprawy paszportowej albo celnej na lotnisku. Równy strumień ludzi przechodzi przez bramkę, a potem są zaganiani do głównej części budynku. Zerkają zdesperowani przez ramię, kiedy kolejni uzbrojeni w karabiny żołnierze popychają ich do przodu. Nawet nie chcę myśleć, co tam jest. Jedna rzecz jest boleśnie oczywista - nie widać wyjścia. Ludzie wchodzą, ale z tego, co widzę, nikt nie wychodzi.

Teraz już tylko kilka krótkich metrów dzieli mnie od punktu kontrolnego. Przede mną narasta panika i zamieszanie, kiedy ktoś z kolejki wrywa się i próbuje uciekać. Tym razem jest odosobniony w tej próbie. Nikt inny z nim nie biegnie. Samotna postać, która pędzi w stronę potężnych silosów po mojej lewej, pada pod gradem pocisków - wystrzelono ich znacznie więcej, niż to było potrzebne. A co dziwne, gdy tylko ciało pada, żołnierze w pośpiechu ruszają sprzed frontu, żeby je zabrać. Zamiast zostawić je tam, gdzie upadło, podnoszą je i zanoszą do środka. Do cholery, co oni robią?

Kolejny dźwięk rozlega się w oddali. To musi być grzmot.

Znowu ruszamy do przodu i teraz jestem dość blisko, żeby słyszeć rozmowę w punkcie kontrolnym. Serce bije mi szybciej niż normalnie, nogi mam jak z waty; zaraz ugną się pode mną. Tym razem to nie ma nic wspólnego ze zmęczeniem, to czyste przerażenie. Minuty mojego życia odpływają i jestem zrozpaczony, że tak się zakończy. Może lepiej zaatakować, myślę. Dam radę zebrać resztki energii do ostatniego ciosu? Jestem gotów umrzeć, walcząc? To moja ostatnia szansa. Widzę, że Patrick stoi jakieś dziesięć osób przede mną. Gdybym jakoś zdołał zwrócić jego uwagę, to może razem moglibyśmy coś zrobić... Ale kogo ja oszukuję? Patrzą na najbliższego żołnierza z naładowanym i gotowym do strzału karabinem i wiem, że szanse są zbyt nierówne, aby nawet rozważać atak. Byłoby po wszystkim, zanim zdążyłbym zabić chociaż jednego.

- Nazwisko?! - wrzeszczy żołnierz w punkcie kontrolnym do następnej osoby w kolejce.

- Jason Mansell - odpowiada mężczyzna; głos ma cichy i zrezygowany, ale nadal pobrzmiwa w nim nutka gniewu i oporu.

- Data urodzenia?

Odpowiada. Pytają go także o ostatni adres zamieszkania, a kiedy odpowiada, nagle dociera do mnie, dlaczego ci łajdacy traktują nas jak gówno, a z drugiej strony tak się przejmują ciałami. Odartło nas z wszelkiej indywidualności, a jednak chcą wiedzieć, kim jesteśmy i skąd. Odpowiedź jest oczywista - to cholerny spis ludności. Robią cholerny spis. Jeśli chcą przejąć pełną kontrolę i całkowicie nas wyniszczyć, muszą wiedzieć, kim każdy z nas jest. Dlatego próbowali nas identyfikować, kiedy zgarniali nas z domu dziś rano. Dlatego zbierają ciała. Muszą wiedzieć, kogo zabili, żeby mieć pewność, że wszystkich policzą. Jak idiota rozważałem, czy nie podać im fałszywych informacji, kiedy przyjdzie moja kolej, ale wiem, że to nikomu nie wyjdzie na dobre. Kiedy się zbliżam, widzę, że biorą także próbki śliny z ust i mają urządzenie do skanowania oczu i dłoni. Chryste, musimy być dla nich piekielnym zagrożeniem. Są przerażeni.

Przetoczył się kolejny grzmot. Nadchodzi burza. Patrick zniknął mi z widoku i w kolejce przede mną są teraz tylko cztery osoby. Przesuwamy się niepokojąco szybko. Ludzi odpytuje się w

szaleńczym tempie, co wydaje się kompletnym wariactwem. Staliśmy tu od tyłu godzin. Dlaczego teraz tak się spieszą?

Trzy osoby. Chciałbym, żebyśmy przesuwali się wolniej.

Dwie.

Teraz ja jestem następny. Stoję tuż za dwoma żołnierzami i patrzę, jak odpytują Karin. Bezradnie obserwuję, jak jeden wali jej dłonią na płask w jakiś skaner, a drugi przytrzymuje jej powiekę, żeby przeskanować siatkówkę innym urządzeniem. Kilka klawiszy przyciśnięto na komputerze i już z nią skończyli. Pchnięto ją w stronę ciemnego wejścia do budynku. Po obu stronach stoi mur strażników. To jasne, że kiedy raz przejdiesz przez punkt kontrolny, musisz wejść do środka.

- Nazwisko?! - krzyczy oficer, kiedy zostaję pchnięty przed siebie.

- Danny McCoyne - odpowiadam.

Zerkam w lewo i widzę lufę wycelowaną w moją głowę. Po prostu rób, co ci każą, mówię sobie i robię, co mi każą.

- Skrót od Daniel?

Kiwam głową.

- Odpowiadać!

- Tak - bełkoczę.

Pyta mnie o datę urodzin i ostatni adres zamieszkania, więc odpowiadam. Łapią mnie za prawą rękę i skanują dłoń. Drugi żołnierz niezdarnymi paluchami otwiera mi powieki, żeby posłużyć się drugim urządzeniem. Pojawia się jasne światło, którego się nie spodziewałem. Na chwilę ślepnę.

- Przesłać go - słyszę rozkaz oficera i ktoś pcha mnie w kierunku ciemności.

Zdecydowanie przyspieszyli. Zbyt wielu przesłano w zbyt krótkim czasie. Potykam się i ląduję na końcu zatoru, który zaczął się formować. Słyszę, jak za mną odpytują następną osobę.

Mniej niż dziesięć metrów oddziela mnie od przeznaczenia, które czeka w tamtym miejscu. Nadal niczego nie widzę w środku, tylko ogromne, podwójne drzwi i nieprzerwany strumień ludzi wchodzących przez nie. Zrozpaczony jak wielu innych, zerkam bezradnie przez ramię. Niewiele widzę, ale wiem, że stoją za mną setki ludzi.

Rozlega się nagły dźwięk, który wszystkich zaskakuje. Dobiega z dwóch różnych kierunków - z końca kolejki i z drugiego końca drogi, wzdłuż której wcześniej staliśmy. Nawet żołnierze przez chwilę patrzą zaskoczeni. Wielu z otaczających mnie strażników zerka w pole.

To atak.

Jezu Chryste, ktoś atakuje z obu stron.

W ciągu kilku sekund pełen rezygnacji spokój zamienia się w niekontrolowane szaleństwo. Nie mam pojęcia, kto to robi, ale widzę jasne reflektory samochodów, motocykli i innych pojazdów zbliżających się do budynku z różnych stron. Już nie trzymają się tylko drogi. Widzę, że jadą ze wszystkich stron przez pole. Niech to szlag, to skoordynowany atak.

Przestaję iść i zwracam.

- Ruchy, ty pieprzona gnido! - wrzeszczy na mnie żołnierz i obrywam w plecy tak mocno, że tracę dech.

Siła uderzenia sprawia, że potykając się, wpadam głębiej w tłum popychany ku otwartym drzwiom. Staram się opierać, ale walczę o oddech i niewiele mogę zrobić, kiedy brutalne ręce łapią mnie z obu stron i znowu rzucają w przód. Teraz jestem w środku. Pod stopami mam betonową podłogę, a nad głową wysoki dach, który wreszcie osłania mnie przed deszczem. Ciężkie drzwi zamykają się za mną, nagle tłumiąc odgłosy strzałów i wybuchów.

Jest tu ciemno i ledwo widzę. Nadal jestem popychany przed siebie, aż dalej już iść nie mogę, bo nie pozwala mi masa ciał przede mną. Jesteśmy tak ciasno upakowani, że staje się jasne, że wepchnęli nas tyłu, ilu zdołali, żeby odciąć nas od wydarzeń na zewnątrz. Tłum milczy - nie sposób się ruszyć i ledwo da się oddychać. Ciągłe słyszę stłumione krzyki, wrzaski i wybuchy za drzwiami.

Nagły zgrzyt zakłóceń w radiu i żołnierz pilnujący nas znowu rusza. Przed nami otwierają się

kolejne drzwi, natychmiast rozładowując tłok. Ludzie przelewają się do następnego, ogromnego pomieszczenia jak rycząca woda przez wyrwę w tamie. Nie chcę się ruszać, ale jak wszyscy inni nie mam wyboru. Wiem, że im głębiej wejść do budynku, tym mniejsze mam szanse z niego wyjść, ale nic na to nie poradzę. Sama waga i nacisk innych sprawia, że przesuвам się, a wszyscy boją się nieustannie wycelowanych w nas karabinów.

Przestrzeń.

Niespodziewanie odkrywam, że mam przestrzeń i mogę się swobodnie poruszać. Zatrzymuję się i obracam; rozpaczliwie staram się zorientować, gdzie się znalazłem. Ilość światła w tym pomieszczeniu jest niepokojąco mała i ludzie wokół mnie są przerażeni. Rozlegają się krzyki i wrzaski o pomoc. Patrzę bezradnie na drzwi, które właśnie zamknęły się z hukiem i zostały zamknięte od środka przez kolejnych żołnierzy. Ci są ubrani w inne mundury niż pozostali. Noszą na twarzach jakieś maski. Maski przeciwgazowe? To niemożliwe, prawda...?

Ciała.

Oczy przyzwyczajają się do słabego oświetlenia żółtymi żarówkami i teraz widzę martwe ciała. Jezu Chryste, to pomieszczenie jest pełne trupów. Są wszędzie - zepchnięte pod ściany, zrzucone w stosy, ułożone w kopcach na obrzeżach... moje najgorsze podejrzenia i obawy okazały się słuszne. Przywieźli nas tu, aby nas zabić. Katalogują nas i niszczą.

Muszę się stąd wydostać. Biegnę z powrotem do zamkniętych drzwi, ale jeden ze strażników w masce zatrzymuje mnie kopniakiem. Straciłem już całkiem panowanie nad sobą i muszę walczyć. Wiem, że ci żołnierze są uzbrojeni, ale nie mam wyboru, a poza tym i tak jestem martwy. Zbieram się i biegnę na strażnika z szybkością, siłą i determinacją, których istnienia nawet nie podejrzewałem. Rzucam się na niego, zwałam go z nóg, nim zdążył zareagować. Wiem, że inni ludzie wokół mnie też zaczęli walczyć. Wyrывam mu broń i zdzieram maskę. Patrzy na mnie zimnymi, nienawistnymi oczami, kiedy walę w jego twarz raz za razem, ubijając ciało pięściami. Walę jeszcze długo po tym, jak stracił przytomność. Nie mogę przestać, dopóki nie mam pewności, że nie żyje...

Za mną rozlega się seria strzałów. Obracam się i widzę, że jeden z żołnierzy otworzył ogień do tłumu. Wielu już padło, reszta szuka osłony, ale nie ma gdzie się schować. W desperacji łapię pobite ciało żołnierza i trzymam przed sobą jak tarczę, mając nadzieję, że przyjmie siłę strzałów, które padną w moją stronę.

Teraz dwóch żołnierzy strzela. Jeden z nich wspiął się po metalowej drabinie na galeryjkę na krokwiach budynku i strzela do ludzi jak do kaczek. W pełnym strachu zamieszaniu słyszę pośród masakry kolejny dźwięk i zerkam w przerażeniu na sufit. Maszynaria dyszy i syczy gazem. Wiszące w czterech narożnikach pomieszczenia wielkie, metalowe pudła z otworami wentylacyjnymi z przodu wyglądają jak klimatyzacja. Powietrze przed każdą z tych maszyn jest zniekształcone, jak pod wpływem gorąca, i już wiem, że się zaczęło. Odrzucam trupa i zaczynam się rozglądać za maską, którą zdarłem z jego twarzy chwilę wcześniej. Podłoga jest zalana krwią i zasłana ciałami...

Świat wokół mnie wybucha.

Padam na ziemię i zakrywam głowę, kiedy drugi koniec pomieszczenia rozrywa potężny wybuch, który rozpryskuje szrapnele i trupy we wszystkich kierunkach. Wszystko zalewa czerń. Odgłosy eksplozji zaczynają przycichać, teraz słychać wrzaski, krzyki bólu, strachu oraz odgłosy zacieklej walki.

- Biegnijcie! - krzyczy jakiś głos ponad szaleństwem i histerią.

Instykt bierze górę. Wstaję, potykając o gruz i resztki ciał, brnę rzez chmury pyłu i tłum przerażonych postaci. Wokół mnie rozlegają się strzały i trwa zamieszanie. Kobieta tuż przede mną pada zastrzelona. Przez ułamek sekundy widzę tryskającą krew, pogruchotaną kość jej ramienia, po czym pada na ziemię bezwładna jak szmaciana lalka. Nie mogę zrobić nic innego, muszę przebiec po jej ciele. Za mną przesuwa się fala zdesperowanych ludzi, nie mogę się zatrzymać, nie mam wyboru, muszę się przesuwać razem z innymi. Patrzę przed siebie i widzę, że biegniemy ku



żołnierzom z uniesionymi karabinami. Ale ci nie noszą masek. Ich twarze i oczy nie są zasłonięte i natychmiast wiem, że są po naszej stronie. Bogu dzięki, że ci ludzie są po naszej stronie.

Potykać się, biegniemy przez rzeź, ziemia pod naszymi stopami staje się coraz bardziej nierówna i zasypana gruzem. Szczątki ludzi takich jak ja mieszają się ze szczątkami wrogich żołnierzy. W tej groteskowej powodzi krwi nie sposób ich oddzielić. Wokół widzę oderwane ręce i nogi, strzaskane kości i powykęcane kawałki ostrego jak brzytwa metalu.

- Ruszać się! - wrzeszczy kolejny głos.

Czuję deszcz na twarzy i chociaż po obu stronach nadal piętrzą się niskie stosy gruzu - w miejscach, gdzie kiedyś wznosiły się ściany, dociera do mnie, że znowu jestem na zewnątrz. Inni zatrzymali się, ale ja idę dalej. Kolejny ogłuszający dźwięk przyciąga moją uwagę - podnoszę wzrok i widzę helikopter krążący nisko nad naszymi głowami. Wystrzeliwuje pocisk w długi rząd ciężarówek, które stoją beczynnie wzdłuż tego, co zostało z płonącego budynku, z którego właśnie uciekłem. Chryste, to regularna wojna. Pędzę przez zryte pole i rzucam się na ziemię, gdy w pobliżu rozlega się kolejny wybuch. Po mojej lewej rozbłyskuje jasne światło i czuję, jak moje ciało przesuwają się po ziemi pod wpływem potężnej siły kolejnej eksplozji. Ogłuchłem na jedno ucho i z trudem zachowuję równowagę, ale podnoszę się i znowu biegnę przed siebie. Wszędzie wokół mnie leżą ciała tych, co padli. Twarz młodego mężczyzny przyjęła na siebie całą siłę wybuchu. Jego pozbawione życia oczy patrzą na mnie bezradnie. Dół jego twarzy, wszystko poniżej górnej wargi, zniknęło. U moich stóp leży kobieta z twarzą w gruzach. Plecy ma poczerniałe i zwęglone, większość ubrania się spaliła. To mogła być Karin, dziewczyna z kolejki. Przez ułamek sekundy myślę, czy jej nie obrócić i nie sprawdzić, ale wiem, że to nie ma sensu. Nie ma znaczenia.

Na niebie dokładnie nade mną drugi śmigłowiec obniża się i strzela w budynek, z którego uciekłem, zabijając masy nieuzbrojonych ludzi, którzy brną przez gruz. Udaje mi się zrobić kilka chwiejnych kroków i znowu rzucam się na ziemię, gdy pierwszy helikopter otwiera ogień do drugiego. Celnie wystrzelony pocisk uderza w środek belki ogonowej, odcinając wirnik. Śmigłowiec spada spiralnym ruchem na ziemię i wybucha, wypełniając noc kolejnym błyskiem ognia. Wszędzie wokół trwa walka; słychać ogłuszający huk i histerię walki na śmierć i życie. Ale kto walczy?

- Wynoście się stąd! - wrzeszczy żołnierz, zbierając i popychając takich jak ja.

Idę za tłumem w stronę otwartej bramy w tym, co zostało z siatki ogradzającej teren. Wszyscy biegniemy żwirową drogą, która wiję się w ciemnościach. Teraz, gdy jesteśmy wolni, poruszamy się jak stado, wspólnie polując. Wrogów tutaj można policzyć na palcach.

Kiedy ich odkrywamy, gromadzimy się wokół nich i rozrywamy na strzępy. Za mną płonący budynek stoi skąpany w świetle. Patrzę na niego wystarczająco długo, żeby zobaczyć setki wybiegających z niego postaci.

Kolejni żołnierze popędzają nas drogą, która wznosi się w ciemnościach, podczas gdy następny helikopter opada nad naszymi głowami. Przyjaciół czy wróg? Nie sposób stwierdzić, dopóki nie zasypuje gradem pocisków tłumów na ziemi. Kiedy kolejna kula ognia wznosi się ku niebu za moimi plecami, światło pozwala mi po raz pierwszy przyjrzeć się dobrze otoczeniu. Ziemia pod nami zasypana jest niewiarygodną liczbą ciał. Wiele z nich to ofiary szalejącej właśnie walki, ale widać też z ich położenia, że znacznie więcej jest ciał ludzi takich jak ja, których tamci zabili. Zwłoki zebrano, gotowe do wywozu. Tylko tu zabito setki ludzi. He jest miejsc takich jak to? Ilu jeszcze zginęłoby tu dziś wieczór? Ilu z nas zamordowały te łotry i kogo teraz należy nazwać Wściekłym?

Przede mną wznosi się teraz niski pagórek. Biegnę dalej, ślizgając się na trawie. Słyszę walkę przed sobą i biegnę w tamtą stronę; desperacko chcę wziąć udział w bitwie, zemścić się za śmierć i zniszczenie, jakie widziałem. Jeszcze kilka sekund wysiłku i wreszcie docieram na szczyt. Kolejna potężna eksplozja skąpała świat w świetle i widzę zbliżającą się do nas falę wrogich żołnierzy. Bez osłony i bez strachu przed konsekwencjami pędzę na nich. Zerkam na boki i widzę, że setki ludzi

podobnych do mnie ruszyło jak jeden mąż. Musimy ich zniszczyć, zanim oni zniszczą nas. Pierwszy wróg, do którego docieram, strzela do tłumu. To kobieta. Stoi tyłem do mnie. Bez chwili wahania skaczę na nią i łapię ją za szyję. Chwytam za podbródek i potylicę i wykręcam tak mocno, jak się da. Ogarnia mnie ogromne zadowolenie, gdy czuję, jak pęka jej kark i ciało kobiety pada na ziemię. Natychmiast wstaję, szukając następnej osoby do zabicia. Jeden z wrogów mierzy we mnie. Nim zdąży wystrzelić, szarżuję na niego. Poruszam się z prędkością i siłą, jakiej nigdy wcześniej nie czułem, i siły żywotne wprost mnie rozpierają. Twarzą w twarz ze śmiercią czuję się naprawdę żywy! Wyrywam żołnierzowi broń z jego żałośnie słabego uścisku, bracam ją i wkładam mu lufę w usta. Strzelam i patrzę, jak czubek jego głowy eksploduje. Wokół mnie zwierzęcy instynkt bierze górę i zabijamy, żeby nie zginać. Po to się narodziliśmy.

Następny. Zrywam żołnierzowi hełm i obracam tę żałosną kreaturę, żeby spojrzeć mu w twarz. Te oczy. Te wściekle oczy piorunują mnie wzrokiem i są pełne czystej nienawiści. Wpycham kciuki w jego oczodoły i wydłubuję mu oczy, zostawiając żołnierza krzyczącego i wijącego się na ziemi.

Całe pomieszanie i niepewność zniknęły. Ból zniknął. Walczymy bez strachu z nieporównywalną siłą i zawziętością. Łamię kości i rozrywam ciało, odbieram życie raz za razem.

W rozbłyskach światła i ognia, który nadal wypełnia niebo, widzę bitwę w całej okazałości. Rozciąga się na ogromnej przestrzeni. Jest brutalna i sroga, na najprostszym, niemal średniowiecznym poziomie. Broń odrzucono na bok. To walka wręcz, jeden na jednego, a nasz wróg nie potrafi sprostać naszej sile i determinacji. Może i mają przewagę liczebną, ale my mamy coś więcej. Mamy pragnienie zniszczenia ich i chronienia siebie i sobie podobnych. Każdy z nas walczy do ostatniego tchu.

Kolejny helikopter wznosi się w niebo przede mną. Patrzę, jak cztery węzowe ogony ognia strzelają w ciemności nad moją głową przy akompaniamencie przenikliwego gwizdu i nagłego podmuchu rozgrzanego do czerwoności powietrza. Odwracam się i dość długo patrzę, jak pociski uderzają w niemal już puste pozostałości budynku, z którego uciekłem. Chwila przerwy - jak najkrótsza możliwa przerwa między błyskawicą a grzmotem - a zaraz potem najgłośniejsza eksplozja, jaką w życiu słyszałem. Piekielne miejsce zamienia się w milion płonących kawałków. Nawet z tej odległości czuję żar ognia na skórze.

Nóż rozbłyskuje, pojawiając się znikąd, i rozcina mi rękę. Adrenalina tłumi ból. Odwracam się błyskawicznie. Napastnik znowu wymachuje ostrzem. Udaje mi się złapać jego rękę w połowie zamachu. Wyginam mu rękę w nadgarstku i zmuszam, żeby wycelował nożem we własny brzuch. Pada obok płonącej skorupy przewróconego wozu. Gdzie się tego nauczyłem? Skąd się bierze ta siła i prędkość? To instynktowne i nie do powstrzymania.

- Przesuwać się! - krzyczy ktoś; ledwo go słysząc w ogólnym zamieszaniu.

Podnoszę wzrok i widzę, że bitwa na wzgórzu powoli zamiera. Chociaż walka obok pozostałości budynku nadal trwa, na wzgórzu udało nam się zniszczyć wroga.

- Naprzód! - instruuje głos. Ruszam za resztą tłumu w ciemność.

43

Jest późno. Świat jest cichy. Odgłosy bitwy dawno ucichły. Nadal otoczeni przez hordy tamtych poruszamy się szybko przez pustkowie. Uzbrojeni zwiadowcy prowadzą nas przez ciemność. Nie wiem, dokąd zmierzamy, ale wiem, że mogę zaufać tym ludziom, więc idę za nimi. Gdzieś w głębi duszy czuję, że już niedługo zacznę znajdować odpowiedzi na część z tysiąca pytań, jakie tak bardzo pragnę zadać.

Maszerowaliśmy ponad godzinę, a nie widziałem i nie słyszałem nikogo poza nami. Nasza trasa omija wszystkie drogi, budynki i właściwie wszelkie oznaki cywilizacji. Teraz idziemy głęboką doliną, osłonięci przed wzrokiem przez drzewa i krzewy.

Zatrzymujemy się.

- Tutaj - mówi jeden z naszych przewodników, zapędzając nas do sporego zagajnika.

Bez pytania wchodzimy między drzewa, zatrzymując się dopiero, gdy docieramy do gęstszej części

lasu. Prawie nic nie widać. Jedna z przewodniczek kopie podszycie leśne, jakby czegoś szukała. Jej stopa uderza w kopczyk na pokrytej liśćmi ziemi. Pochyla się i łapie pasek torby, którą jedno z nich musiało wcześniej schować. Ciągnie za pasek i wydobywa wielki plecak. Liście i ziemia osypują się z niego. Kobieta prostuje się i otrzępuje materiał. Otwiera plecak i zaczyna go wyładowywać.

- Usiądźcie i odpocznijcie - nakazuje nam inny zwiadowca, podczas gdy jego towarzyszka rzuca nam pakiety z jedzeniem i wodą.

- Odzyskajcie siły - mówi. - Potem wysłuchacie wiadomości i odejdziecie.

Wiadomość? Jaka wiadomość? O czym on mówi? Odchodzę do wniosku, że potem się dowiem. Na razie najważniejsze to zjeść coś, po raz pierwszy od ponad doby.

Siedzę z trzema innymi osobami. Pośrodku między nami leży komórka ustawiona tak, żeby odtworzyć wiadomość. Informacja -jak tłumaczą nam przewodnicy - to cała prawda, a przynajmniej to, co na razie wiadomo. Była przekazywana jako plik przez ludzi takich jak my i rozprzestrzeniała się po kraju jak wirus. Teraz znajduje się na setkach tysięcy telefonów, komputerów, odtwarzaczach i innych urządzeniach, zbyt rozpowszechniona, aby dało się ją wykasować.

- Jaki Chris? - pyta mężczyzna siedzący obok mnie.

- Chris Ankin - odpowiada jeden ze przewodników.

- Kto to jest, do cholery?

- Był politykiem. Znajdował się na dość wysokim szczeblu w Obronie. Był doradcą rządowym, kiedy to się zaczęło. Usłyszał bardzo wiele informacji, zanim się zmienił.

- Więc gdzie jest teraz?

- Plotka głosi, że nie żyje.

- Super.

- To nieistotne. Zrobił, co chciał, nim go dorwali.

- To znaczy?

- Chciał, żebyśmy wiedzieli, co się dzieje. Chciał nas ostrzec. Próbował nas skoordynować.

- Skoordynować?

- Upewnić, że wszyscy będziemy wiedzieć, co musimy zrobić.

- A co to ma być?

- Może po prostu puścisz tę wiadomość?

Mężczyzna pochyła się i bierze telefon. Męczy się chwilę z przyciskami, ale kiedy znajduje plik, puszcza go. Początkowo trudno zrozumieć słowa. Poprawia głośność i podnosi telefon, żebyśmy wszyscy słyszeli.

- Jeśli tego słuchasz - mówi znużonym tonem Ankin, jego cieniutki głos jest lekko zniekształcony - istnieje szansa, że nie masz pojęcia, co się stało z tobą ani resztą kraju. Nie dowiesz się, dlaczego czujesz się tak, jak się czujesz, ani dlaczego twoje życie właśnie przewrócono do góry nogami. Podam ci kilka informacji, ale nie zdołam odpowiedzieć na wszystkie pytania. Powiem ci to, co sam wiem, ale nie to jest teraz istotne. Ostatecznie to nie jest ważne, dlaczego to się stało ani co to spowodowało, liczy się tylko jak sobie z tym poradzić. Z powodu bezprecedensowej natury tej przemiany i jej skutków dla naszego społeczeństwa musimy działać teraz i musimy działać szybko. Będzie dość czasu, żeby poszukać przyczyn, kiedy walka się zakończy.

Wiercę się i zerkam na twarze pozostałych zgromadzonych przy telefonie. Wszyscy patrzą na aparat w zdumieniu. Nie jestem pewien, czy ktokolwiek wierzy w to, co słyszy.

- Mówiąc prosto - ciągnie Ankin - istnieje zasadnicza genetyczna różnica między nami a nimi. Fundamentalna i podstawowa, która do tej pory pozostawała uśpiona. Nie mogę jeszcze powiedzieć czemu, ale coś się stało, co wyzwoliło przemianę, a przemiana wyzwoliła nienawiść. Jeśli macie nadzieję, że podam bardziej naukowe wyjaśnienie, to niestety nie potrafię. Jeśli oczekujecie, że wyjaśnię, dlaczego nie możemy dłużej żyć z tymi, których kochaliśmy i z którymi pracowaliśmy jeszcze dwa tygodnie temu, to nie potrafię. Pewnego dnia zrozumiemy, ale dziś nie

mamy tego luksusu, nie mamy ani czasu, ani środków, żeby się dowiedzieć.

Początkowo zakładano, że przemiana ogranicza się do zdecydowanej mniejszości społeczeństwa. Nim to przydarzyło się mnie, kiedy jeszcze zajmowałem swoje stanowisko, widziałem liczby, które wskazywały, że zmienionych jest znacznie więcej, niż myślano początkowo. Prawdopodobnie nawet trzy osoby na dziesięć są takie jak my. Czyli jakieś trzydzieści procent populacji. To wystarczająco dużo, żeby walczyć z nimi i mieć szansę na wygraną. Przemiana odziera nas z pewnych zahamowań, jakie kiedyś mieliśmy. Ujmując to najprościej, jesteśmy mniej podatni na gadanie, a bardziej nastawieni na działanie. Przemiana też najwyraźniej wzmocniła nasze instynkty. Natychmiast wiemy, kto jest jak my, a kto nie. Wiemy, kto stanowi zagrożenie, a kto stoi po naszej stronie. Wiele warstw warunkowania i środków kontroli narzucanych nam przez społeczeństwo przemiana usunęła i już nas nie ograniczają. Teraz walczcie, kiedy trzeba, i niszczonego wroga, bo wiecie, że oni zniszczą was, jeśli dacie im choćby ułamek szansy.

Do tej pory istniały między nami podziały w zależności od rasy, religii, wieku, płci i wedle wszelkich innych możliwych różnic. Rozejrzyjcie się dzisiaj i zobaczycie, że te różnice zniknęły. A teraz, ujmując to w tak prostych słowach, jak to możliwe, pozostaliśmy tylko „my” i „oni” i niemożliwe, abyśmy żyli obok siebie. Nie mamy innego wyjścia, jak walczyć, i musimy walczyć, aż ich zatrzemy w proch.

Przemiana rozprzestrzeniła się w świecie z niezwykłą prędkością. Nie ma zakątka, który pozostałby nietknięty. Jesteśmy wszędzie. Musicie pamiętać, że nie jesteśmy gorsi. Mają nad nami przewagę, ale tylko liczebną. My pracowaliśmy na każdym szczeblu i są wśród nas eksperci w każdym zawodzie. Mamy wszelkie umiejętności. Mamy wszystko, czego potrzeba, żeby walczyć z nimi i ich zniszczyć.

Zapomnijcie o swojej przeszłości. Zapomnijcie o rodzinach, przyjaciółach i o tym, kim byliście kiedyś. Z czasem zostanie przywrócona pewna normalność. Do tego momentu nie mamy innej możliwości, jak walczyć.

Wiadomość kończy się, a ja patrzę na telefon z niedowierzaniem. To jakiś żart? Możliwe, że to prawda? Przez chwilę jestem przytłoczony; nie mogę tego ogarnąć. Potem mój umysł wypełnia się wspomnieniami wydarzeń z ostatniego tygodnia, zwłaszcza ostatniego dnia - zabijanie, walki, rozlew krwi, emocje - i wiem, że każde słowo, które usłyszałem, jest prawdziwe. Przypominam sobie siłę i moc, jakie czułem w sobie, kiedy zabijałem wrogich żołnierzy gołymi rękoma kilka godzin temu, i wiem, że to wszystko jest prawdziwe. Niemożliwe i nieudowodnione, ale prawdziwe.

## NIEDZIELA

44

Kiedy się budzę, słowa martwego polityka nadal kołaczą mi się po głowie. Spałem nieco ponad godzinę, ale czuję się tak wypoczęty, jakbym przespał całą noc. Patrzę na baldachim z liści i gałęzi nad głową. Znajoma twarz pochyla się nade mną.

- Tak myślałem, że to ty - powiedział Patrick. - Więc udało ci się uciec.

Siadam szybko. Wyciąga do mnie dłoń, a ja ją ściskam. Rozglądam się i widzę, że gdy spałem, zjawilo się więcej ludzi.

- Dobrze się masz? - pytam, wstając i przeciągając się.

- Wspaniale - odpowiada, szczerząc zęby od ucha do ucha. - A ty?

Przez chwilę zastanawiam się nad odpowiedzią. W niecałe dwadzieścia cztery godziny straciłem wszystko, co miało dla mnie jakieś znaczenie. Powinienem być zdruzgotany, załamany, pusty, ale nie. Podzielał odczucia Patricka. Czuję się niesamowicie. Mój umysł jest klarowny. Jestem gotowy do tego, co muszę zrobić.

- Nigdy w życiu tak się nie czułem - odpowiadam mu. - Nigdy w życiu nie czułem się tak dobrze.

Po krótkim czasie ruszamy. Zwiadowcy, którzy nas tu przyprowadzili, mówią, że po drugiej stronie doliny jest miasteczko. Wiem doskonale, co muszę zrobić. Jestem teraz gotowy wyjść na ulice i zniszczyć tylu tamtych, ilu znajdę. Bitwa dopiero się zaczyna. Opuszczamy zagajnik na dnie doliny

i zanurzamy się w jasny i suchy poranek. Słońce zaraz wstanie, a ja już słyszę odgłosy walki, jakie niesie wietrzyk. W powietrzu wyczuwa się dym - zapach ich świata, który zaczyna się rozpadać.

Chryste, czuję się silny. Wiem już, że wreszcie zrzuciłem kajdany i pęta życia, które kiedyś prowadziłem, i jestem wolny, mogę podążać za instynktem i robić to, do czego się urodziłem. Tego ranka, po raz pierwszy odkąd ją opuściłem, mogę myśleć o Ellis i nie czuć bólu. Wiem, że moja mała córeczka jest gdzieś tam i zabija dla nas. Mam nadzieję, że pewnego dnia ją znajdę. Powiem jej, że jestem z niej dumny.

Poruszamy się jak sfora; wbiegamy po stromym zboczach, które wznosi się nad nami. Kiedy docieramy na szczyt, ledwo łapię oddech. Staję obok Patricka i razem podziwiamy piękny widok w dole. W oddali widać miasteczko; płonie. Na ulicach już trwa walka. Wybuchy wstrząsają budynkami, zamieniając je w gruz. Ludzie biegną, walczą, zabijają.

Widok robi wrażenie.

Patrick szczerzy zęby jak dziecko w bożonarodzeniowy poranek.

Słońce zalewa scenerię cudownym, złotym światłem, a widoczność jest doskonała na wiele kilometrów w każdym kierunku. Ludzie idą do miasteczka ze wszystkich stron. Z podnieceniem płonącym w trzewiach biegnę w stronę zabudowań. Z całej duszy pragnę dostać się tam, rozpaczliwie chcę walczyć i zabijać.

Zbiegamy ze wzgórza, pędzimy na skos przez szerokie, nierówne pole. Docieram na główną ulicę miasteczka. Z dwiema innymi osobami włamuję się do pierwszego budynku z brzegu. Wybijamy frontowe okna w małym kwadratowym domku i wchodzimy do środka. Znajduję parę starszych mieszkańców na górze, kryjących się żałośnie w sypialni. Jedno z nich chowa się pod łóżko. Łapię toto za nogę, wyciągam, stawiam i roztrzaskuję twarz o ścianę. Drugie siedzi w szafie. Próbuje być cicho, ale słyszę nierówny oddech i żałosne kwilenie. Otwieram drzwi, rzucam tym przez pokój i patrzę z zadowoleniem, jak towarzysząca mi dwójka odrywa po kolei kończyny.

Nim wyjdziemy z domu, nasz atak został powielony niezliczone mnóstwo razy w niezliczonej liczbie domów. Nie zatrzymując się dla złapania oddechu, biegnę, ochoczo szukając kolejnych wrogów do zniszczenia.

To cudowny dzień.

Po całej niepewności, strachu i bólu wszystko stało się jasne. Wszystko nabrało sensu.

Trwa wojna.